

# KOMEDYANCI.





# KOMEDYANCI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.



.....wszyscy na teatrze.  
Ja djable lubię teatc, bo jak się zapatrzę,  
To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi  
FIEDRO. *Przyjaciele.*

Totus mundus agit histrioniam...

PLAUTUS

Tom I.

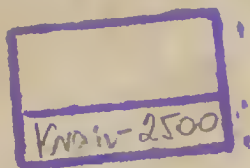
Wydanie drugie poprawione przez Autora.

(B. W.)

PETERSBURG I MOHILEW.

NAKŁADEM BOLESŁAWA MAURYCEGO WOLFFA

1855.



Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury.  
prawem oznaczonej liczby exemplarzy.

Wilno, dnia 16 Lipca 1854 roku.

Cenzor. **Paweł Rukolnik.**

Jak wszystko dawne, znikają powoli i nasze stare dworki szlacheckie, pocziwe słomiane strzechy, skryte pod cieniem lip odwiecznych. Dziś myśmy wszyscy panami potrosze, zaprawdę nie wiem dlaczego: może dlatego właśnie, że bardzo na panów krzyczymy. Nie byłoby to logiczne, ale byćby mogło naturalne. Każdy z nas chętnie wywołuje przeciwko arystokracji i arystokratom, tam nawet ich widząc, gdzie ich nie ma. Każdy z nas potem chętniej jeszcze radby panów małpować.

Dworek szlachecki, to starych cnót siedlisko spokojne, przetwarza się powoli na pełną pretensyi niesmacznej villę, pałacyk; lipy otaczają

się trawnikami, grzędy ustępują miejsca angielskim ogrodom, pasieczka rusza do lasu, gołębie na folwark, stajnie chowają się za bzy. tok zawstydzony usuwa się na bok daleko. a monumentalna brama stara, drewniana, przedzierzga w chatkę szwajcarską, która i chatką nie jest, i szwajcarską być nie może.

Nie grzech to zapewne, że piękno lubimy i chcemy się niém otoczyć; ale dowodem jest wielkiego ubóstwa, że nie umiając stworzyć pięknego z naszych własnych elementów, naśladujemy tylko niedołącznie, co gdzieś stworzyli sobie obcy. Obczyzna, niestety! staryto nasz grzech, z którego się spowiadamy nienastannie, a poprawić nigdy nie mogę! Co do mnie, ja kocham stary szlachecki dworek miłością, jaką mam dla poczciwych dawnych czasów, gdyto więcej jeszcze byliśmy sobą; witam ostatnie pamiątki przeszłego życia ze czcią i głową schyloną, jakbym witał konającego gladiatora; a myśląc, jak za lat kilkadziesiąt zniknie z ziemi wszystko dawne, serdeczny mi żal przejmuję. Dworek szlachecki dzisiaj już być poczyna monumentem.

Jeszcze przed laty trzydziestą, więcej mieliśmy tych szarych, poważnych domostw o wysokich dachach, o pierzastych kominach, o szerokich sieniach. stojących jednym bokiem do cienistego ogrodu, drugim do ożywionego podwórza; więcej dworków z ganeczkiem o dwóch słupach rzeźbionych i ławach, o dwóch kominach, otoczonych gospodarskiemi budowlami, i poważnie jak szlachcic-rolnik zdającymi się stać na straży wśród pracującej czeladki.

Do jednego z takich staroświeckich jeszcze nieprzetworzonych dworków, zajeżdżał ostatnich dni skwarne go lipca .... roku, wózek jednokonny z wprzężoną w hołoble klaczą gniadą, spasłą i powolną. Brama u której stały dwa drzewa rozłożyste i śpiczlerz z galeryą. otwarta była na rozcież; wielki moregowaty brytan powitał w niej przybywającego, i zakręciwszy ogonem pobiegł za nim wesoło do ganku.

Na wózku sam jeden siedział w białym kitlu i konfederatce. bardzo już niemłody człowiek, z siwym wąsem spuścistym, wygoloną głowę i posępną twarzą, surową razem i łagodną, bo się na dawnych obliczach umiała nieraz godzić

z dobrocią mężka szorstkość i rubaszność marsowa. Stary sam się powoził; rzuciwszy klacze lejce, zsiadł powoli z wózczyka, a posłuszna towarzysza przejażdżki stępo odszedłszy z wózkiem pod stajnię, zastanowiła się u wrót jęj, i pewna, że sobie wywoła stajennego, zarżała. Stary, wyraźnie gospodarz domu, usiadł tymczasem w ganku, otarł pot z czoła opalonego, a nie widząc nikogo, spoglądał po dziedzińcu, ażali się kto nie zjawi. Po chwili ukazał się biegiem spieszący parobczak, który zaraz ku stajni się skierował.

— Słuchajno Hryćku, mosanie—rzekł stary  
—a coto u was jak wymiótł, nikogo nie widno?  
Gdzie ten duda gumienny?

— A koło żniwiarzy.

— Prawda, tylko go tam nie widziałcin;  
a Janek?

— Powiózł dla nich wodę z beczką.

— Cóżem go nie spotkał? A panienka?

— Z Brzozowską i z dziewczętami poszła ot  
tu w brzezinę na grzyby.

— W taki upał! głowę sobie przepali!



— Tylko co poszły, widziałem: jeszcze le-dwie do brzeziny może dochodzą.

— Nie lepiej mosanie było kazać sobie za-prządz?

— Panienka nie chciała.

— A nie napóje chorążanki (tak się nazy-wała), albo jój obroku nie zasyp—dodał stary—boto ty, mosanie, gotów na wszystko, aby tobie tylko prędzej wylecieć, a klacz gotowa się ochwacić.

— Czy to mnie pierwszyczna!—odparł Hryć-ko ruszając zlekka ramionami.

— Otóżto, że ci nie pierwszyczna ochwacić konia, dlatego ci to mosanie się mówi.

Parobczak zapewne stare grzechy przypo-mniawszy sobie, w milczeniu już powiódł cho-rążankę do stajni, a stary pozostał jeszcze czas jakiś na ławie. Widać na nim było znużenie, z którym zwykle do głowy przychodzą myśli sinutne i dumy niepotrzebne; podparł się na dłoni, oczy wlepił w podłogę i wzdychał.

Prócz skrzypiących wrót stajni, prócz lekkie-go szumu lip starych i dalekich bardzo odgło-sów pieśni żniwiarzy, nic więcej słyszać nie

było. Cisza letnia, cisza skwarne go wieczora, dodawała majestatyczności przepysznie zachodzącemu słońcu; rzekłbyś, że wszystko unyślnie zamilkło, żegnając panna dnia i ścieląc sobie także łożę spoczynku.

W takichto chwilach sam sobie zostawiony człowiek, jeśli młody, bawi się jak piłkami, barwnemi nadziejami przyszłości; jeśli stary, przerzuca z westchnieniem zbutwiałe zinarnowanego życia wspomnienia. Zinarnowanego! bo któż nie powie u schyłku dni swoich, że mu zmarniało? Któż wszystko otrzymał co marzył, kto się otrzymaniem zaspokoił? Komuż życie ziściło co obiecywało, i kto nie pochował na cmentarzu pamiątek niedorośłych serca nadziei?

I stary nasz gospodarz dumiał uroczyście, niekiedy tylko nastawiając ucha, czy nie usłyszy głosu córki; ale gaj brzozowy był trochę opodał, pieśń tylko żniwiarzy dochodziła jego uszu, i dumanie przeciągało się nieznacznie. Brytan Rozbój, który go powitał u bramy, jeden u nóg pańskich siedząc, kiedyniekiedy dla przypomnienia się liżąc mu ręce, dotrzymywał

starcowi towarzystwa milczeniem wesołem. Poruszający się żywo kusy ogon Rozboja, oczy jego świecące, morda ku panu wzniesiona, dowodziły tego szczęśliwego usposobienia.

Wiaterek coraz chłodniejszy poruszał żywiej drzew gałęzie, przeleciał muskając siwy włos gospodarza. Napomniany niém pan Jacek Kurdesz poszukał klucza w kieszeni, by wniść narreszcie do chaty, gdyż po staroświecku jeszcze chatą tylko nazywał pospolicie, swój czysty i ładny domek. Przeszedłszy bardzo skromną pierwszą izbę, w środku której stał pod kilimkiem tureckim stół okrągły kolbuszowskiéj fabryki, kilka stołków biało olejno malowanych, komódka mosiądzami ozdobna, stary zegar gderający powoli schrzypłym głosem, a na ścianach wisały obrazki świętych Pańskich i parę płócien wyobrażających śmierć Chodkiewicza, niewolę Maxymiliana, odsiecz Wiedeńską i piękną Bednarczankę; dobył pan Jacek klucza drugiego i otworzył izdebkę swoją, tuż okok bawialnéj izby będącą. Tu wązkie łóżko skórą pokryte, nad którym trocha broni i blacha z Najświętszą Panną Częstochowską wisała,

para kufrów gdańskich, stolik i trochę węzełków a gratów, zajmowały cały niewielki alkierz. Okienko od niego wychodziło na ogród, wysadzony porządnie gruszami i jabłoniami, popodpieranemi i poobmazywanemi gliną starannie; zarosły agrestem, porzeczkami, krzakami malin i truskawek od spodu. W środku pod starą smolanką, którą wiatr niełitościwie nadłamał, widać było darniową kanapkę.

Stary wynalazłszy tu swoje Officium, związane rzemieniem i okulary, zabierał się do pierwszej izby na wieczorną modlitwę, gdy żwawy kłus konia ucho jego uderzył.

— A do diabła mosanie!—rzekł w sobie pan Jacek, żywo kładąc książkę na stoliku i okulary na nią.—Któżbyto zaś miał tak jechać? Nie gumieny, bo przed ganek, i to nie kłus dropatego; nie chłop, bo to dużego konia chód wyraźnie, nie...

I słowa mu na ustach zamarły, gdy pochyliwszy się do niskiego okna, ujrzał na ślicznym wierzchowcu młodego bardzo mężczyznę, a wedle swych wyobrażeń młokosa, który ze służką w jasno-zielonej kurtce, na bułanym koniu

kozackim mu towarzyszącym, stawał właśnie przed gankiem.

— Otóż jest mosanie — rzekł pan Jacek — sroka ranna wywołała gościa: bo taki sroka nigdy daremnie nie krzyczy; a tu i Franki w domu nie ma, i Brzozowskę lichio z domu na te grzyby wyniosło, i ja jeden jak palec z tym błaznem Hryćkiem zostałem się sam, a on i szklanki wody, jak się patrzy, podać nie potrafi. Dajżetu sobie rady, kiedyś mądry!

W sieni już było słyszać głos i szastanie nogami; stary rad-nie-rad pospieszał powitać gościa, choć niezbyt ochoczo, z powodu, że był sam jeden, ale serdecznie mu wdzięczen, bo po staremu: gość w dom, Bóg w dom.

— Żeby choć Brzozowska rychło wróciła! — mówił w duchu biorąc już za klanke.

Z drugiej strony progu, młodzieniec uśmiechnięty, bardzo wytwornie ubrany, stoi nie piękny twarzą, ale świeży i wesół. Z dziwném wykrzywieniem ust, zakrawajacém na szyderstwo, pytał zdejmując czapeczkę:

— Pan Jacek Kurdesz?

— Jestem do usług panskich *in persona*, a proszę do środka *ante omnia*, bo przez próg się nie witają.

Paniez poskoczył do izby, obejrzał się szybko i pokłoniwszy się powtórę, rzekł dosyć grzecznie, choć dosyć też dumnie:

— Miło mi poznać sąsiada; jestem Sylwan Dendera. Ojciec mój przysłał mnie, abym mu ukłon od niego oświadczył, a razem prosił go na przyjacielski obiad, na niedzielę.

Twarz starca widocznie zajaśniała radością: zniżył się ledwie nie do kolan młodemu paniczowi, i składając ręce, rzekł z przejęciem. telnacém czasów dawnych szlachecką dla panów czołobitnością:

— Ileż wdzięczności nosanie, winienem jasnie wicnożnemu grafowi! Jakże potrafię przyjąć tak dostojnego w mojej chatynce gościa!

Młodzieniec się uśmiechnął, wziął wyciągniętą dłoń starego, wstrząsnął nią ponętnie, i szukając krzesła, zawołał ze śmiechem niedorzecznie dosyć:

— Jakże pan tu szczupło mieszka!

Starzec cokolwiek oprzytomniał, widząc, że młokos dość go lekko traktuje; i nie tracąc uniżoności dla krwi jasnie wielmożnej, raźniej przecie i śmieliej odpowiedział:

— A cóż, jasnie wielmożny grafie, mosanie, nie dla nasto szlachty ubogić pałace: człek sobie do słomianój strzechy przywykł.

Młodzieniec roztargniony muszcząc młodego węża, nie wiedząc co mówić, poglądał po kątach.

— Pan tu dawno już mieszka?

— Tum się mosanie urodził, i zdaje się, że tu i umrę, jeśli Bóg pozwoli.

— Tak sam jeden?

— Juściż nie zupełnie sam,—ośmielając się i rozgadując mówił Kurdesz.—Straciłem prawda najlepszego towarzysza świętej pamięci żonę moję, ale mi po niej została córka, pociecha i podpora starości. Miałbym to sobie za szczęście, mosanie, jasnie wielmożny grafie, przedstawić ją jako gospodynię mojej chatynki, ale nieszczęściem wyszła...



Stary chciał już powiedzieć: na grzyby, ale mu się wymknęło: na przechadzkę. Przed panem grafem jakoś się grzybów powstydził.

— Czym tylko w przyległej brzezynie nie spotkał córki pańskiej,—niedbale podtrzymując rozmowę rzekł Sylwan — w białej z różowém sukience, włosy ciemne....

— I bardzo piękna dziewczyna—dodał spiesznie pan Kurdesz.

Szczesny się uśmiechnął nieznacznie do siebie, kończąc:

— Obok szła podżyła i otyła kobiecina.

— A to Brzozowska, ani chybi — przerwał pan Jacek—i jeszcze dziewczki, mosanie.

— Już tam reszty nie widziałem.

Nie wiem dlaczego młody człowiek trochę się zamyslił; coś zdawał sobie rachować, potem zdjął rękawiczki i milęd nieco uśmiechnawszy się do starego, prosił o pozwolenie chwili spoczynku.

— Tfu! człek głupieje na starość!—zawołał gospodarz — a toć mnie pan graf zawstydzasz swoją dobrocią: mnieto samemu należało *humillime* prosić, żeby koniki choć wysapały się



przy żłobie i zęby przetarły. A tymczasem i moja Franka nadejdzie — dodał w duchu do siebie—i Brzozowska, i podwieczorek choć siaki taki dla tego grafiątka skoncypujemy.

Wyszli tedy na ganek oba, a stary spojrzawszy na konie wierzchowe, nie odpuścił ich do stajni, póki nie obejrzał. Sylwan był także koniarzem, lub go przynajmniej udawał: miał lub chciał mieć tę żyłkę szlachecką, do której morda dodała angielskiego pierwiastku. Poczuli oba oglądać, roprawiać, i rozmowa łatwiej już dalej poszła.

— Pański koń na oko ślicznota: rasowy, krew jest, caceczka, ale do pracy...—zauknął szlachcic—do pracy, mosanie, wolę tego niepoczesnego kozackiego bułanka. Toto koń! Wytrzyma dzień cały, choćby mu się nie dać i wysapać: nogi tęgie, skład mocny, żylasty, kość gruba, pierś aż miło.

— A mójże?—spytał hrabia.

— Pański, mosanie, caca lala, ale kto go é, co on może wytrzymać? Schlasta się we wie godziny.

— Ta lalczka kosztuje mnie przecie do dwóchset dukatów.

— Bardzo być może i nie dziwuję się temu; ale dla mnie JW. grafie mosanie, te angielskiego rodu konie jakoś nie w smak; cienkie to. chartowate, i choć może szybkie na krótką metę, ale na wytrwanie wolę nasze wschodniopolskie. Angielskie za szkłem śliczne, ale co mi po tém, kiedyto chuchać bez miary, a jechać pod strachem trzeba. Ej! kiedyś to i człowiek miał stajnię. mosanie. i wierchowce niczego. ale teraz...

— Może i terazby się co znalazło? — trochę szydersko zapytał pan Sylwan, mrugając na swego kozaka zpoza starego.

— Choćby się i znalazło, to nie do smaku pańskiego — dokończył pan Jacek. — Mamci to ja siwkę...

— A niechno pan każe pokazać!

— Już ci się jój nie powstydzę: to harna bestya! Ale kiedy to i wyprowadzić po ludzku nie ma komu! Wola gościa święta! Hej! — zawołał — pokażcieno tu młodszą siwkę; tylko ją weź po ludzku!

Hryćko się zawinął, zarzucił kantar na głowę faworytalnej klaczy gospodarza, i piękne to stworzenko ukazało się raźnie, ochoczo, wesoło wychodząc ze stajni, gdyby panienka co ją na bal wiodą. Pan Sylwan Dendera, który się w szlacheckiej stajence spodziewał niepoczesnego chynyza, zdumiał się tak, że aż kilka kroków naprzeciw siwki postąpił.

Ślicznabo to klacz była! Wschodnia krew czuć się w niej dawała: niezbyt rosła, nieziniernie kształtna, z łbeni pełnym wyrazu, z nogą suchą a muskularną, z żyłami wybitnie oznaczonemi po całej skórze, lśniąca, błyszcząca, wymuskana jak pieszczone dziecko. wydawała się przy angliku hrabiego jak piękna wiejska dziewczyna. przy wysznurowanej i bladej panience.

Stary Jacek z uczuciem poglądził śliczne stworzenko. które wachając, kawałka chleba zwykłego po rękach jego szukało. Hrabia podziwiał, oglądał siwkę i chwalił ją szczerze: nawet trochę zazdrości przebijało się w jego wyrazach, rad był serdecznie znaleźć jaką wadę, ale nie mógł.

Gdy tak koniarzują w dziedzińcu, Franka, córka pana Kurdesza, powraca spiesźnie z brzeziny. Widziała ona i pani Brzozowska, że nieznamy jakiś piękny młodzieniec na dzielny koniu pojechał do Wulki. Ciekawość, wreszcie potrzeba pomożenia ojcu w przyjęciu, dodała nóg France, za którą ledwie zdążyć już mogła Brzozowska, stara, zdyszana i zapocona, podbiegając a stękając.

— Brzozosiu! na miłość Boga pospieszajmy.  
— co chwilę powtarzała Frania — ojciec sobie nie da rady.

— Tak, tak, niech już panna nie bałamuci darmo; nibyto ja tego nie rozumieni: kawalera się chce zobaczyć. Nie bójże się, nie uciecze: zastanieniy go jeszcze; nie po co on przyjechał.

— Wyobraź sobie Brzozosiu, któżby to mógł być?—pytała pospieszając Frania.

— Albo ja wiem. Królewicz może jaki.

— Ty bo żartujesz ze mnie.

— Ale nie, moja śliczna panienko: jakbysto ty i królewicza nie była warta?

— No! jakże ci się jednak zdaje, ktoto taki?

— A któżby to zgadł!

— Czyś bardzo zmęczona?

— Ledwie się wlokę.

— No, to wiesz co, zostań się trochę z Agatą. a ja z Horpyną trochę przodem pobiegnę.

— O! co na to nie pozwolę, jak Boga mego kocham: jeszcze mi się potem rozchorujesz..... dość już i tak lecim. Nie bójże się, nie uciecze.

— Wstydź się Brzozosiu! prześladujesz mnie; widziałas jaki koi śliczny?

— I chłopiec niczego.

— A za nim sługa.

— Wszystko tak jakoś z pańska: sługa zielono.

Podobnie rozmawiały całą drogę od brzeziny do dworku, a biedna Brzozowska jak mogła dreptała, żeby zdążyć za panienką, która ledwie że nie leciała do dworu biegiem.

Cóż dziwnego? Tak było pusto w Wulce, tak smutno i tak rzadko gość do starego szlachcica zawitał! Nowa postać była zjawiskiem tak niespodzianém i dziwném, że samój Brzozowskiej nóg i ochoty dodawała. My spojrzymy na Fra-

nią, na jedynaczkę pana Jacka, piękną polną różyczkę, wykwitłą wśród dzikich zarośli.

Przebywszy młodość w wojsku, nabiedowawszy się na świecie, pan Jacek nierychło wrócił na zagon domowy, i nierychło się już szronem obsypany będąc, ożenił. Niedługo cieszył się swoim szczęściem spokojnym: bo wkrótce żona mu zmarła, jedno tylko zostawując dziecię. Do niego, jak do ostatniego węzła, co go ze światem łączył, przywiązał się stary szlachcic całą duszą, sercem całym.

Ale jakież być mogło wychowanie pieszczonój jedynaczki w osamotnionej Wulce? Stara Brzozowska niegdyś przyjaciółka pani Kurdeszowój, dziś rezydentka i gospodyni na jej miejscu, podjęła się wypieszczenia Frani; dopełniła też tego sumiennie i serdecznie, i wychowała, wychuchała jedynaczkę jak najlepiej, współ z ojcem wiecznie niespokojnym, zawsze jeszcze utrzymującym, że dziecię nie dosyć było pieszczone. Frania wyrosła na panią samowładną wśród posłusznych poddanych, z których najpierwszym był ojciec: wola jej była rozkazem, uśmiech weselem wszystkich,

smutek strapieniem powszechném. Jednakże ta samowładność Frani miała pewne granice: gdzie chodziło o jej zabawy, strój, rozrywkę, wszystko było na usługi; cokolwiek mogło obchodzić przyszłość, wpłynąć na los, tu już pilne oko ojca czuwało, i z pierwszego sługi, pan Kurdesz wracał do praw rodzicielskich. Ale je czuć dawał z taką miłością, z tak troskliwém baczeniem na uczucia Frani, a dziecko było tak łagodne i wierzyło w ojca, że nigdy nie miało nawet chętki sprzeciwić mu się. Swobodna zresztą jak łania w lesie, wykołysana przez starca, przebujała niłodość swoją, nie poznawszy co boleść i cierpienie. Pan Jacek choćby go na to stało, nie chciał jej wychowywać na wielką panią: raz, że potrzebaby nad nauką trochę dziecko przynęczyć, a na to zezwolić mu było bardzo ciężko; powtóre, że dla kobiety nie widział potrzeby innego wychowania nad staropolskie troskliwe czuwanie, by wzrastała czysta, święta, hoża, rumiana i wesoła. Frania też nic wcale się nie uczyła: umiała tyle ledwie co Brzozowska, która jako-tako czytała modlitwy, do

których była przywykła na książce, i umiała się dość krzywo podpisać.

Oprócz tego nauczyła ją troskliwa opiekunka pobożnych kilku i światowych textów śpiewać, robić pończochę, szyć gładko, sny tłumaczyć, ziółka suszyć, piec baby, pierniki, tłuczeńce i makowniki i t. p. Pan Kurdesz w głębi duszy był przekonany, że umiała bardzo dosyć.

W istocie, świata i ludzi nie znała bynajmniej biedna Frania, widząc przez świat zaczarowany bajek, podań i cudownych powieści, całe czekające ją życie. Po jej głowie jak w skazce, chodzili jeszcze królewicze, przełatywały najdziwsze złożone marzenia. Budziła się wesoła, zasypiała spokojna, żaden smutek nie zmarszczył jej czoła; nie miałaż prawa powiedzieć o sobie, że tak być musi, że tak zawsze będzie?

Frانيا była pięknym dziecięciem, ledwie siedemnastoletniem: czarne duże oczy, włos ciemny prześliczny, płeć trochę ogorzała, ale świeża, starego używszy porównania, jak pączek różany. Usta maluczkie, zęby bieluchne i drobne, ręka i noga kształtna, kibić zręczna, choć



nie do zbytku wycieńczona, bo jój dano wzrosnąć i rozwinać się swobodnie; a przytém śmiała, wesoła, rażna i niewinnie zalotna. Uśmiech nieustannie z kąta w kątek błędził po jój twarzy, pełnej wyrazu dobroci łagodnej i odwagi razem. Nic ją nigdy nie ułękło, nie rozumiała strachu: prawa córka szlachcica, gotowa była zuchwałego skarcić dłonią, z losem się poborukać i kroku nie ustąpić nieprzyjacielowi. Nieprzebrane skarby miłości, poświęcenia, litości i mięztwa, zebrane były w jój czystej i spokojnej duszy, jak ziarno w bogatym śpiclirzu na głodne lata.

Ciekawa a nietrwożna, z koszykiem na ręku wbiegła Frania z Brzozowską i dziewczętami w dziedziniec, a ledwie róg białej jój sukienki u wrót się pokazał, ojciec zapomniawszy gościa, cały się ku niej obrócił. Za nim i młodzieniec z wyszukaną grzecznością powitał wesołe dziewczę, które wprost mu w oczy spojrzawszy, usiłowało odgadnąć, co tu tak niezwykle robić może przybylec.

— Otóż i moja Frania—zawołał Kurdesz—chodźżeno, chodź Franiu — dodał żywo—ma-

my gościa. JW. gróf Dendera tak na starego swego łaskaw służy, że przez własnego syna zaprasza go na uroczystość solenną.

Frania uśmiechnęła się wesoło, powtórnie zajrzała w oczy hrabiemu, który naturalnie wzroku nie odwrócił, ani się zmieszał; a źle zrozumiawszy jej niewinną śmiałość i zalotność, wziął ją na rachunek swego imienia i postawy, nie staropolskiej prostoty i uprzejmości.

— A teraz z Brzozowską pomyślcie o podwieczorku—dodał Kurdesz.

Brzozowska, która stała w zachwyceniu patrząc na ładne hrabiątko i egzaminując łakomie to jego, to służy, a nieledwie licząc guziki u sukien, odezwała się naiwnie:

— Ale czémżeto takiego pana przyjmować!

Pochlebiło to Sylwanowi, który z uśmiechem rzekł:

— Szklanką mleka, kochana pani.

— Oho! co na to, to nie zgoda — zawołał żywo stary—tak nie odpuszczę. Co to pan myśli, że już u nas herbaty i kawy nawet się nie znajdzie, albo i kieliszka wina starego?

— A możeby co zgotować?—przerwała gościnną Brzozowska — kurcząt upiec do sałaty. albo....

— O! ja jeść nie nie będę.

— Tak głodnego nie puściiny — stanowczo odparł szlachcic.

Frania i Sylwan przez czas téj rozmowy ciekawemi mierzyli się oczyma: pierwszyto raz w życiu dziewczę spotkało tak pięknego młodzieńca, który marzenia jój może urzeczywistnił; Sylwan uwiedziony zarazem pięknością jój i śmiałością, snuł naprędce romans bez ceremonii. Tak-bo to zdawało mu się wygodnóm mieć sobie niezawadną kochaneczkę. niedaleko od Denderowa. w domku, do którego mógł przyjeżdżać bez fraka i żółtych rękawiczek!

— A teraz prosimy do pokoju—rzekł szlachcic biorąc pod rękę hrabiego, i trochę nierad upartemu przypatrywaniu się sobie młodych ludzi.

Frania ledwie kilka słów przemówiwszy. z Brzozowską razem pobiegła przysposabiać podwieczorek.

Już nie wiem jak i czyją sprawą upiekły się kurczęta, przygotowała sałata i zrobiły pierogi z serem: bo Brzozowska gorejąca ciekawością i niepokojem, podbudzonym do najwyższego stopnia, latała jak oparzona, pojąc służącego i rozpytując go o wszystko, co wiedział i czego nie wiedział.

Frania jak skoro mogła odejść, nie tając się z ciekawością swoją, także pospieszyła do pokoju, gdzie hrabia palił cygaro, o koniach rozmawiając z panem Kurdeszem. Nie przypuszczając, żeby mogło być inne jakie i przyzwoitsze a lepsze życie nad jej własne. naiwnie poczęła je malować Sylwanowi, który śmiejąc się w duchu, był rad spotkaniej na drodze sielance, i wywoływał jej obrazy.

— O! ja bo się wcale nie nudzę — mówiła mu Frania; — latem, proszę pana, chodzimy z Brzozosią na grzyby do brzeziny jak dziś, a czasem i dalej: zbieramy zioła, robimy sobie co w ogródku; wieczorami śpiewamy i mówimy śliczne powieści i bajki.

Sylwan uśmiechnął się, ale Frania wzięła ten uśmiech za dobrą monetę.

— Zimą jest tysiąc przyjemności także. Tyle świąt, tyle do nich przygotowań, nabożeństwo, motki, płótna i inne gospodarstwo; bo ja jestem. trzeba panu wiedzieć, wielką gospodynią.

— Już co to, to prawda, i nie chwałąc jój w oczy—dorzucił pan Kurdesz—Frania nie ma sobie równej w każdej rzeczy: czego się tylko dotknie, zrobi doskonale; a jaka z niej wyborna lekarka!

— I ludzie do mnie o dwie i trzy mile przychodzą po rady — przerwała znowu Frania — nikt tak doskonale nie leczy febry, nikt tak dobrze nie umie poradzić na stłuczenie.

— Jakżeto pani miło być musi—odezwał się chcąc coś przecie powiedzieć Sylwan — tyle błogosławieństw, tyle wdzięczności sobie zaskarbiać.

— Nie przeczę, że mi bardzo miło być ludziom pomocą—śmiało odpowiedziała Frania — a przytém wszakto i obowiązek kobiety.

— I pani się nie nudzi? — spytał Sylwan — w tym zakątku?

— Jakżebyto być mogło — śmiejąc się z tej myśli odparła Frania — tyle zajęcia, tyle roboty: czas tak wesoło upływa, tak prędko.

— A towarzystwo?

— Mam kilka dobrych znajomych, zresztą pocziwa moja Brzozosia, ojciec. Nigdy nie zatęskniła za większym światem.

Sylwan to się uśmiechał szydersko, to się dziwił w duchu, to się wpatrywał w śliczną twarzyczkę Frani, która już poczęła biegając jak wiewiórka, krzątać się około podwieczorku. Stary Kurdesz podbudzony do admiracyi przytomnością obcego, szczebiotliwością córki, miał w oczach łzę rozczenia, w ustach nieskończone dziecięcia pochwały.

Zaledwie wyszła, począł z pełnego serca rozwodzić się nad jej przymiotami:

— Złoto nie dziecko — wołał wznosząc ręce do góry — co to za serce, a co to za główka! Nieraz mnie staremu jak co poradzi, to się zdumieję, zkał ona to, siedząc w tym zakątku na szlacheckiej zagrodzie, prawie ludzi nie widząc. wziąć mogła? A jaki statek, jaka to pobożność, ileto przymiotów różnych, co ich i zliczyć nie-

podobna! Potrzeba z nią żyć od rana do wieczora jak ja, żeby to kochanie serdeczne poznać i ocenić.

Wśród tego toku rozmowy dano podwieczorek. Frania sama zapraszała Sylwana, podsuwała mu kurczęta, nakładała pierogów, dolewała śmietany, a uśmiechając się białemi zębami, patrząc nań śmiało czarnemi palącemi jak żar oczyma, wprawiała go w niepokój niewysłowiony. Sylwan, wychowaniec miast, cudzoziemiec wśród kraju, elegant z wielkiego świata, ujęty, oczarowany wdziękiem prostego dziewczęcia, to się śmiał z siebie, to się łapał na bardzo czułych grzecznościach dla wieśniaczki, w bardzo znaczących wejrzeniach ku pannie Kurdeszance.

Mimowolnie bytność jego w Wulce prawie do uocy się przeciągnęła, i gdy siadał na kon, wyprowadzany na ganek przez całą ludność dworku, bo i stary Kurdesz, i Frania, i Brzozosia, i Agata, i Horpyna, i Ilryćko ze stajni, i gumieny z za węgła, wyglądali wszyscy na pięknego panicza; księżyc już w pełni majestawcznej wypłynął był na niebiosą.

Szlachcie sam chciał strzenie przytrzymać JW. grafowi, ale Sylwan nie dozwolił na to, skoczył dosyć lekko na anglika, dał z nim ogromnego susa, i pokłoniwszy się raz jeszcze czapką i okiem śmiejącej Frani, jak burza wyleciał przez wrota wśród niespokojnych naszczekiwań starego Rozboja.

Za nim Janek masztalerz pana grafa pospieszył także pędem na bułanym, tego podchmielelony i wesoły jak pan. Ma to do siebie przyjęcie szlacheckie, że tu i pana, i sługi, i konie, i psy gdyby były, serdecznie przyjmują, karmią, poją i bawią. Byli o kilkaset kroków od dworku, a już Jankowi język świerzbiał, i zbliżywszy się nieco do panicza, chrząknął naprzód dla zwrócenia jego uwagi, a potem szepnął:

— Oto JW. panie, aż miło!

— Cóżto ci tak miło, Janku?

— Bodajto bywać po szlachcie JW. panie, to i koniom i ludziom wygoda: przyjmują jak rodzzonego brata, karmią, poją, chluchają. Wszakto mnie sama panienska i ta jejmość tłusta, wynosiły na talerzu pierogi i dwa razy słodką wódką częstowały.



— Wódka jak widzę bardzo ci się podobała?

— Nie tyle JW. panie wódka, bo tego i w karczmie za swój grosz dostać można. a człek z łaski pańskiej nie goły,—jak ludzie...

— A cóżto u nich tak osobliwego znalazłeś?

— spytał Sylwan na przekorę.

— Dobrze, jak Boga kocham, ludziska. A panielka, a! jak malinka!

— Ładna. myślisz?

— Juźciż nie powieć i JW. pan, że brzydka. Ot! jabyin panu radził tu i częściej bywać.

— Ho! a po cóż?

— Jak-boto JW. panu ciężko dziś mnie zrozumieć?

Sylwan się rozśmiał.— Jaki-bo ty dzisiaj jesteś poufały!

— Kiedy JW. pan pozwala!

— Pleć sobie pleć, a cóż mi to szkodzi!

— Ot takbyśmy mieli sobie gdzie wesoło wieczorynki przepędzać: byliby nam radzi. Panna caca, laleczka, ludzie jacyś dobrzy, i jabyin tu sobie może co znalazł, i wołałbym jak latać po budnikach i po téj hołocie szlachcie czynszowej, za ich niezdarnemi dziewczyskami.

— Cicho głupeze.

— No! a jak cicho to cicho! — rzekł Janek trochę zmarkocony, że mu kazano milczeć, gdy najbardziej mówić potrzebował. Ale niedługo wytrwał w postanowieniu milczenia, i znowu się rozchrząkał i znowu począł półgłosem:

— Oj! co panna to panna!

Sylwan rozśmiał się na całe gardło.

— Chwała Bogu, JW. pan się śmieje: wi-  
dać, że mam racyą.

— No! cóż tedy dalej Janku?

— A co ma być dalej? jeździlibyśmy sobie cichuteńko, jeździli, ażby się nam sprzykrzyło.

Sylwan nie nie odpowiedział, a co myślał. porozumiemy lepiej, gdy go poznamy bliżej.

Wcale inna, choć niemiłej żywa rozmowa zajinowała w Wulce Brzozosię i Franię. Kurdesz słów kilka przemówiwszy po odjeździe młodego Dendery, poszedł do swojej izdebki. spóźnione odnawiać modlitwy. Naprzeciwko w pokoju Frani, zasiadła Brzozosia na kuferku. i wpatrując się oczyma macierzyńskimi w swo-

ją wychowanicę, okazywała wielką ochotę puszczania sobie cugłów w domysłach i projektach. Twarz jej wydawała niezwykle poruszenie, usta podrygiwały wśród milczenia, oczy wlepiały się we Franię, ręce tajemniczemi zajęte były gestami; nie mogąc jeszcze mówić do panienki, poczyniała już rozprawiać sama z sobą. Niedługo to trwało. bo i jej ciężko było dotrzymać milczenia.

— Otóż chwała Bogu i kawaler!--odezwała się nareszcie, wjeżdżając bramą zwycięzką odrazu.

— Gdzie i jakiżto kawaler Brzozosiu?—spytała Frania.

— Ot jest! nie udawajże proszę. A dzisiejszy?

— Dzisiejszy! cóż on do nas ma? Jak wiesz, przyjechał do ojea i nie więcej; i tyleśmy go pewnie widzieli.

— Mniejsza o to, z czém i po co przyjechał; ale z czém odjechał, to ja wiem?—dodała znacząco kiwając głową.

Frania się uśmiechnęła i szepnęła tylko:

— Co ci się téż śni Brzozosiu! Zapominasz co my, a co on!

— Ot jest! a gdybyto był nietylko graf, ale i sam ksiązę jaki!—obruszyła się gorąco pocziwa Brzozosia, zrywając się z kufra na którym siedziała.—No, to cóż, to cóż? Alboto hrabiowie i książęta nie żenią się ze szlachciankami? czy to piérwszyczna?

— Cha! cha! nicośzacowana Brzozosia już nas i pożeniła!

— No! czemużby nie?

— Ale zmiłujże się, on o tém ani pomyśleć nie może... A...

— A! przepraszam! to jeszcze zobaczymy! Chybaby był ślepy, i z pozwoleniem, nie do nic-go mówiąc, głupi. Nie pochlebając, takić drugić jak moja Frania, nie znaleźć jak grzyba nad drogą.

— Zapomniałaś Brzozosiu, że panowie to insi ludzie; samaś mi o tém mówiła, że u nich inny obyczaj, inny gust, i wszystko inaczej jak u nas. Inny świat!

— Inny świat! bałamucisz! Alboto jest dwa czy trzy światy? Banialuki Franiu! A co go tu

przyniosło, jeśli nie przeznaczenie? He? Jak ciebie zobaczył, już ja o resztę jestem spokojna. Otóż mamy sobie kawalera chwala Bogu, i co się zowie.

Roztropniejsza Frania uśmiechnęła się, nie dopuszczając téj myśli zupełnie, choć ona jój pochlebiała; ale Brzozowskiej już z głowy tego wybić nie było można.

— Skorzystałam—dorzuciła szybko—i wypytałam się tak, niby nic, o wszystko a wszystko, tego pana Janka podpoiwszy odrobinę. Otóż możesz ciekawa tych hrabiów?

— Ale moja Brzozosiu, do czego nam to wszystko?

— No, dajmy na to, że aby gadać: cóż to zaszkodzi?

— Tak, to co innego. A cóżeś się dowiedziała. kochana Brzozosiu?

— Tylko słuchaj uważnie. Naprzód, że nasz pan kawaler....

— Nasz! znowu nasz! Moja Brzozosiu!

— A już że nasz, to nasz — żywo potwierdziła stara—ale to mniejsza. Ma tedy naprzód ojca pana grafa. O nim tośmy już i dawniej

słyszeli: człowiek bardzo bogaty; wiosek kilka-  
naście, pałace, ogrody, pieniędzy huk, i z miny  
pan całą gębą.

— Widzisz sama Brzozosiu, gdzieby taki  
pan mógł synowi pozwolić...

— Ale nie przerywajże mi kochanie, ja nie  
nie myślę. Widziałam go w kościele: zdaje się  
pocziwy człowiek i dobry, łagodny, miuclny.  
uśmichea się i kłania do każdego. Potém ma  
matkę: anioła dobroci, dobrą a przedobrą ko-  
bićcinę, niezmiernie przywiązaną do męża i do  
dzieci. I ta jeszcze ma matkę, wielką panią,  
bardzo szanowną i poważną, co się zowie ma-  
tronę; znać jeszcze, że była dawniej piękna.  
Znałam ją w młodości: była za kasztelanem Ma-  
ryckim i mieli niegdys wielką fortunę. Trzeba  
wiedzieć jak ją wszyscy honorują. jak przed  
nią padają. Oprócz naszego kawalera, jest je-  
szcze córka, śliczna panienka: widujemy ją  
w kościele; musiałaś uważać, słuszu, poważna  
blondynka, czegoś niby smutna i dumna. ale  
jej z tém do twarzy. Mieszkają wszyscy w Den-  
derowie; nieraz może, kochanie moje. jadąc  
z Wulki do Lasiniec. widzieć musiałaś nade dro-

gą wielki pałac Denderowski, w drzewach, w klombach nad stawem. Otóżto tam rezydencya ich pańska.

Frania ruszyła rannionami.

— Ale moja Brzozosiu, ten twój kawaler, jak sama widzisz, milionowy pan, hrabiątko; jemu się i nie śni o mnie, a ja...

— Ale mnie się śni, i co się śni to wysni. Milionowy czy nie, grafiątko czy książątko. co komu do tego; ja co wiem to wiem, i kwita.

A widząc, że Frania niebardzo się broni poddawanéj myśli, Brzozosia wyszła z pokoiku zostawując ją samą, poszła rozmawiać z Agatą i Horpyną, a dziewczę z myślami siadło marzyć w okienku. Sparta na ręku Frania, mimowolnie gnała dumą za pięknym chłopcem, który dla niej był tak grzeczny, może więcej niż grzeczny tylko; przypominała co jój mówił, zastanawiała się nad tem jak na nią patrzył, rozbiierała przywitanie i pożegnanie. i każde słowo i każdy ruch jego. W ostatku pytała się smutniejsza poglądając w okno: powróci on czy nie? przyjedzie on znowu do Wulki? zobacze go ja, czy już nie zobacze?

A coś jój mówiło w głębi duszy, że powróci, przyjedzie, że go zobaczy, i koniec końcem ledwie już nie uwierzyła Brzozowskiej, budując na przelotnych odwiedzinach trzpiota, całą zaczarowaną przyszłość. Tak ptaszki, Frani lekkością podobne, gniazda z puchów ścielą, łapiąc je wiatrem z pod skrzydeł; tak dzieci biegną za bańką mydlaną; tak nieraz starsi i rozumniejsi na myślach, domysłach, nadziejach, sadzili przyszłość naszą! Wiekuiście dzieci!

My rzućmy marzącą Franię i żywo rozmawiającą Brzozosię, która serio kłopotczy się już z kądem weźmie rożnarynu dla swój panny-młodej, a zwróćmy się do starego Kurdesza, którego bliżej poznać potrzebujemy.

Jego wiek i siwizna już go nain w części odmalowały. Zabytek to innego życia, innego społecznego porządku, wyraz innych przekonań i pojęć, wyjątek wśród nowego świata, który nain patrzy z szyderstwem, litością, z zadziwieniem. Jak strój Kurdesza, tak serce i myśli nie do naszych należały czasów. Wśród współczesnych sobie młodszych od siebie, był on jak człowiek, któryby zasnął na pół wieku i obu-



dził się wśród obcych, nieznajomych. Nikt jego, on już nikogo nie pojmował: tak szybko, dziwnie, piorunowo, wszystko się dokoła przewróciło, zmieniło. Kurdesz żył jeszcze zapasem starym, pamiątkami swemi, modlitwą, miłością dla dziecka, a odrobinę nadzieją, że dawne czasy powrócą. Ale cóż wraca na świecie? — wiosny tylko i lata, ale nie ludzie i czasy! Jego stary porządek i obyczaj tak mu się wydawał przedziwnym, że się zawsze spodziewał, iż ludzie po gorzkich doświadczeniach do niego i jego niechylbrój aryngi powrócić muszą.

Życie jego nie miało w sobie nic nadzwyczajnego; owszem, przeszło jak tysiące innych tamtéj epoki. Rodzice, uboga a pracowita szlachta, mieli ich dwóch a córkę trzecią. Na małeńkiej wioseczce była to gromadka, która starego Kurdesza ojca, cześnika międzyrzeckiego, niepokoiła. Potrzebowali losu, i jak skoro dorosli, ze szkół jezuickich poszli oba młodzi Kurdeszowie w usługi pańskie, na dwory zdawna przyjaznych Kurdeszom familij, pańskiej, jak mówiono klamki się trzymać. Trzeba wiedzieć, że szlachectwo Kurdeszów było stare, że nie-

gdys byli to ludzie majetni, a nawet wysoko skolligaceni. Jedna Kurdeszanka była za Kostką, jedna Leszczyńska za Kurdeszem, a dziad ojca pana Jacka miał za sobą kniaziównę Mirską. Przez pamięć tych związków, rody spowinowaczone z Kostkami, Leszczyńskimi, Mirskimi, chętnie się zajęły losem młodych chłopaków, którzy opuściwszy rychło ojca, poszli dośługiwać się przyszłości swojej. Siostra poszła za mąż młodo, za niejakiego Szczerzeckiego, i bezdzietnie zmarła; starszy brat pana Jacka, spadłszy z konia na polowaniu, skaleczał naprzód srodze, chyrlał powróciwszy do domu. i nabiedowawszy długo, nareszcie życie skończył. Cześnik międzyrzecki mając już tylko jedynaka pana Jacka, a sam postarzawszy, wzywał go bardzo do domu, potrzebując pomocy i wyręczenia, ale panu Jackowi zasmakowało życie dworskie i wojskowe.

Nadeszła konfederacya barska. Z panem opiekunem swym poszedł do niej pan Kurdesz: ustąpił potem z kraju z innemi, błakał się długo, i nierychło schorzały, ranny, odarty, le-

dwie poznany, do rodzicielskiego domku się przywłókł.

Tu już ojca ani brata nie zastał, stara matka tylko sama na Wulce gospodarowała, i mimo niemałych trudności, bijąc się z tysiącem kłopotów, dla syna, którego wyglądała uparcie i spodziewała się zawsze, nawet gdy go umarłym głoszono, przysposabiała spoczynek swobodny. Znalazł on Wulkę w najlepszym stanie: zapas wszędzie, dostatek i grosiwa uzbieranego worek niemały. Z żołnierza najlepszy gospodarz, jeśli nie najgorszy. Pan Jacek wyzuty z nadziei służenia użytecznie krajowi z szablą, począł gospodarzyć zawzięcie. a powiodło mu się nad miarę szczęśliwie.

Stara matka już tylko wypoczywała modląc się, a codzień narzekając i płacząc, że ojciec nie dożył powrotu syna i nie pobłogosławił mu jeszcze. Pragnęła koniecznie doczekać wnucząt, i silnie namawiała na ożenienie; ale pan Jacek nie dawał się przekonać. a nie nie odpowiadając. odszedł milczący zawsze, ilekroć go zaczepiła o małżeństwo. Domyślała się starszka, że to nie było bez kozery, że gdzieś,

jak mówili starzy, na pańskim dworze zaślępał. Ale gdzie? jak?—żywa nie wiedziała dusza.

Nierychło wreszcie, nierychło jakoś, konfederat pokiereszowany, zeszpakowaciawszy już, dał się nareszcie namówić i ożenił się.

Stara matka napłakawszy się z radości na weselu, nie doczekawszy upragnionych wnuków, może ze wzruszenia i wielkiego szczęścia, poszła do lepszego życia, do którego ciągle się przygotowywała. Niebawem potem i żona pana Jacka, poczciwa, pracowita a skromna kobięcina, zostawując mu córkę, świat także pożegnała.

Prawda, że nierychło się do niej przywiązał i ożenił niebardzo ochoczo; ale za to jakże ją kochał serdecznie, jakże jęj stratę opłakiwał! Osamotniony wpadł był nawet pan Kurdesz w melancholię, która niemal rok cały trwała; potem widok dziecięcia i skłonność do pracy przemogły. Rzucił się znowu czynnie do gospodarstwa, i tak skutecznie pracując, starzał powoli do reszty. Niemłodo się był ożenił, teraz

smutek szybko siwiznę zasiał coraz gestszą i marszczkami poorął czoło.

Na dziecku naprzód, potem na majątku Pan Bóg mu poszczęścił: Frania urosła na śliczne dziewczę, a z Wulki, malenkiej wioseczki, któraby ledwie innego utrzymać potrafiła, Kurdesz z ładem i oszczędnością uciulał kapitalik weale piękny. Wulka niewiele wprawdzie przynosić mogła, ale jakież były i potrzeby jego? Żył tem, co dał zagon własny, mało co kupując do domu, a strzegąc się wydatku gotowego grosza. Jeden wózek i bryczka służyły od niepamiętnych czasów: konie rodziły się w domu, suknie były jeszcze po dziadach, porządek domowy stary, a pieniądz przyływający wedle starodawnego obyczaju zakłęty, składał się zaraz na kapitalik.

Procenta od niego nie przeżywały się nigdy przy zaprowadzonej oszczędności i skrzętności, dokładano je do summy, i tak powiększała się ona ciągle i coraz znaczniej.

Kapitalik pana Jacka także *more antiquo*, bo tego pilnował się nasz szlachcic we wszystkim, wedle tradycyi domowych nie mógł się

ulożować gdzieindziej i inaczej, jak u wielkiego pana na prowizyi. Rodziny przyjazne Kurdeszowi, skolligacone z niemi, powymierały. pogasły lub oddaliły się z kraju: trzeba było bliżej siebie szukać lokaty, a zawsze u jaśnie wielmożnych. Trafił się w pobliżu grał Zygmunt-August Dendera, szumnie żyjący, obszernych włości dziedzic, którego dom, reputacya, sposób życia, a w ogóle państwo, olśniły biednego szlachcica; i dwakroć sto tysięcy złotych już spoczęły w szkatule hrabiego, dwakroć w pocie czoła zapracowanych na Wulce: przyszły posag Frani.

Pomimo codziennie powiększającego się majątku, życie szlachcica wcale się nie zmieniło, a Kurdesz kłaniając się do kolan i uboższym i mniej od siebie wartym pańcom a trzpiotom, uważał się zawsze za najniższego sługę ich i brata. Mało kto wiedział o jego funduszach dokładniej, gdyż Kurdesz nie tylko się z niemi nie chwalił, ale je raczej taił. Domyślano się wprawdzie po ściśłej oszczędności, że zapas mieć musi niezgorszy; ale nikt ściśłej nie mógł wyliczyć, o ile się jego fortuna powięk-

szyla zabiegani i skrzętnością. Piękna Frania miała już z sąsiedztwa kilku gołych konkurentów do pięknej swój rączki, ale tych pan Jacek bez ceremonii poodprawiał. Zdaleka tylko kręcili się koło niej chłopcy, a stary szlachcic pooglądał na nich okiem baczniem, nie dając się bardzo przysuwać do córki. Co się tyczy bowiem małżeństwa, wcześniej jej zapowiedział, że sam nad niem czuwać będzie. Zresztą miała ona zupełną swobodę w domu i za domem, i gdyby z niej korzystać chciała, przywiązany do niej i zakochany w jedyném dziecięciu ojciec, nie śniałby się może tak surowo jak obiecywał, sprzeciwiać. Ale dotąd Frania żartowała sobie swobodnie ze wszystkich, i wyżej myślą sięgając: bo wszystkie kobiety do wyższości pociąg mają. W tych co ją otaczali nie upatrzyła nikogo, i zdawała się czekać na swego.

Brzozosia też ciągle jej wróżyła coś nadzwyczajnego, i widzieliśmy już, jak niespodzianie wróżbom jej przypadek dał cień prawdopodobieństwa. Staremu szlachcicowi i przez głowę nie przeszło, żeby młode grafiatko mogło

z płochą myślą spojrzeć na jego donię. Wiedział się nadto daleko od Denderów, a zbyt był znowu dumnym, by o czémś mógł roić między niemi a sobą podchwyconem i wymodloném.

---



W niedziele przypadały szumnie zawsze i uroczysto obchodzone imieniny hrabiego Zygmunta-Augusta Dendery, na które zdaleka nawet zjeżdżali się chciwi zabawy panowie. półpankowie. szlachta dostatnia i w różny sposób znajomi lub przyjaźni solenizantowi. Dom hrabiego obszerny bardzo i dla gości wygodny. Wszelkiego rodzaju zabawy, a przedewszystkiém karty; dla młodzieży muzyka i tańce, dla starszych gawędka. wino stare i kucharz wyborny: nęciły na ten dzień wszystkich dokoła o mil dwadzieścia. Hrabia przywiązywał pewną wagę do tego, żeby mieć w dniu tym jak najwięcej gości; w najlepszym był humorze, gdy ich ponie-

ście nie mógł i rywalizował z dalekim sąsiadem swoim równie bogatym panem Zagrobskim z Wileczyna o to, kto więcej mieć będzie przyjaciół półniskowych, karcianych i kielichowych u siebie. Nie wahano się nawet, choć to nie jest we zwyczaju na imieniny, zapraszać lepiej znanych, dla zwiększenia cizby.

Denderów, stolica Zygmunta-Augusta hrabiego Dendery, od lat pięćdziesięciu podobno uhrabionego w Galicyi (gdź i tam miał dobra, a w Galicyi wszyscy hrabiowie; i najbiedniejszy już choć *Ritter* być musi), nazwany został niedawno, by Zygmunt-August miał przyjemność pisać się na Denderowie Denderą, co jakos brzmi majestatycznie i poważnie. Niektórzy przypominali jeszcze dawne jego miano niezbyt miłe brzmiące: zwał się bowiem Hołochwastowem. Postawiony ogromny pałac z kolumnadą dorycką, założone ogrody, wykopane stawy, urządzone austerye, powznoszone dla oka z facyatami białemi różnego rodzaju walące się z tyłu budowle, czyniły tę miejscinę zdaleka czemś lepszem, niżeli była w istocie. Oprócz klucza Denderowskiego, miał jeszcze hrabia

dwa inne, i dobra w Galicyi, o których z powodu oddalenia i granicy, różni różnie mówili. Byli tacy, co tych dóbr znaleźć tam nie mogli; drudzy małą je wioszyną odłużoną zwali: hrabia szeroko o swém państwie na Rusi rozprawał. W życiu, w charakterze, majątku Zygmunta-Augusta Dendery, pełno było nieprzebitych tajemnic. Nie będziemy ich przed czasem usiłować zgadywać; powiemy tylko dla przygotowania nieco czytelnika, że żył na największą stopę, uchodził za bardzo a bardzo bogatego, za spekulatora, i miał dotąd kredyt wielki, że postawę miał pańską (głowę do góry). dom pański, wreszcie pozornie był nadzwyczaj otwarty; ale ludzie bliżej oswojeni mówili, że skryty był dla najbliższych nawet.

Wedle wiadomości powyżej nam udzielonych przez dobrze zainformowaną Brzozowską, wiemy już, że miał syna i córkę, żonę i matkę żony, żyjących. Wszystkie te osoby wkrótce bliżej poznamy.

Syn Sylwan już nam znajomy, który zrana dopiero w niedzielę po przejażdżce swój z ojcem się spotkał, wpół siedział, wpół leżał oby-

czajem młodych ludzi naszego wieku, na kanapie w pokoju ojca. Poprostu mówiąc, rozwaliał się bez ceremonii. Ubrany był w kraciastą krótką kurteczkę, podobne szerokie spodnie, i długą takąż kamizelkę; w ustach miał cygaro zagasłe, rękę jedną na boku opartą, drugą we włosach długich, i raźnie, szumnie na tył zarzucanych.

Ojciec, słusznego wzrostu mężczyzna, barczysty, silnej budowy ciała, chodził z długą fajką po pokoju. Twarz jego bez wyrazu w tej chwili, gdyż w razie potrzeby dopiero przywdziawała maskę stosowną: chinurna była tylko i zasępiona, jak gdyby się undził.

Blady, z oczyma czarnemi ostro poglądającemi, z podgolonemi bakembardami, trochę podlysiały, z brwią namarszczoną i usta wydatne: hrabia jak widać usilnie musiał pracować, by sobie wyrobić hrabiowską powierzchowność i fizyguonią, *le physique de son rôle*. W istocie miał tylko minę miernego aktora na teatrze małego miasteczka. Mowa jego była deklamacyjna, głośna, krzykliwa, niezmiernie stanowczo decydująca, wejrzenie rozkazujące.

uśniech protektorski, chód tragiczny, rzuty głowy bohaterskie. Ubrany w szlafrok jedwabny w złociste kwiaty, na dnie jasnym rzucane, w czapeczkę haftowaną wytwornie, w pantofle tureckie: przechadzał się po dywanie swego pokoju, kiedyniekiedy biorąc do ust bursztyn ogromny cybncha jaśminowego, to znów puszczając go w zamyśleniu. Syn ziewał zarzucając włosy na tył, poglądał na ojca i czekał początku rozmowy, z zaniedbaniem właściwem dobrze wychowanemu młodzieńcowi, który się nauczył szanować tylko jednego siebie, i w obec ojca nawet, całą swą niezależność i indywidualną stara się zachować swobodę.

— A cóż hrabio Sylwanie—odezwał się ojciec stojąc naprzeciw syna (gdyż ojciec i syn tytułu sobie hrabiowskiego nawzajem odnawiać nie widzieli powodu, nawet w potocznej między sobą rozmowie)—a cóż? byłeś u mego szlachcica w tej Wulce?

— A! byłem!

— Prosiłeś go grzecznie, jakem ci mówił?

— Prosiłem! — uśmiewając się i gładząc wąsika, odpowiedział młody hrabia.

— Ale byłeś grzeczny?—z przyciskiem zapytał Zygmunt-August.

— Cóżto za pytanie? hrabio!

— Bo widzisz, niezawsze jesteś równie grzeczny, a z tą drobną szlachtą, nie wiesz, jak po śpilkach! *C'est si susceptible!*

— A czyż nie wiem? Ale się wszystko odbyło wybornie: jadłem przypalone i surowe kurczęta z kwaśną śmietaną, *un mets champêtre*, z sałatą zalaną słoniną, jadłem pierogi, oglądałem konie pana Kurdesza. *Que roulez-vous de plus?*

— No! a chwaliłeś je?

— Naturalnie! I ma w istocie jedną klacz siwą polsko-wschodniego rodu, bardzo ładną, bardzo ładną.

— A nie darował ci jej? — zapytał stary hrabia.

— Myślałem, *qu'il aura le bon esprit de le faire*, ale nie.

— Spodziewam się jednak, że ci okazać musiał i radość i wdzięczność, żeś go odwiedził.

— Jak mógł i umiał, ścisnął za kolana.

— Widziałeś i córunię?

— A jakże, i siwkę i córkę.

— Cóżto za stworzenie: mówią, że to ładne?

— Tak! ładna! jużciż ładna, ale to proste dziewczę, daleko dziksze i mniej cywilizowane, niż garderobianne mojej matki, które czytają romanse pana Sue.

— Spodziewam się — rzekł z uśmiechem ojciec.

— Szlachcic naturalnie przyjedzie?

— *Cela ra sans dire*. Dziękuję ci, żeś mnie posłuchał i był grzeczny!

Syn dym tylko puścił zapaliwszy cygaro, poprawił je, rzucił się głębiej na kanapę i założył nogę na nogę. Ojciec mówił po chwili:

— Będziemy dziś mieli mnóstwo osób różnego stanu, sfery, znaczenia i położenia towarzyskiego.

Syn patrzył tylko ziewając, i czekał co mu dalej ojciec powie.

— Mój Sylwanie—kończył Zygmunt-August Dendera — staraj się być zawsze i wszędzie dla wszystkich uprzedzającą grzecznością.

— Alboż kiedy byłem dla kogo niegrzecznym?

— Tego ja nie mówię: ale jest wiele cieniów i odcieniów grzeczności, mój hrabio.

— Ile osób, tyle grzeczności.

— Masz poniekąd słuszość, ale trzeba być dla wszystkich w swoim domu niezmiernie rady gospodarem, nadskakującym, uprzedzającym.

— Nadskakującym?

— Może powiedziałem zanadto—mówił dalej ojciec—ale zrozumiej tylko ogół mojej rady.

— Wszak wiesz hrabio—odparł syn niedbale—że w mojem przekonaniu wszyscy są równi, a urodzenie...

— Daj mi pokój z waszemi nowemi teoryami, mnie już nie nawrócisz.

Młode hrabię uśmiechnęło się tylko. Trzeba albowiem wiedzieć, że dla tonu, dla nadania sobie barwy wiekowej, po powrocie z zagranicy, Sylwan grał nieźle rolę demokracji i człowieka postępowego. Na czém u niego zależał postęp, dokładnie nie wiemy; zdaje się, że on sobie sam z tego nie uniał czy nie chciał zdać sprawy. Grał, pił, jadł, hulał jak wszyscy, z tą różnicą, że wszystko to czynił jakoś od niechcenia, znu-



dzony, ziewając i z wielkimi tony. Mówił przytém wiele o równości ludzi, postępie, duchu wieku, a mimo to, rył sobie wszędzie herby: na biletach, na guzikach, na cygarniczkach, na liberyi swego grooma i lokaja, na uprząży koni. strojąc w nie rzeczy, zwierzęta i ludzi. Niższych od siebie, (w swém przekonaniu) nie miał za Boże stworzenie; nie wadziło mu to jednak rozsiadłszy się na kanapie, głośno i bardzo szumninie rozprawiać o postępie, o cywilizacyi, o barbarzyństwie naszego kraju, o ucisku włościan, o przyszłym upadku wszelkiej arystokracji. Ale to była farba tylko. Ojciec, któremu pochlebiała ta unniemana w synu wyższość umysłowa, i nowe niby a najświeższe doktryny, cieszył się z nich dla Sylwana, jakby się pysznił nowym jego frakiem lub końmi. Pysznił się tedy stary hrabia słuchając, jak trzy po trzy rezonując syn, dorabiał się opinii sensata, polityka, reformatora; pozwalał na te niewinne hulanki językowe i podsycał nawet argumenta Sylwana swoją lekką opozycją, kończącą się zawsze wykrzyknikiem:

— Mów ty sobie co chcesz, jam już zastary, bym zmienił sposób widzenia: i położenie nasze w społeczeństwie, i imię, i związki rodowe obowiązują mnie dotrzymać placu na starém stanowisku mojej rodziny.

W tej chwili będąc sam na sam we cztery oczy, hrabiowie: stary i młody, nie widzieli potrzeby w długą się wdawać rozprawę, którą oba już powielekroć powtórzyli, a która ich nudziła. Ojciec puścił dym z cybucha, syn ziewnął, i zamilkli.

— Kogóż się spodziewamy?—spytał Sylwan po chwili.

— Jak zwykle wszystkich — odparł dumnie ojciec.

— A więc tłumu?

— Sto, półtorasta, dwieście osób może, kto wie!

— Taki zgicłk mnie nie bawi—rzekł melancholijnie młody.

— Dziwna rzecz: wy młodzi teraz, młodych gustów nie macie.

— Starzyśmy głową i sercem.

— Tém gorzej.



— Tém lepiej ojcie, nie spotkają nas zawody.

— Cóż z sobą robisz rano? — odwracając rozniowę przerwał ojciec, nie chcąc napróżno szafować argumentami, które się na wystawę przy ludziach przydać mogły.

— Ja? Albo co?

— Bo ja mam jeszcze liczne zajęcia.

— Pójdę do siebie.

To mówiąc Sylwan, wziął czapkę ze stolika i nie spojrzawszy nawet na hrabiego ojca, oddalił się świszcząc piosenkę.

— Ledwie wyszedł, hrabia zadzwonił: ukazał się lokaj wygalonowany, w paradnej liberyi.

— Pana Sinolińskiego!

— Słucham JW. grafa, zaraz...

Drzwi się zamknęły, a po chwilce zawołany wszedł pan Sinoliński.

Byłto plenipotent i rządea klucza, i totumfacki hrabiego: jeden, co jego zaufanie posiadał do pewnego stopnia, znał jego kieszeń i interesa, z którym często kłócił się hrabia pozornie. ale zawsze w najlepszej żył zgodzie.

Byłato figura wszechmocna, przed którą drżeli wszyscy: syn, żona, córka, a najbardziej ci, co mieli interesa z panem hrabią. Hrabia bowiem mimo wielkiego majątku, jako spekulant miał téż ogromne interesa.

Smoliński był wieku hrabiego: miał lat pięćdziesiąt kilka, mały, chudy, przygarbiony, twarz lisa i wilka zbite i złączone w jedną; pokorny jak żebrak, zły jak pies na łańcuchu, kłanica jak kalendarz. Na łysój głowie troszka włosów bezbarwnych zwijały się w różne strony bez pewnego projektu, nie myśląc pokryć nawet dojrziałej brudnej łysiny. Niżej pod czołem wysadzoném na przód, błyszczało coś nakszaft burych oczek, których wejścia złapać było niepodobna; usta pokrzywione w fałdach twarzy się zaszyły, uszy tylko ogromne białe, jak pargamin sterczały z dwóch stron dobitnie. Wszedł i zbliżył się zaraz, oglądając się za siebie, aż do gabinetu krokiem śniadym, bez żadnej ceremonii, ukłonów i uniżeń. z miną człowieka, który doskonale jest przekonany, że się bez niego obejść nie można.

- A co?—spytał go hrabia.
- Względem czego?
- Interes z Pęczkowskimi?
- Ułoży się.
- Bardzo krzyczą?
- Jużciż, jakby nie krzyczeli! ale zawsze tylko na mnie.
- No! to jeszcze nie.
- Tak! to nie — śmiejąc się i zacierając ręce rzekł Smoliński — wszystkiemu ja winien.
- Ale... a im zapłacić.
- Trzeba i nie trzeba: zgubili oblig. był nie oblatowany. Masz pan zwykły swój sposób na to. Jeżeli zapłacimy, to nierychło. a co procentu to ani myśleć dawać.
- Słyszę, że ktoś idzie; wyjdź drugimi drzwiami, poczekaj w gabinecie aż cię wezwę.
- Smoliński widać przywykły do podobnych wycieczek za kulisy, uszedł bardzo zręcznie, wyciskając się przez małe drzwiczki, a w téjże chwili lokaj zameldował pana Pęczkowskiego.
- Prosić! prosić! — rzekł hrabia głośno, przybierając minę poważną i biorąc w rękę dłu-

gi papier i suche pióro, jak gdyby dopiero od pracy wstawał.

Po chwili wszedł pan Pęczkowski: szlachcic we fraczku, choćto była dopiero godzina dziesiąta; zapięty, w rękawiczkach łosiowych. z czapką pod pachą, zbiédzony, smutny, blade. Poprawił włosów na progu, otarł nogi uważnie. ukłonił się raz i drugi pokornie, niziuteńko. nim wszedł do gabinetu hrabiego.

Hrabia rzucił papier żywo, niby dopiero go postrzegając, rzucił pióro, cybuch i poskoczył krzycząc dosyć głośno i śmiejąc się swobodnie:

— Kochanego Pęczkosia! jak mi się masz! jak mi się masz!

— Nóżki całuję JW. hrabiego.

— Cóż ty tu porabiasz? jakże się masz? a żonka, a dziatki: co tam słychać?

— Zdrowi JW. panie. Bardzo dziękuję za łaskawą panięć.

— No, siadajże proszę: a zdaleka? z domu?

— Z domu JW. panie.

— Cóżto cię w nasze strony sprowadza?

— A cóż, kiedy nie trocha kłopotu.

— Cóżto jest? proszę: mów moje serce, może ci mogę być pomocnym?

— Właśnie do łaski jego...

— Ale mów tylko Pęczkosiu, co to jest: całym sercem.

— Ot takie nieszczęście: łaska to Boża, że interes z JW. panem; chciałem podnieść moje sunkę.

— U kogo?

— U JW. pana, bo to...

— A maszże co u mnie?

Szlachcie stanął wryty, osłupiał.

— Daruj serce, Pęczkosiu, mam tyle zajęcia, nie biorę na procenta tylko dla znajomych i niebardzo pamiętam. Ale zdaje mi się, że przypominam sobie coś: tak! tak! tysiąc, czy dwa tysiące rubli!

— Dwa tysiące pięćset JW. panie.

— Może być, może być... wistocie...

— Niczawodnie JW. hrabio.

— Nie zapłaciłże ci w roku przeszłym?—  
naiwnie zapytał hrabia.

— Nie JW. panie, opóźniłem się z prośbą moją.

— A no! cóż? jeśli masz u mnie, to rzecz święta: idź do Smolińskiego i odbierz...

— Ale JW. panie, wielki mam kłopot, że mi się gdzieś oblig zawieruszył.

— O! o! o! — długo, przeciągle zawołał gospodarz kiwając głową — o! cóż znowu! Ty taki porządny, mógłżeś zarzucić oblig? O! to złe!...

— Przypadek JW. panie, w drodze...

— Jakkolwiek-bądź, jest czy nie ma obligu. skoro ci się należy...

— Pan Smoliński najlepiej wie o tém.

— A no! to nie ma kwestyi.

— Ale mi robi trudności.

— Zachciałeś! Uchylimy je, to się ułoży, nie frasuj się.

I hrabia usiadł rozpierając się szeroko.

— Ale—dodał—idźże z tém do Smolińskiego, bo ja, jak wiesz, temi drobnemi interesami wcale się nie zajmuję: u mnie tylko massy znaczą; kieruję ogółem. To się załatwi.

— Byłem właśnie u pana Smolińskiego.

— A cóż?

— Robi mi trudności z powodu obligu.



— To się musi załatwić: skomunikujcie się tylko. Zresztą u mnie dziś dzień tak pełen zajęć.

— JW. pan pozwoli sobie złożyć życzenia...

— Dziękuję ci, dziękuję kochany Pęczkosiu, będziesz na obiedzie, prawda? No! a teraz ruszaj na pewne do Smolińskiego, z nim kończ serce; prawda, że czasem ciężki, i mnie nieraz unudzi swoją regularnością zbyteczną, nieraz mi dojść, ale w gruncie dobry człowiek.

— Niebardzo jednak łatwy.

— Wierz mi, to się zrobi, to się musi zrobić. Powiedz mu, że byłeś u mnie.

— Ale kiedy chce, żebym ustąpił. Jakże ja ustąpić mogę: to jedyny moich dzieci fundusik. JW. grał więc sam, żem go w pocie czoła uzbierał.

— Daruj mi, to nie moja rzecz: rób z nim tylko, traktuj; ułóżcie się, dacie radę, a w ostatku ja mu uszy natrę, żeby cię nie szykanował.

— Gdyby JW. pan był łaskaw polecić mu mój interes.

— Z duszy serca!—Zadzwoń.

— Pana Smolińskiego!

Niebawem wszedł drzwiami zwykłemi nie od gabinetu plenipotent, ale całkiem to był już inny człowiek: pokorny, potulny, niby przelekły i zafrasowany, niby ogałuszony pracą, a stanął prawie przy progu.

Hrabia odwrócił się do niego nie poufale jak przed chwilą, ale z tonem rozkazującym:

— Kazałem cię zawołać—rzekł—mój Smoliński: cóż-bo-to znowu robisz z Pęczkowskim? jakieś tam trudności, jakieś ceregiele. Wiész, że ja tego nie lubię, interes powinien się robić prosto, uczciwie, w dwóch słowach, a Pęczkowskiego kochanego szacuję, jestem osobistym jego przyjacielem.

Szlacheć uścisnął i w rękę pocałował hrabiego z radości.

— Kończcie to proszę bez tych obrotów, bardzo ci to polecam.—I hrabia znacząco chrząknął. Każdy prócz Pęczkowskiego poznałby łatwo, co to chrząknięcie znaczyło.

Smoliński milczał, aż nareszcie odważył się niby wyrzec z ukłonem pokornym:

— Cóżem ja tu winien JW. panie. kiedy obliżu nie ma.

— Ale cóż to znaczy, cóż to znaczy!

— JW. pan wie, że ja muszę rachunki złożyć i z wypłat się wytłumaczyć; ja tak wypłacić nie mogę.

— Już jak tam jest to jest: poradźcie się sobie, pokombinujcie i kończcie, niech Pęczkowski będzie zaspokojony, bardzo proszę...

— Żegnani cię Pęczkosiu, bądź spokojny.

To mówiąc hrabia wziął cybuch, papier i pióro, żegnając wierzyciela i plenipotentą.

Zaledwie byli za drzwiami, gdy turkot powozu po brukowanej drodze dziedzińca oznajmił przybycie gościa. Hrabia wyjrzał: sześciokonna zielona poważna karetą, za nią kocz czterokonny i bryka także czwórka zaprzężona, toczyły się pod pałac. Poznał widać kogo wiozła, zadzwonił żywo i zarzuciwszy na siebie surdut z wstążeczką orderową, co go nigdy nie odstępowała, i wzięwszy łaskę pospieszył na dół.

Przybyła z tą pompą, była matka żony hrabiego, na której przyjęcie wyskoczyli wszyscy.

Jaśnie wielmożna z hrabiów Moskorzowskich hrabina Czeremowa. Trzy powozy i czternaście koni wlokły ją jedną tylko i dwór ją otaczają-

cy. Po ekwipażach, liberyi i krzątaniu poznać było łatwo, jak dalece kazała się szanować i jak ją tu szanowano. Hrabia z odkrytą głową przyjął ją z żoną i córką na ganku, przyklękając prawie, i z uczuciem zbyt silném, by mogło być szeszere, ucałował jej pulchną i białą rączkę...

Hrabina mogła mieć około lat sześciudziesiąt, ale trzymała się dobrze i wyglądała na swój wiek młodo: tylko zbyt duża tusza trapiła ją trochę. Żywe oko czarne dumném wejrzaniem zbrojne, nosek małeńki i kształtny, usta ściśnięte i zasznurowane z pretensją, drobne rysy wśród ogromnej z wielkimi wiszącymi podbródkami twarzy, nadawały jęj wcale dziwną fizyognomię i podobieństwo do znanych bardzo wizerunków sławnej w historyi postaci. Dość było spojrzeć na nią, by poznać jak się wysoko nosiła hrabina, na jakim chciała stać tonie, jak przywykła była grać rolę wielkiej pani.

Przyjęcie zięcia, córki, wnuczki nie wzruszyło jęj wcale: uśmiechnęła się tylko zineczona i niby czule razem, pocałowała w czoło od nie-

chcenia hrabinę i hrabiankę, kiwnęła głową bardzo zlekka zięciowi, i obwinawszy się starannie czarnym szalem, zapowiedziawszy niezmierne znużenie, majestatycznym kroczkiem poszła do wyznaczonych sobie na dole w pałacu pokojów. Wszyscy za nią w milczeniu postępowali, otaczając, podtrzymując, drzwi otwierając i wiodąc jak z processją.

Hrabia widocznie zinnno przyjęty i ani słówkiem grzeczném nie powitany, gdyż przybyła mówiła i patrzała tylko na córkę i wnuczkę, uczuł się trochę dotkniętym, i pomimo uniżoności z jaką pożegnał matkę u drzwi jój apartamentu, znać było, iż szukał tylko powodu okazania, iż zrozumiał przywitanie i zdraśnięty był niém do żywego.

Zostawszy sam na sam w sieni, pomyślał chwilę, i wolnym krokiem postąpił ku drzwiom pokojów, do których zajrzał machinalnie, nie wiedząc co robi, roztargniony przeszedł je, zawrócił się nazad i skierował ku oficynie.

Pałac w Denderowie był całą gębą wspaniały: na dawne czasy, książęcym-by się mógł nazwać; ale dziś, gdy żydzi mają najwięcej pie-

niędzy, a książęta prawdziwi są bardzo skromni, powiemy, że i żydby nim nie pogardził. Gmach to był piętrowy z salonami mozaikowanymi, z gzymsami złocistymi, z ogromną masą kolumn, kornisz, anorków, gipsatur, z meblami kosztownymi, z galeryą obrazów dla proporcji jak sala bilardowa, z innóstwem bronzów i marmurów tandetnych, ze wszystkiém wreszcie co pałac stanowi. Były w nim apartamenta galowe i codzienne, salony od balów i powszednie, pokoje gościnne wytworne, pokoje państwa, oranżerye przepyszne, i co tylko gdzie u panów najrzał Dendera a potrafił wymalpować. Były niby antyki, zwierciadła przeraźliwych rozmia-  
rów, stuki, kandelabry, stare porcelany, innóstwo fraszek kosztownych: wszystko to nie żeby dziedzic kochał się w rzeczach tego rodzaju, lub ich dla siebie potrzebował, ale, że tak było u innych, że to widział gdzieś, że tak kazał zwyczaj.

Dość powiedzieć, że nigdy nic nie czytając prócz Paul de Kock'a, hrabia od lat kilku poczuł się obowiązany mieć nawet bibliotekę. Sprowadzono ją ryczałtowie od księgarza, któ-

ry ostatki swego magazynu w nią wpakował; na dole tylko, gdy poczęli wszyscy kupować stare książki, postawiono herbarz Niesieckiego, Okolskiego, Paprockiego, Duńczewskiego, kilka kronik i trochę starych świstków i panegiryków, aby się i tém można pochwalić. Zresztą z tych wielkich foliałów słudzy darli bezpiecznie kartki do oprawiania świec i na inne pilne potrzeby. Nikt zresztą do nich nie zaglądał.

Idąc do oficyny, hrabia spotkał się z synem.

— Nie byłeś jeszcze hrabio u babki?—spytał z przyciskiem nieukontentowania ojciec.

— Właśnie do niej idę—odparł syna.

— Z cygarem?

— Rzucę je w progu.

— Gdzie Wacław?

— Nie wiem. Od kilku dni go nie widziałem.

— Zawsze go nie ma, kiedy najpotrzebniejszy.—rzekł gospodarz, i odszedł ruszając ramionami. Syn powolnie, poważnie, szedł dalej ku pałacowi; ojciec opieszalym krokiem, zamysłony, wracał do swoich pokojów.



Dla bliższego zapoznania czytelników z osobami naszej powieści, powiedzmy jeszcze kto był ten Wacław, o którego hrabia syna zapytywał.

Wacław, niewiadomego zupełnie pochodzenia sierota, od lat dwudziestu kilku, jeszcze przed ożenieniem hrabiego, zjawił się w jego domu, nie wiedząc z kąd i jak. Dziecię to miało być sierotą, synem jakiejś biednej Francuzki, która do kraju naszego przywędrowała z niem, z powodów nieznanych nikomu i tu go odumarła. Nazwiska nawet matki i ojca nie można dojść było, i hrabia wzięwszy go na opiekę, nazwał Sierocińskim. Powszechnie unoszono się nad wspaniałomyślnością Dendery i sercem jego, wskazując jako dowód miłosierności to dziecko, wychowane starannie kosztem jego, i w domu uważane prawie jak pokrewne. Ilekroć kto z jakiegokolwiek przyczyn ośmielił się zarzucić hrabiemu ciężkie traktowanie interesów, nieudzięk w obejściu, dumę, nieprzystępność, brak uczucia; tyle razy przyjaciele Dendery odbijali zwycięzko zarzuty wskazując na Wacława Sierocińskiego, i zamykali usta nienawistnym i zło-



śliwym. Pod pewnym względem za ten dobry uczynek, hrabia sowite odbierał wynagrodzenie w opinii publicznej. Czyn też to chwalebny przytulić sierotę, dać mu nietylko chleb powszedni, który i pieskom dajemy, ale wychowanie uczciwe, stan pewien i sposób do życia, nie odtrącać od swego towarzystwa, nie okazywać pogardy, nie chwalić się swém dziełem. W hrabi Denderze było to nietylko piękne, ale dziwne.

Człowiek ten bowiem, jakeśmy już potrosze widzieli, nie był wcale jednym z ludzi zbytecznie przejętych potrzebą dzielenia się z bliźniemi czém miał, i wylewania się dla nich; owszem, wad przeciwnych a bardzo widocznych miał tysiące, a na czele ich jak wódz stał egoizm podniesiony do najwyższej potęgi: duma ogromna, chciwość niepołamowana; serce miał zimne jak kamień i jak kamień zamknięte. Pozory czułości nic go nie kosztowały, ale uczucia w nim nie było; okazywał miłość z obowiązku dla oka wszystkim, których powinien był kochać wedle reguł powszechnie przyjętych, ale nie kochał nikogo.

Przecież Wacław nie doznał od niego, prócz lekkich czasem przypomnień swojego sieroctwa i napomknień o wielkich dobrodziejstwach, jakich doświadczał, żadnej przykrości, jakiejby po charakterze protektora zrazu domyślać się godziło. Wychował się wprawdzie nie z dziećmi hrabiego, bo od nich był trochę starszym, ale jednak dość starannie i z pewną na rozwinięcie jego bacnością. Hrabina sama, niezmiernie czuła kobieta, przywiązana do męża jak on był do niej przywiązany, to jest zapamiętała, przynajmniej dla ludzkiego oka: nie lubiła tego wychowanka. Sylwan miał go za mało co, bo się jak on nie wychował za granicą i o wielkich kwestyach socyalnych rozprawiać nie umiał *ex professo*, a miał śmieszoną wadę, w oczach Sylwana nieprzebaczoną, że w kraju, co swoje w przeszłości widział wszystko dobrém, piękném a świętém; w ostatku, że nie szydził i z dowcipu Sylwana nie śmiał się, a nie pochlebiał i nie nadszkakiwał mu jak należało.

Sylwan ogłosił Wacława, powróciwszy z Berlina, bez ogródki głupcem.

Wacław nim wcale nie był: wychowany w kraju, bez wielkich, szczególnych, zbytecznych starań, wczesnie uczuwszy, że przyszłość swoją sobie powinien sam zgotować: począł pracować z całą dojrzałością, jaką w dzieciennym wieku często Bóg daje ubogim, i pracował jak sierota. To czego się nauczył umiał doskonale, dokładnie, a nie lubił się z tém chlubić i popisować, bo zawsze czuł, wiele mu braknie. Smutny, bo osamotniony, zawczasu stał się człowiekiem, i rzec można, że dzieciństwa nie poczuł, nie poznał: młodość nawet zastała go już poważnym, milczącym, myślącym, a zmuszonym hamować się z każdym popędem, z myślą każdą.

Dodajmy, że miał duszę wielką, rzadki dar Bożych wybrańców, umysł otwarty i serce poczciwe, i aż do zbytku czułe. Wychowanie, położenie, okoliczności, wyrobiły w nim uczucie poetyczne, coś marzącego, coś płodnego w przyszłości, co go uczynić mogło wielkim artystą lub poetą. Talent do muzyki zastanawiający, zwrócił go do niej, i udoskonaleniu się w nim poświęcił wszystkie wolne chwile; ona

miała być nadal jego żywotem i żywota chlebem. Lecz gdyby w niej nie widział nawet zadużej dla przyszłości podpory, Wacław byłby muzykiem, bo czuł, że się do tego urodził. Wiemy, jak rozdrażnia młodą duszę to obcowanie ze światem duchów, których językiem, poezją, śpiewem, jest muzyka. Wacław pod wpływem niestannym swych studyów, rozkołysał duszę i podniósł exaltacją tajemną do najwyższego stopnia; ale exaltacja ta nie objawiła się nigdy na zewnątrz, chyba wybuchem przypadkowym jak eksplozja wulkanu. Drogo ceniąc swe ucznia, a bojąc się, by ich świat szyderskim nie przyjął śmiechem; Wacław krył się z nimi, a milczenie posępne jedynym było znakiem tego stanu błogiego razem i męczeńskiego. Ucznia te były jak dzieci, które w chłód matka starannie okrywa, otula, by mróz ich świeżych twarzyczek nie zwarzył.

Postawa i rysy młodzieńca zdradzały w nim coś wyższego; przy Sylwanie wyglądał jak posąg natchnionego Apollina obok młodego Satyra; może porównanie mimowolne powierzchowności przyczyniło się do zubożenia dla nie-

go hrabiny i jej syna. Oczy miał szare, wielkie i jakby łąką zasłane; twarz białą a bladą, na którą tylko jakby płomieniem występowały i znikały rumieńce; usta małe i kształtne, czoło wypukłe bardzo, włos ciemno-blond; a ogół rysów stanowił całość nietylko wdzięczną, ale nawet oryginalną. Ujrzawszy go, musiałeś się odwrócić i spytać:—Kto to taki? — Nie było to jedna z tych pospolicie ładnych twarzy, jakich tysiące po świecie, ale fizyognomia wyjątkowa, jak wyjątkowy był człowiek. Średniego wzrostu, raczej słuszny niż mały, muskularny, ale nie chudy: w ruchach, w każdym kroku miał jakiś wdzięk wrodzony, coś miłego, ujmującego, co zaskarbia serce ludzkie wprzód, nimesz słowo przemówił, wprzód nimesz się dał poznać.

Choć nikt nie wiedział o pochodzeniu sieroty, a domysły były bardzo różne: teoretycy arystokracją po szlachetności rysów, po małości ręki, po galbie nogi, po twarzy dochodzący, domyślać się w nim mogli krwi najczystszej, rasy bardzo poprawnej. Bóg wie, jakie ztąd około biedaka przedły się historye! Do wielkich cnót

sieroty, należała pewna duma, którejby się przecie nikt żywy w nim nie domyslił, ktoby go głębiej, bliżej nie poznał, aż do wywnętrzenia go nie zbadał. Byłto bowiem na pozór człek pokory niezrównanej, cichy, nie poszukujący ludzi, ustępujący z drogi nawet sługom, grzeczny do uniżoności, a nie dający z siebie gniewu wywołać nawet obelgą. Wszystko to przecie szlachetna jakaś sprawiała duma. Unikał ludzi, bo się lękał ich szyderstwa, grzecznym był, by ich ująć i rozbroić, a obelgi uważał za daleko niższe od siebie i nie mogące go dotknąć. Źle może nazwałem to uczucie dumą, ale jakże je określić?

Wiekuiasty sinutek na czole Wacława, aż nadto jego położeniem i charakterem dający się tłumaczyć, pochodził także z ciągłego dumania o sieroctwie. Napróżno on dotąd szukał sobie po świecie rodziców, lub domysłu o nich; napróżno badał ludzi, dowiadywał się, śledził: jedyny może coby lepiej mógł wiedzieć o tém, stary pasiecznik, którego żona wychowała sierotę po śmierci Francuzki jego matki, wysłany został do dóbr hrabiego na Pobereże i tam jak

mówiono umarł; drudzy twierdzili, że żył jeszcze, ale dowiedzieć się o nim nie było od kogo, a hrabia sam nawet tych śledztw i pytań wychowania nie lubił, i za nie surowo go karmił. Sylwan się też z nich nielitościwie prześmiewał.

Wieść powszechna, mało o sposobie, w jaki się dostał do Denderowa mówiła, a hrabia okoliczności dotyczące się sieroty wspominał niechętnie, z przykrością, z wahaniem, z gniewem, co tłumaczono zwykle tém, że z dobrego uczynku chlubić się nie chciał.

Wacław pobożny był jak poeta, jak sierota biedny, nie mając ani krewnych, ani przyjaciół, ani równych sobie; bo któż ze znalezioném dziećciem, z podrzutkiem jakimś porównać się zechce? Jednego tylko znał Ojca wszystkich w niebie, jedną poufałą rozmowę z nim miał w modlitwie.

Smutek, nieszczęście, są wielkim dla lepszych dusz do podniesienia się bodźcem: one rozbudzają do życia, one je wywołują, one podnoszą umysł i kształcą serce. Dla wielu nieszczęście zastępuje matkę i kołysze do cnoty! Takiem ono było właśnie dla Wacława, który zżył się



z nićm i winien mu był czćm został. Ale wyższości młodego człowieka nad otaczających, jego wielkich przymiotów, jego myśli skrzydlatych, nikt z ludzi co się o niego ocierali, nie znał, nie widział. Dla nich było bardzo pospolity, głupowaty, roztargniony zawsze, uparcie milczący człowiek, co lubił muzykę. Rzadko słowo wyrywające się z głębi duszy dobiegło do ich uszu, a i tego (nie spodziewając się) znaczenia nie pojęli, lub nie dosłyszeli nawet.

Ktoś jeden tylko był w Denderowie, co czasem, czasem i rzadko bardzo okiem politowania, zajęcia niby, rzucił na Wacława, ale ukradkiem, ale jakby jałmużną, a nigdy przy ludziach. I za to przecie biedny Wacław wieczną wdzięczność przysiągł w sercu hrabiance Cecylii.

Lecz nim poznany hrabiankę Cecylią, zdaje mi się, że po starszeństwie, wprzód się musimy zaprezentować jej matce i bliższą z nią zrobić znajomość. A zatćm: pani hrabina! pani hrabina!... Znaćcie zapewne wiele na Bożym świecie kobiet fałszywych, bo ich jak mćżczyzn fałszywych jest wiele; wątpię jednak, żebyście



kiedy widzieli taki typ fałszu, jakim była hrabina. Typ ten tém był znakomitszym w swoim rodzaju egzemplarzem, że nikt ją o nieszczerłość, o kłamstwo, o udawanie nie posądzał. Pozornie (oprócz dla wtajemniczonych), był to wzorek cnót towarzyskich, byłato kobiéta jak anioł łagodna, przywiązana do swoich prawie namiętnie, litościwa do exaltacyi, cała w uczuciu, cała w sercu, a w głębi czeza próżnia w piersi zastępowała to ognisko życia, które się sercem nazywa. Bilo tam coś, cicho, powoli, czasem gorąco, ale komu?—mnogiéj liczbie wybranych i nikomu razem.

Wszystko w niej było wyuczone, wyrachowane, skłamanie od westchnienia do łez, od radości do konwulsyi; równie doskonale umiała w potrzebie zapłakać i rozśmiać się, dostać spazmów, zachorować, patrzeć i nie widzieć, nie słuchając posłyszć. Tak silnie władała sobą, że nieraz potrafiła w potrzebie pozwodzić lekarzy nawet, udając chorobę. Zimna jak lód, obojętna na wszystko co się jéj nie tknęło, umiała otoczyć się blaskiem mnogich nimbusów. Już czterdziestoletnia, wyrobiła sobie piękność wea-

le jeszcze zajmującą i niepospolitą, melancholiczną, oryginalną; zaoszczędziła swe oczy, kibić, uśmiech, usta, włosy, i jak pospolicie ludzie, co sercem nie żyją, wcale się nie zużyła. Miała na pozór jeszcze wszystkie młodości powaby, aż do dziecinnego czasem trzpiotowstwa, aż do naiwności prześlicznie granj; i niekiedy znowu obwijała się w smutek pociągający, w łzawe atmosfery zamyślenia, zdając się mówić: Żałujcie mnie!

Zalotna w niarę, jakby sama o tém nie wiedząc, naturalnie jakoś, zręcznie uniała choćby pięciu razem wodzić za sobą, i wszystkich, nie budząc w nich zazdrości, zaspokoić w różny sposób, nie dając postrzedz oczom obcym żadnego ruchu, żadnego wejrzenia, wymierzonego ku jednemu tylko. W towarzystwie odegrywała doskonale rolę najwyżej podniesionego uczucia miłości dla matki, która dla niej była w istocie mniej niż obojętną, szaloną miłości dla dzieci, czułości dla męża, sympatyj gorącej dla przyjaciół, grzeczności wyrazistej, przejętej dla wszystkich. Nikt też powszechniej lubiony (nie mówię kochany) nie był nad nią wielbiony przez

niektórych i żałowany przez wielu; wielu bowiem uważało, że z hrabią, człowiekiem zimnym, diunnym, zajętem sobą tylko i spekulacyami, kobieta tak niezmiernie czuła, szczęśliwą być nie mogła. Ona wszakże przy ludziach okazywała dla męża przywiązanie pieszczotliwe, które on podobną monetą odpłacał.

W obec ludzi cóżto także była za córka! jaka matka! Cesię swoje nieustannie całowała w czoło, okrywała ją zapobiegliwie od chłodu, biegała za nią, każdy jój krok śledząc, czule podgrywała za najinniejsze narażenie zdrowia; za to gdy były sam na sam z sobą, nie przemówiła do niej słowa, lub zimną przebaknęła przestrogę, a co gorzej, czasem gorzkie czyniła wymówki. Syn, którego w istocie więcej lubiła niż córkę, na pozór był dla niej obojętniejszy; nie chciała bowiem pokazywać, co czuła, i jakby z systemu, choć to było skutkiem bezmyślnym dziwnego usposobienia téj kobiety, kryła zawsze głęboko prawdziwą myśl swoją, nie chcąc jój dać w ręce ludziom: rzekłbyś uczenica Talleyranda.

Hrabina Eugenia muno swych lat czterdziestu podobno i kilku, o które bliżsi tylko znajomi posądzić ją mogli: strojna, żywa, wesoła melancholijnie, tańcząca jeszcze, śpiewająca; muzyczka, filozofka, powszechnie była admirowaną i cenioną wysoko. Tłumy wielbicieli otaczały ją zawsze. Dowcip wielki, znajomość świata, pochwytańc w lot wiadomości z którymi zręcznie pochwalić się umiała, rozinówność wreszcie łatwa: czyniły ją w każdym towarzystwie pożądaną. Niezmiernie zręczna i przytomna w konwersacyi, nigdy nikogo nie obwiniając, uniewinniając wszystkich, uchodziła za osobę pełną taktu, choć cały ten takt zależał na panowaniu nad sobą, na wiadomości co przy kim i jak powiedzieć, i na starannym ukrywaniu, co się wewnątrz niej działo.

Przy tak zimno-zręcznej matce, przy dumnym a obojętnym oju, jaką mogła wyrosnąć Cesia? Bóg nie dał jój czulszego serca, ani uczuć gwałtownych; wychowanie zgasiło wszystko, co się na wierzchu wydobyć mogło inném rozwinieniem. Zgasła, nim rozplonęła młodością. Była to stara panna w siedmiastym roku, pani

siebie, pani swych wejrzeń i wyrazów, czyniąca już jak matka wszystko z wyrachowaniem i ceniąca najwyżej to, do czego przywykła: zbytki, bogactwo, próżnowanie, błyskotliwe znaczenie u świata, hołdy ludzi, a swobodę dostatków.

Cesia nie miała w sobie zarodku namiętności gwałtownych, ale choć potłumione były w niej instynkta żywotne; w inném ognisku postawiona, wychowana w innój sferze, byłaby się wykształciła inaczej. Lecz mogłaż wyrosnąć żywą i naiwną dziewczynką wśród sznurówek, które na nią kładły obyczaje domu i charaktery otaczających? Dusza jest jak światło: odbija się i mnoży, spotęgowuje gdy ją otaczający odbijają; w kirein osutém kole świeci blado i przygasa.

Smutne było jój życie: do nikogo pomówić, z nikim się zbracić. Zrzadka rówieśnice jój panienki jak ona młode, ukazywały się w Denderowie, i to na krótko; matka sam-na-sam prawie do niej nie mówiła, ojciec całował w czoło tylko przy gościach, i to gdy ich było wielu. Zabraniano jój związków z cokolwiek niższemi,

przyjaźni tak potrzebnych młodości i niewinnych nawet stosunków z rówieśnikami; wysznurowana tylko angielfka, przedtém guwernantka. dziś dama do towarzystwa jój dodana, która do-  
bywała u nas do czasu zebrania tysiąca pięćset dukatów, by z niemi powrócić do Anglii i otworzyć sklepik w City, niewiele do uczennicy się przywiązująca, jak uczennica do niój, obojętna na wszystko, co się wkoło niój działo, najbliżej była Cesi i najantypatyczniejsza dla niój.

Wacław był od roku pobytu w Denderowie nauczycielem muzyki hrabianki, ale przez dumę, przez uczucie tego, co był winien domowi dobroczyńcy, ani śmiałyby podnieść oczu na uczennicę swoje. Ona pierwsza z nudów może, może z uczucia jakiego, może z ciekawości zatopiła wzrok pełen zagadnień, w głębią łez pełnych oczu Wacława. Iskra to była budząca życie, choć sama go w sobie nie miała. Cesia próbowała jak młody myśliwiec trafności swych strzałów. Wacław nie pokazał po sobie, ale w nim burza zawrzała. Burza ta grzaniała na dnie tylko jego serca. Cesię gniewała nieczułość młodzieńca: podwajała rzutów oka, dwu-

znacznych słówek, przedłużała godziny nauki; ale wszystko nadaremnie.

W oczach ludzi traktowała go Cesia jak hrabianka służę: nie spoglądała nawet na niego, nie powiedziała mu grzecznego wyrazu, nie uśmiechnęła się nigdy, raziła często jeszcze gorzkimi przycinki, a przed ojcem i matką szydersko odzywała się o nim. Nikt się téż niczego z téj strony nie domyślał.

Ale co się działo w duszy Wacława. Bóg tylko jeden wiedział, a on drugi.

Ku wieczorowi tłunnie zaczęli się zjeżdżać goście. Wacław dla pospolitszych, Sylwan dla nieco dostojniejszych, dla najstarszych i najwięcej znaczących hrabia, stali z powitaniem, starając się ich wprowadzić, unieścić, poznać, jeśli było potrzeba i połączyć z towarzystwem.

Mówiliśmy już, jak rozmaitego stanu, wieku i położenia towarzyskiego ludzie napływali w tym dniu uroczystym do Denderowa. W tym roku Ś. August był jeszcze świetniejszym niż



kiedy. Ilrabiowskie i książęce mitry, szlacheckie łysiny i wąsy w ogromnej zjechały się liczbie; nie brakło ani tancerzy, ani tancerek, ani graczy do *djabła*, ani preferansistów, ani gadułów, ani żadnego z tych żywiołów, które stanowią zabawę naszą na prowincyi.

Nie wiem czyście kiedy uważali, jak u nas dobitnie dzieli się każde liczniejsze społeczeństwo; nie stan tu, nie godność, ale osobiste usposobienia kierują tém powinowactwem wyborowém. Po godzinie szumnego natłoku, jak w płynie jednym zmieszane różne ingredyencye, poczynają osiadać warstwami ludzie z sobą pokrewni namiętnością. Naprzód kształcą się gronka nieliczne polityków, gadułów, gadułów-gospodarzy, z ludzi, co nie chcą lub nie mogą czém inném się zająć, i językiem płacą za gościnę. Jestto klasa najcięższa i najpierwsza osiada na spodzie towarzystwa. Dalej skupiają się młodzi ludzie, zmierzyszy się wprzód dobrze oczyma, i wkrótce od wstępu o koniach, o dziewczętach, grze i hulance, przełamują się w nowe klasyfikacye, rozdzielając na stoły zielone, za krzesła kobiet, do fajkarni, do stajni,



do kielicha. I tu uważać tylko, kto o kobietach nie mówił, pewnie przy nich zostanie; kto o kartach nie wspomniał, za nimi się pociągnie; kto kieliszka nie zdawał się wyglądać i poczyną od — *nie piję*, ten najdłużej mu dotrzyma.

Nim zabrzmi muzyka, już preferansowi *nie tracąc czasu* siadają do stołów, z godną lepszey sprawy gorliwością i zapalem niedorównanym. Za ich przykładem idą ryzykowniejsi djabełkowicze, z których każdy przywiózł w bocznej kieszeni od fraka jakie tysiąc rubli na pastwę szatana: tysiąc rubli, którychby nie dał unicierającemu z głodu.

Ale otóż poloneza zagrali: ten taniec poważny jak pochód wojenny, jak processya, a wesół jak stare czasy, rozpoczyna się. Młodzież wydziela się z łona różnych chwilowych powinowactw, by w sali tańców pozostać. Starzy co za młodych uchodzićby radzi, pierwsi tu stają i dokazują tém mocniej, inn silniej bołą ich zromatyzmowane nogi; żaden młokos świeżo ze szkół puszczonej nie dorówna skocznością szpakowaciejącym tancerzom.

Po wieczerzy nareszcie skłonni do kielicha. kryją się w kątek, by na pamiątkę Sasów i lepszych czasów upić się przyzwoicie, to jest tak. żeby przy swój sile dosiąść bryczki lub powozu, i nie powalać kanap ani posadzek; co się nie zawsze udaje, bo miarkę przebrać łatwo.

Wśród tego tłumu, gdzie wybór ludzi? — Ja nie wiem. Szukam go wszędzie, mijając wszakże stoliki kartowe, bo to nie wybór ale wybiorki tylko być mogą; szukam i kręcę się napróżno. Rozmowy zwiastują dziwną czezość umysłową. straszną, bolesną: są to plotki polityczne, dowodzące, że ci panowie od arendarzy swych uczą się jeszcze dyplomacyi; są to plotki gospodarskie, dowodzące, że gospodarstwo u nas rutyną bezmyślną i chybił-trafił pocieszném; są to plotki towarzyskie, objawiające brak serca często, częściej brak zupełny głowy. A co za sądy o przeszłości, jakie terażniejszości pojęcie, jakie rzuty oka na przyszłość: Boże zmiłuj się nad nami! Dwóch czy trzech szepece czego nie śmieć powiedzieć w obec tłumu, boby ich zakrzyczano, a ten szept kilku, niesłyszany, niesłuchany, jest jedynym głosem godnym uwagi.

Takieto właśnie, o jakim tu mowa, było towarzystwo w Denderowie. Wielkie salony jaśniały oświecone *à giorno*, kwiaty, zapachy: muzyka, stroje, gwar, uścisków bez końca: grzeczności do znudzenia, komplementów fury, witania aż do wilgoci posunięte, pocałunki czerwieniące twarze, westchnienia gaszące światła; a wśród tego wszystkiego, w ciemnym przedpokoju, na opuszczonej kanapce, w kątku, ze złożonemi na krzyż rękoma, z głową na piersi spuszczoną, jeden biędny, osamotniony człowiek. Pokójto przechodni i pusty; w nim Wacław czeka rozkazów hrabiego.

Cesia przesunęła się w różowej krepowej sukni, z bukietem w ręku, przez pół-cień czarownicy, witając uśmiechem swoje twarzyczkę w zwierciadle. Wacław zobaczył ją, poruszył się z miejsca, ona się zlekła.

— A!—krzyknęła—a! to pan!

Odwróciła się. Nadto może była ubrana, by mogła spojrzeć na niego; szła dalej, a z nią myśl jakaś, i jakby coś zamierzając, wpół drogi zwolniła kroku, rzucając na niego długie, długie wejrzenie, które go przeszyło. Potém.

wyjmując z ust gałązkę rezedy, upuściła ją. ni-  
by gubiąc po drodze.

Wyszła; nie było nikogo. Wacław sądził, że  
już daleko od drzwi odbiegła, rzucił się i podjął  
tę gałązkę rezedy, jak złodziej, jak zbójca chwy-  
tając tę zdobycz... Jakże się przeląkł, jak po-  
bladł, gdy podnosząc głowę, ujrzał ją czatu-  
jącą za drzwiami i śledzącą skutków swego  
podstępu. Ledwie pochwycił tę nieszczęśliwą  
rezedy gałązkę, gdy Cesia uradowana, zwy-  
cięzka, ani już spojrzawszy na niego nawet,  
uszyła do salonu lekka i wesoła... Byłoto pierw-  
sze jój zwycięstwo: wiedziała, że ją kochał.  
wiedziała, że rozkochać mogła.

Wacław pozostał wpół zabity, gniewny na  
siebie, że nie przewidział podstępu, zropaczo-  
ny, że się wydał, szalejąc w głowie, jak się  
z tego wythłunaczyć, wyklamać potrafi.

— A! — rzekł z bijącym sercem — kłanmy,  
gdy kłamać potrzeba, gdyśiny w świecie fałszu;  
powiem jój, jeśli się spyta, że m sądził, iż zgu-  
biła co od stroju, pierścione, bransoletkę; a gdy  
się spyta o rezedę, nie przyznam się, o! nie

przyznam, że ją noszę na sercu... Nigdy, nigdy wiedzieć o tém nie będzie, co czuję!...

Niestety! fałszywyto był, choć pocziwy rachunek. Cesia, jako kobieta przebiegła, starsza głową i przeczuciem niżeli doświadczeniem, wiedziała co widziała, a klęczący, chwytający gałązkę zgubioną Wacław, wypowiadał się zbyt szczerze, by mógł przed nią resztę utaić.

W salonach oświeconych snuły się czarowne postaci niewieście. a jak królowa balu rozsiała się w krzesle poważnie, *niegdyś piękna*, dziś tylko majestatyczna hrabina Czeremowa, w aksamitnej z koronami sukni, w toku z piórem na głowie. w łańcuchu złotym na pierśsiach aż pod brodę podsnurowanych. z lornetką w rękę, i z tą miną pogardliwą, szyderską razem i dumną, która ma oznaczać panią najwyższego tonu, a dziś przystała doskonale strojuym tylko kucharkom i wyszłym za generałów pomywaczkom.

Obok niej. *piękna jeszcze* pani hrabina Denderowa, melancholijnie wsparta na białem rękę prześlicznych kształtów, wodziła wzrokiem przyćmionym umyślnie po sali, przynilając się

i wdzięcząc do wszystkich, nie szczędząc słodkich słówek i niby nie słuchając a słysząc co jej szeptał pan Powała, były rotmistrz gwardyi. słuszny i potężnych ramion mężczyzna, z wąsem lśniącym i okiem czarném.

Daléj rzędem, *już piękne* siedziały panienki, na ich czele weselsza niż kiedy Cesia. Były przystojne, choć niepiękne, ściśle biorąc dziewczę, kształtnych rysów, w których choć charakteru i żywota brakło, było przecie jakieś niespokojne zajęcie; oczu małych, świegotliwych, ruchawych, noska małego i ładnego, kibici zręcznej, postawy wyuczenie dumnej, którą wzięła po babce i ojcu. Twarzyczkę jej pokrywała sentymentalna moze, a niechybnie chorobliwa bladosc.

Sylwan w czarnym fraku, białych rękawiczkach obcisłych niezwyczajnie, w wernixowanych bucikach, z lornetką w rękę, gdyż oddawna miał zły wzrok, a dobrą ochotę noszenia szkiełka, perorował już wśród salonu o równości stanów i kwestyi socyalnej. Słuchali go jedni z dwuznacznym uśmiechem, drudzy z zagawronieniem, inni z podziwem, jako geniusza

mierząc ciekawą duszą. Szczęśliwyto kraj, gdzie dość kilka słów cudzych, a szumnych, a jaskrawych, by zyskać opinią wielkiego człowieka, najpochlebniejsze przyjęcie i najgorętsze współczucia oznaki. Często nie trzeba więcćj, tylko mówić tak, aby nas nie rozumiano, i słowy ogromnemi, a odór, którego doznają, biorą wszyscy za działanie gieniuszu. Dość być nie takim jak wszyscy, żeby zostać znakomitym.

Hrabia z podniesioną głową, choć czoło jego myśl jakaś chmurzyła, z kolei, jako pilny gospodarz domu, obchodził towarzystwo swoje, i jednych klepiąc po ramieniu, drugich po brzuchu, tych całując, taintych seiskając, innych witając tylko uśmiechem, poruszeniem głowy, poufałym podaniem ręki, częstował wedle stanu i sinaku każdego. Coto tam było odcieni w jego mowie: pan, waćpani dobrodziej. asin-dziej. kochany pan, pan dobrodziej, serce. kochanie, i spieszczone imiona, leciały dobrane do barwy osób z łatwością i trafnością zadziwiającą.

Pominao, że powinien był cieszyć się z natłoku gości, Zygmunt-August Dendera ciężko tego dnia pracował; dowodził tego kroplisty pot na



czole, wejrzenia niespokojne, zamyślenia chwilowe. Wśród swęj pielgrzymki od stolika do stolika, od krzesła do krzesła, jakaś myśl żywego kolnęła, i skierował się nagle z uszanowaniem dobrze odcechowaném ku matce swęj żony, która jak na tronie siedząc w swym fotelu, zażywała białemi paluszkami tabakę ze złotęj kameryzowanęj, z portretem nieboszczyka męza (w stroju szambelańskim dworu austriackiego) tabakiereczki. Trzeba było widzié Zygmunta-Augusta jak się zniżył, jak splaszczyl, jak rzewnie uśmiecnał, całując jęj rączkę, podaną sobie dosyć niechętnie. Dostrzegł był bowiem już przy powitaniu złęgo humoru matki, skierowanego ku sobie, a teraz postanowił się przekonać, czyto było tylko skutkiem znużenia, zmęczenia, głodu, spazmu chwilowym kaprysem, lub opierało się na trwalszych jakich pobudkach. Zachmurzenie dosć widoczne, nawet w obec sta osób trwające, utwierdzało go w domysłach, że hrabina z czémś przyjechać musiała. Jakoż po przyklęknieniu, po czułych komplementach mainie dobrodziejce, zakładaniu rąk patetyczném. i odegraniu pantominy wyrazistęj



dla salonu, na co wszystko uśmiechem tylko zimnym i kwaskowatym odpowiedziała hrabina Czereimowa,—Dendera widząc, że nie wymoże pochlebstwy ani słówka miłszego, odszedł z pociechą, że scenę dla parteru odegrał wybornie, ale w duchu zgryziony i przeklinając niecznośną babę.

Od matki pobiegł do żony, z atencją młodego małżonka, z nadskakiwaniem zakochanego, chcąc pokazać światu, jak swego anioła kochał. Tu żona mu nie uchybiła: jój uśmiech, wdzięczne podanie ręki, wejrzenie słodkie, wszystko patrzących upewnić mogło, że najwspanialsza harmonia panowała między małżeństwem, któremu dotąd przyświecał jeszcze księżyc miodowy.

Od żony, przechadzając się po salonie, dostał się hrabia do syna, powtórzyć z nim zwykłą scenę o reformach socyalnych. Zastał Sylwana w zapale dowodzącego, że przyszłe pokolenie musi się zamknąć w falansterach (nie mniej), i że jajami jednego falansteru, wedle rachunku Fourier'a, zapłaci dług Anglii z największą łatwością. Wprawdzie jakiś szlachcic zarzucił mu,

że na tyle jaj, nawet pod Wielkanocne święta nie znajdą kupców falansteryanie, ale niemniej Sylwan naburczawszy na szlachcica, który tak mizernych szukał opozycyi środków, pozostał przy jajach i falansterze. Ojciec się zbliżył;— było znak zwykłego boju. Potrzeba było słuchać, jak czule, jak zręcznie ojciec dopomagał synowi do objawienia swych transcendentalnych pojęć o reformie społecznej, popisując się dla większego kontrastu ze swoją dumką arystokratycznym i rasowym uporem.

— Świat — mówił Sylwan w zapale — dąży do doskonałości, i dojdzie do niej.

— Ale pozwólże....

— Proszę mnie wysłuchać; wiek nasz jest wiekiem postępów: zniknie ubóstwo, znikną plagi jak wojna i mory, człowiek musi być szczęśliwym.

— Co? w komunizmie?

— Nie wyrokuję o formie, jaką przybierze przyszłość: sąto zarysy tylko może niedoskonałe, objawiające silne pragnienie ludzkości.

— I chcesz mnie przekonać, że potrafiacie wszystko i wszystkich zniwelować i zrównać!

— Najzupełniej: znikną klasy i kasty, których exystencją i tak już podkopało rozuinowanie.

— Stój! stój! to nie dla mnie, ja pozostanę czem byłem. Nazwij mnie sobie jak zechcesz. uparcie wierzyć muszę w nierówność ludzi, w coś odrębnego w klassach wybranych. Nie mogę się zaprzecć, dla jakichś tam marzeń, tradycyi wieków, bytu własnego, drogich mi pamiątek mojego rodu i pochodzenia, i wszystkiego co w puściznie odziedziczyłem *po przodkach*.

Sylwan ruszył tylko ramionami, i komedya w ten sposób ciągnęła się dalej: ojciec sprzeczką pobudzał syna. podnosił go i stawiał w świetle; syn dźwigał ojca, nie szczędząc mu kontrastów; oba razem radzi byli z siebie. bo ludzie mówili: — Jednakżeto młody hrabia nie darmo jeździł za granicę: głowa tęga! — A drudzy: — Stary, to pan całą głę! —

Trzeba wiedzieć, że u nas za *tęgą* głowę uchodzi, kto śmiało bredzi; a za pana, kto o swój procedencyi gardłuje.

Wreszcie rzuciwszy syna wśród grona pilnych słuchaczy. Zygmunt-August odszedł ku

gościom, i spotkał nagle między niemi znajomego nain Jacka Kurdesza, który dość przepłoszony i obcy błdził w tym tłumie jak widmo, ze swą wygoloną głową, konfederatką na szabellce, w kontuszu na wyloty, żupanie atlasowym, pasie laniowym, i wąsem jak mléko białym.

— A! kochanego rotmistrza!

— Nóżki całuję JW. hrabiego—odparł szlachcic, schylając się — nóżki całuję. Pozwolisz mi JW. pan złożyć sobie najszczersze, z powodu tego dnia uroczystego, życzenia, i podziękować za ten honor, jaki mojemu ubogiemu domkowi uczynił syn JW. pana, nawiedzając szlachcica w jego elacie.

Dendera nadzwyczaj serdecznie wyciskał rotmistrza, który go wciąż w ramię całował, i niemal za kolana chwycił; potem uprowadzwszy go trochę na bok, rzekł:

— A co? nie potrzebujesz czasem swojego kapitaliku?

— Jeszczeżto do terminu daleko, JW. panie—rzekł szlachcic, nie dając poznać po sobie intencji.

— Ale ja potrzebowałbym wiedzieć wcześniej; sumka nieszpeta, rotinistrzu!

— E! o tém potém — odparł szlachcie pokornie — nie mieszajmy jubilacyi dnia tego tak uroczystego rozmową o interesach. JW. pan pozwolisz to odłożyć do powolniejszej chwili.

— A jak ciędziesz! — rzekł hrabia grzecznie, trochę jednak zmieszany, bo się spodziewał wedle zwyczaju inną wcale odpowiedź i prośbę, ażeby kapitał zatrzymał jak najdłużej. Kolnęło go to odłożenie niemiło, a czoło jeszcze się posępniej zachmurzyło.

— Jakże tam gospodarstwo? — spytał, chcąc szlachcica rozruszać.

— At, małe dziedzictwo, wielkie kalectwo, JW. panie: wlecze się to jakoś.

— Zebrałeś już żyto?

— Oj! nie jeszcze, a tu kalendarz deszcze prorokuje.

— Ja mam już kilka tysięcy w kopach, ale jeszcze na polu.

— I ja niewiele schwyciłem do stodoły.

— No! a w domu tam jak? Bogu dzięki, córeczka zdrowa?

— Do nóg upadam za pamięć.

— Dobra słyszę gosposia. Sylwan nie mógł się odchwalić podwieczorku...

Stary poglądził się po łysinie i uśmiechnął mile. Hrabia kończył:

— A śliczna słyszę panienka!

— Niczego, JW. panie, ale zwyczajnie wieśniaczka.

— Daj Boże pociechę!

I hrabia uprzejmie objawszy radośnego rotmistrza, oddalił się od niego, odwołany przez kogoś. Szlachcie poszedł do gawędzących w kątku podtuptanych gospodarzy, przysiadł na rożku kanapy, i *cum debita reverentia* dla tak znakomitój kompanii, nudził się i ziewał, starając mieć minę na wszelki wypadek uśmiechnioną.

Tymczasem rozpoczęły się tańce, które ostatecznie podzieliły towarzystwo na warstwy odrębne. Sylwan kierował niemi, zapalczywie lubiąc skoki, i naturalnie rej wodząc jako w domu. Matka jego, także namiętna tancerka, nie ustępowała mu w ochocie i niezmordowaniu, a rotmistrz Powoła nieodstępnie jój pilnował,

tak, że to nawet trochę w oczy bić zaczynało, i stara hrabina szepnęła córce, aby tę *partie fixe* starała się urozmaicać dla oka ludzkiego.

Postanowioném było w programie dnia tego, że wśród spoczynku po tańcach, chwilę miała zająć muzyka: hrabiauka Cecylia śpiewać miała *cavatine* Belliniego, a towarzyszyć jej miał Wacław. Hrabia trochę dumny talentem wychowanka, chciał także, by się i on popisał z jakimś *solo* na fortepianie; czemu cłoć się bardzo sprzeciwiał i opierał muzyk, nie mogąc wymówić, posłusznym być musiał.

Po polskim, kontredansie, walcu i mazurze, wywołano z ciemnego kątku Wacława, i kazano mu towarzyszyć Cecylii do śpiewu. Biedny chłopiec, jakkolwiek powtarzał nieskończoną liczbę razy tę nieszczęsną *cavatine*, zmieszany dziś świeżém skompromitowaniem swoim w obec Cecylii, smutny, wymierzonymi ze wszech stron na siebie oczyma zbity z tropu, przywiódł śpiewaczkę do niecierpliwości, to spiesząc, to zwalniając takt, w miarę, jak krew żywiej, to powolniej w nim grała. Surowe spojrzenie naprzód, ostre słowo przy końcu, które pokryły



szumne oklaski i powinszowania wszystkich (mogłoby być inaczej?) ledwie mu z oczu łez nie wycisnęły.

Ale potrzeba było grać. Hrabia, jakkolwiek posępny, trzymał się planu swojego, i zapowiedział wielkim głosem popis swojego wychowania.

Cóż było robić?—grać musiał.

Ale co zagrać temu roztargnionemu tłumowi, którego połowa niecierpliwiła się, wyglądając dalszych tańców, a druga ani myślała o muzyce? Dla tak nieusposobionych słuchaczy, potrzeba było, wzorem innych popisujących się, wybrać coś szumnego, mechanizm tylko zadziwiający wykazującego, zagłuszyć, zatrząść, zadziwić. On nie nie grał z tych wystawnych błyskotek, z tych sztuczek jaskrawych, które są jak żywo iluminowane kramne obrazki, bez myśli, bez kształtu, bez czucia, ale biją w oczy. Zaczął poważny pićrwszy koncert Chopin'a, i grał go przepysznie: ale któż go zrozumiał? kto słuchał?

Kilka oklasków z litości i z radości, że dokończył przecie, powinszowania hrabiemu, całą



były nagrodą wielkiego wysiłku, wzruszenia, strachu i znużenia; potem Wacław wybiegł co prędzej do ogrodu sam jeden, i usiadł na ławce pod gankiem, oddychając ciężko, patrząc w oświecone rzesisto okna salonu, i uciskając bijące, rozkołysane serce.

W salonach już się rozpoczął kontredans, a Cecylia obejrzawszy się ledwie pochurno za odchodzącym Wacławem, ujrzawszy go, jak szybko uciekał w drzwiach od ogrodu, ruszyła lekko ramionami. Sylwan komuś chwalącemu przed nim talent Wacława, odparł zinnno:

— Tak! tak! coś z tego być może! chociaż kto jak ja słyszał Thalberga, Liszta i Henselta, trzy najpotężniejsze talenta egzekucyjne, smakować w takiej mierności nie może. Dla was i to dobre!

To słówko, głośno rzucone, zabiło Wacława w opinii wszystkich małą, co za wyrocznie nieodwołalną mają człowieka, który z zagranicy powrócił, i nie waży się sądzić ani własnym rozumem, ani własnym uczuciem, w obec cudzoziemskiego, zagranicznego zdania.

Gdy się to dzieje, hrabia ciągle obchodzi swych gości, uśmiecha się, rozmawia, słucha, szafuje grzecznościami; wtém mrugnienie znaczące hrabiny Czeremowój, która powstała ze swego miejsca, wywołało go do drugiego pokoju. Poważnym krokiem sunęła się hrabina do gabinetu, z góry patrząc na ustępujące przed nią z uszanowaniem tłuny i nisko jej kłaniających się gości.

Weszli oboje do gabinetu oświeconego tylko lampą alabastrową, w którém tém bezpiecniej było od natrętów, że obok tańczowano. Drzwi do sali stały otworem: każdego wchodzącego zobaczyć można było łatwo, a drugiego wnijścia nie miał gabinet. Chwilę chodziła pani hrabina poważnie milcząca, jakby się przygotowywała, zażywając tabaczkę; potem niby po namyśle, odczuwała się, obracając zwolna do zagryzającego już niecierpliwie usta Dendery:

— Darujesz mi hrabio, że w takim dniu muszę seryo rozpocząć rozmowę; ale mi jutro jechać wypada, jesteś i będziesz zapewne zajęty, nie zabierze nam to czasu wiele...

— Jestem do usług hrabinéj—odparł sucho.

— A więc możemy, choć temu nie rada jestem, możemy i musimy się rozmówić; może ci to nieprzyjemném być może.

— Słucham co się pani podoba—podchwycił hrabia, dumnie się prostując.

— Hrabio—rzekła powolnie cedząc i patrząc mu w oczy—jest rzeczą niezawodną, że źle bardzo stoisz w interesach; pomówmy o tém szczerze i otwarcie.

— Ja! źle w interesach!—oburzył się hrabia i rozśmiał zmuszonym śmiechem—któżto pani hrabinie zwiastował?

— Kto? jestto już nawet głosem powszechnym.

— Gdzie?

— Wszędzie prawie; wiedzą o tém i mówią wszyscy.

— O tém, zdaje mi się, jabym wiedzieć powinien najlepiej—odfuknął hrabia, przechodząc na ggle z tonu poszanowania do wyzwolonego i swobodnego, który już się zamieniał na szyderski.

— Właśnie od hrabiego chciałabym się o tém prawdy dowiedzieć.

— Nie widzę potrzeby, ani miejsca, ani pory do zdawania pani rachunków—rzekł hrabia sucho;—zresztą, pozwolisz się pani hrabina spytać nawzajem, jakim prawem chcesz mnie słuchać liczby z *mojego* majątku.

*Mojego*—dodał dobitniej, z przyciskiem.

Hrabina, głosem, tonem i mową zięcia, dotknięta była do żywego. Brak uszanowania, jakiego dotąd nie doświadczyła od niego, boleśnie ją obeszczę; zarumieniona, oddychając żywo, odparła, podnosząc głowę po królewsku:

— Mości panie! majątek ten jest razem majątkiem mojej córki.

— Chyba wnuków, chcesz pani raczej powiedzieć?

— Przecież klucz Samodoły wziąłeś pan po Eugenii.

— Tak! — zaśmiał się hrabia szydersko — czterysta dusz z czterekroć sto tysięcy długu, gdy dusza tam nie warta i pięciudziesiąt dukatów!!

Hrabina przez chwilę mówić nie mogła, tak się rozgniewała; machnęła tylko ręką, i chciała powrócić do salonu, ale się zawróciła jeszcze.

— To kłamstwo! to kłamstwo! — zawołała przerywanym głosem — klucz Samodoły przeznaczony dla córki, był tylko obciążony długiem bankowym przez ś. p. męża mojego.

— A deportata pani, od których płacimy procent?

— Drugi rok jak go już nie odbieram—żywo przerwała hrabina.

Zygmunt-August zamilkł i odparł obojętnie:

— To zapłacę, ale mnie pani nie będziesz słuchać rachunku, bo nie ma prawdziwie z czego.

— Czy tak już mówisz do matki swój żony? — spytała ze wzrastającym gniewem hrabina.

— Nie mówię w tej chwili do matki méj żony, ale do rachmistrza, który mnie chce liczby słuchać, prawa do tego nie mając, bo mi nic nie powierzył.

— Mości panie!

— Tak, pani hrabino!

— Mniejsza o to, mniejsza o to — zawołała stara, płonąc niecierpliwością i na twarz rozognioną wije chustką — mniejsza o to: przyszedł czas może i innéj liczby wysłuchać wac pana... Moja córka nie jest z nim szczęśliwą!

— Któżto pani zwiastował?

— Dość jest własnych oczu, by to zobaczyć.

— Życzyłbym spytać lepiej hrabinę i z własnych o tém nie sądzić domysłów, a unie także wybadać, czy z nią jestem szczęśliwy.

— Z tym aniołem!—wykrzyknęła matka łamiąc ręce; ale wnet pomiarkowała się, że gest ten może być widać z salonu, i poczęła znowu powiewać chusteczką, usiłując przybrać powierchowność spokojną.

— O aniele i jego skrzydłach, które go czasem zadaleko unoszą, radziłbym unie wybadać!  
—powtórzył hrabia szydząc gniewnie.

— Jesteś pan potworą!—rzuciła hrabina ze złością niepohamowaną—potworą niegodną, by cię ziemia nosiła!

— *Chère comtesse, on commence à nous observer!*—odpowiedział zimno hrabia—*nous ferons bien de passer au salon.*

To mówiąc podał jój rękę wdzięcznie się pochylając: a że był u drzwi samych, musiała ją przyjąć, i tak z niezmiennemi pokłonami, uśmieciami, komplementami i synowskiem poszanowaniem odprowadził ją buchającą gniewem,

a wywdzięczoną na pozór, do porzuconego przed chwilą krzesła.

W kwadrans potém, pod pozorem bólu głowy, pani hrabina Czereinowa odeszła do swych pokojów. pontyfikalnie znowu przez niego odprowadzana aż do drzwi. Ból głowy! Ileżto ten ból głowy nie pokrywa dramatów kończących się nim i rozpoczynających, ile tajemnic, ile grzechów! Co to za skarb drogi niewidoczna choroba, którą wziąć można i zrzucić z siebie ile razy potrzeba!

Zaledwie powrócił do salonu, rzekłbyś, że to był dzień feralny: służący szepnął na ucho hrabiemu, że w bocznym pokoju czeka na niego z pilnym interesem Smoliński. Złą to jest prawie zawsze wróżbą, gdy kto do kogo przychodzi z papierem w ręku: rzadko papier zwiastuje dobrą nowinę, bo dobre wieści w życiu człowieka nieliczne; najczęściej ta karta tajemnicze niesie kłopoty, frasunki, przypadek, nieszczęście, zawikłanie jakieś, jeśli nie cios nieuleczony.

Hrabia postrzegłszy Smolińskiego, który go w tym dniu i godzinie tak pilnie wzywał, stoją-

cego z papierem w ręku, pobladł i prawie gniewnie zawołał:

— Przecież wiesz, jak dziś jestem zajęty: mogłeś z tém poczekać do jutra rana.

— Ani godziny!—rzekł Smoliński posępnie.

— Cóż to jest?

— A cóż ma być: naturalnie nieszczęście.

Hrabia zadrżał i stracił gniew i przytomność. Jeszcze nie wiedząc co go czekało, chwycił się za głowę i upadł na krzesło.

— Mówże prędko, mów!

— Abramson...

— Abramson zbankrutował i mój załóg przepadł!

— Tak jest.

— To być nie może.

— Urzędowe oznajmienie i sekwestr na klucz Słomnicki.

Dendera nie rzekł i słowa, tylko spojrzał w czarne okna i zauiłł jak ściana: usta mu zapadły, zacisnęły się, czoło pofałdowało; zesta-  
rzał w mgnieniu oka.

— Co mam robić?—spytał Smoliński.

— Co sobie chcesz.



— Pozwoli pan hrabia choć po czasie przypomnieć sobie, że zawsze byłem tym załogom przeciwny, że zawsze mówiłem...

Ale hrabia w myślach zatopiony nie słuchał.

Smoliński ze zwykłą swoją beczelnością winawiał mu fałsz; jego bowiem zręcznej insynuacyi winien był Abramson, że mu dano załóg, od którego płacił po dukacie z duszy hrabiemu, a po trzy złote Smolińskiemu. Teraz gdy Abramson zbankrutował, Smoliński obawiał się przypomnienia, że często słówko za nim rzucił i uprzedzał wymówki, zapierając się przeszłości. Trzysta dusz przepadło za sześć tysięcy złotych zapłaconych z góry hrabiemu, i tysiąc danych do kieszeni plenipotentą. Żyd ze skarbu kilkadziesiąt tysięcy rubli chwyciwszy, uciekł do Brodów.

— Co mam robić?—powtórzył, z ukosa spoglądając na hrabiego Smoliński.

— Idź kpie i powieś się na gałęzi — odburknął nagle wstając Dendera, i nie rzekłszy słowa więcej, wyszedł do salonów, otarłszy tylko czoło, a usiłując przybrać postawę wesołą i spokojną.

Ktoby go zobaczył wchodzącego do rzesisto oświeconego pokoju tańców, nigdyby się nie domyślił, że niósł z sobą tajemnicę tak wielkiej wagi, od której mógł los całej jego rodziny zależć. Uśmiechający się znowu, ledwie trochę bledszy, spotkawszy u drzwi prawie Jacka Kurdesza, wziął go zaraz na bok.

— Wiész kochany rotmistrzu—rzekł— trafia mi się doskonała spekulacya: nie chcesz być ze mną do spółki?

— Cóżto takiego? jeśli wolno spytać się hrabiego.

— Wyborna! doskonała i pewna spekulacyjka! podradzik pełen nadziei! sto na sto! Masz dwadzieścia tysięcy do spółki?

— Gdziebyin ja mógł mieć taką sumę gotówką?—odparł pan Jacek, nie zniżając się natarczywością i już jakby podejrzewający cokolwiek. Czy to nam szlachcie trzymać takie kapitały w szkatułce?

— Szkoda! Mógłbyś łatwo ledwie nie grosz na groszu zarobić.

— Szkoda! ale...

— A nie wiesz tak jakiego uczciwego człowieka z zapasem?

— Panu hrabiemu nietrudno będzie o tak małą sumkę.

— Ale bo tu wszystko na pośpiechu: czas ucieka, żydzi godzą.

— Wszak pan rotinistrz Powąła, podobno pięćdziesiąt tysięcy pozawczoraj gotówką odebrał od brata, i właśnie go kwitował, gdy byłem w powiatowém mieście.

— Masz racyą, wezmę u niego.

I hrabia posunął się dalej. Żona jego właśnie tańczyła z panem ex-rotinistrzem, który był w tak różowym humorze, widząc się blizkim osiągnięcia serca JW. hrabiniej, że byłby rodzzonego ojca oddał dla niej, dla pochwalenia się potem między kolegami dawnemi tak uniktrowaną zdobyczą. Hrabia w intermedyach tańcu, klapnął go po ramieniu przyjacielsko.

— Słówek!—rzekł z uśmiechem.

— Co każesz hrabio?—uśmiechając się sympatycznie zawołał rotinistrz.

— Kieliszek starego wina.

— *Cela n'est pas de refus.*

— A zatém po kontredansie.

— Właśnie go kończymy.

I ujeli się pod ręce, a pan Powała śmiał się z łatwowierności męża, a hrabia śmiał się zawczasu z rotmistrza, widząc go w usposobieniu takim, że niczegooby odmówić nie potrafił.

Weszli do pokoju, w którym był stół pokryty butelkami: hrabia z pod obrusa dobył zapleśniałą bańkę węgrzyna, samym swym kształtem nie do dzisiejszych należąca czasów.

— *Vous m'en direz des nouvelles* — rzekł mrugając.

— Tokaj stary.

— Stary, ośmdziesiąt-letni tokaj, zobaczysz.

— Zdrowie solenizanta!

— Dziękuję ci rotmistrzu!—dodał żywo z wesołą twarzą i śmiecchem dobrodusznym — nie wszyscy mi jednak, jak ty, dziś winszują.

— A! są co lepić to może unieją, ale pewno nie tak szczerze.

— Cha! cha! Różnie się trafia! Miałem dziś właśnie jedno bardzo oryginalne powinszowanie.

— A cóżto takiego panie hrabio?

— Wyobraź sobie rotmistrzowi nieokrzesanego brusa, który przed rokiem na klęczkach wyprosiwszy sobie u mnie, żebym przyjął jego sumkę na procent, dziś obrał sobie dzień moich imienin, by mnie napaść o jej oddanie.

— *Mais c'est bête!*

— *C'est absurde!* I złapał mnie naturalnie zupełnie niespodzianego, nieprzygotowanego. Oburzony, kazałem natychmiast Smolińskiemu choćby u żyda wziąć, i zaraz tego miłego gościa uspokoić: tak mnie to poruszyło.

— Cóżto za sumka?—spytał rotmistrz.

— *Une misère de 30,000 florins.*

— Chcesz hrabio, to ci jutro przyślę.

— Alboż możesz mieć gotowe pieniądze? — spytał hrabia z dobrze udaném zadziwieniem i niedowierzaniem.

Rotmistrz się uśmiechnął z niejaką dumą.

— Jutro ci przyślę hrabio.

— Twoje zdrowie rotmistrzu. Bardzo dziękuję ci za uczynność... uwolnisz mnie od kłopotu... Jeszcze kieliszek...

— Nie warto mówić o tém.

Zagrano walca i pan Powała rozbijając się poleciał do hrabinéj, a Zygmunt-August powolnie za nim idąc, szeptał w duchu:

— Mam trzydzieści tysięcy: jutro biorę pocztę i jadę z nimi do Żytkowa. Wyrobię się, muszę się wyrobić: główna rzecz była dostać na to pieniędzy. Biedne rotmistrzysko! jaki młody! a takie wasy!

I rozśmiał się pocichu.

---

W przestankach tańca roznawiano, a jak szerokie sale, jak różne twarze, jak niepodobni do siebie byli goście, tak dziwnie téż niejednakie były rozmowy. Szczęściem leciały każda w inną stronę, nie spotykając się z sobą, nie obijając o siebie.

W tym samym gabinecie, w którym przed chwilą hrabia z matką swéj żony tak przykrych kilkadziesiąt słów zamienili z sobą, z którego tak poruszeni odeszli; siedzieli teraz na kanapie: Sylwan palący cygaro i hrabia Walski, jak Sylwan wychowany za granicą, bogatszy od niego, koniarz także, młody jak on, jak on

zcudzoziemczały, ale mający nad nim tę wyższość, że bardzo będąc zepsuty, nie dognił jeszcze do serca. Powłoka w nim tylko przez zektnienie się ze zgnilizną zepsuta była, reszta miała jeszcze życie.

Walski nie lubił Sylwana, Sylwan uważał za potrzebne mieć tak okazałego przyjaciela. Czyż raz potrzebujemy jak on przyjaciół, jak ozdobnych fraszek tylko, żeby się pochlubić niemi? Rzadko dobićramy ich dla serca, częściej dla oka. Chcemy mieć przyjaciela bogatego, piękném zowiącego się imieniem, dobrze wychowanego, aby z niego o nas ludzie sądzili. Walski się nudził i chętnie przyjmował serdeczności Sylwana, choć z nim nie sympatyzował: już dla zabicia czasu, już przez angielską jakąś obojętną dumę. Sylwan też nadskakiwał mu w cztery oczy, żeby mieć prawo potem, w obecstwie osób mówić do niego:—mój Karolku; i wzięwszy go pod rękę, szeptać i śmiać się.

Gdy usiedli na ustroniu, a tak przecie, żeby cała młodzież widzieć mogła, że hrabia Sylwan z hrabią Karolem poufale coś szepczą, (bo z sali do gabinetu przez drzwi otwarte widać było

wszystko), przemknął się stary pan Jacek Kurdesz mimo drzwi, i naturalnie hrabia Karol zapytał:

— Cóżto za stara podgolona czupryna?

— A! a! wyśmienity szlachciura; właśnie ci o nim miał mówić.

— O nim?

— O nim, i nie o nim tylko, ale tak jak, bo o córce.

— Ma i córkę? Jest tutaj?

— *Quelle idée!* To sobie prościuchna dziewczyna, ale śliczna jak dzika róża.

— Porównanie nie nowe, ale barwne—rzekł Karol, puszczając dym półgębkiem do góry.

— Wystaw sobie — kończył Sylwan — coś tak niewinnego, tak prostego, tak naiwnego, jakby w powieści, jakby nie na naszym świecie, gdzie dwunastoletnie dziewczeczki już intrygować poczynają. Kibić trochę silna, ale kształtna bardzo, twarzyczka śliczna, uśmiech bardzo wdzięczny.

— Oho! wpadasz w zapał, poetyzujesz: czyżbyś się miał w téj prościuchnej dziewczeczce zakochać?



— Zmiłujże się! zakochać! *c'est beaucoup dire*, ale myślę o czémś...

— Naprzykład?

— Myślę sobie zapracować na miłe wspomnienie.

— Jakżeto hrabio?

— Rozpocząć z nią romansik naprędce, bez konsekwencyi!

— Bez konsekwencyi!—rozśmiał się Walski z dziwnym wyrazem smutnego jakiegoś politowania— A potem?—spytał.

— Cóż potem? Nic.

— Nie pojmuję takiego projektu, bez konsekwencyi!

— Jakto? cóż dziwnego! Piękna, młoda, oryginalna, bo dzika i prosta: zajmuje mnie, bawi. Jeżdżę, jesteśmy szczęśliwi, a potem się sobie rozstajemy, mając dosyć.

— Jakto wybornie obmyślano! Pamiętaj tylko kochany panie Sylwancie — protekeyonalnie dodał Walski—że ze staremi podgoloncami czuprynami, kończą się podobne plany często na kołniercu, tojest: albo na batogach, albo u ołtarza.

— Cha! cha! On mnie za kolana ściska, sam mi chciał córkę koniecznie pokazać.

— Dzikie jak widzę masz wyobrażenia o ludziach.

Sylwan się uśmiechnął z zarożniętością młodzieńczą.

— Spodziewam się — rzekł Walski — że to coś powiedział, jestto tak sobie żartem.

— Nie, to projekt stanowczy, seryo, bardzo seryo.

— Pozwólże, bym ci w porę przyszedł z radą.

— Najchętniej, byleś mi nie odradzał.

— Powiem ci tylko proste, pewne, z doświadczenia wyciągnięte axioma.

— Z doświadczenia własnego? — szydząc zapytał Sylwan.

— Na ten raz z cudzego tylko może: zresztą z jakiegokolwiek — bądź, to pewna, że z doświadczenia.

— Słucham pilnie i posłusznie.

— Radzę więc, a naprzód: nie wdawaj się nigdy w miłostki z projektem zerwania ich jutro; nie znasz siebie, nie znasz kobiet i nie mo-

żesz przewidzieć okoliczności. Nic łatwiejszego jak zacząć, nic trudniejszego jak skończyć i zerwać...

Sylwan rozśmiał się po swojemu.

— Jestem trochę starszy od ciebie — rzekł Karol — słyszałem o wielu podobnych przygodach, chociażem się w nie nie wdawał. Ja, jak wiesz, potrzebowałem dotąd atlasowej sukni, koronek i pachnideł, żebym się mógł zakochać; dla mnie ideał musiał być strojny, musiał być zfrancuziały, musiał być z mojego świata: nie poglądałem nawet na szlachcianki, bo czerwone ręce i ogorzała twarz....

— Alboż myślisz, że moja tak wygląda! — zakrzyknął Sylwan — rączka jak z inamuru...

— Tém gorzej! Słuchaj dalej. Słyszałem o niejednej podobnej przygodzie: zawsze się one smutnie kończą. W naszych salonach równa gra: te panie wiedzą doskonale i znają z czém do nich przychodzim, nie rachują na nas więcej niż należy. Gdzieindziej, w sferze niższej, twoja miłość wywoła zaraz marzenia ślubu i dozgonnych węzłów. Gra nierówna: będziesz zdraj-

cą, a być zdrajcą zawsze nie ciekawa. Miłość zaś kończąca się trywialnie, krzykliwie, wrzaskliwie, gorsząco, nie potem! parafianiszczyzna!

— Ty bo Karolu myślisz widzę, że ja nie mam sumienia, żebym uwiódł i porzucił, bez serca, bez...

— A cóż? ożeniłbyś się?

— Gdzież znowu! to rzecz inna; ale nie możnaż załagodzić i nagrodzić inaczej?

— Nagrodzić zdradę, zawód taki, i splekane serce i życie?

— Bierzesz to ze strony tragicznej, której zwykle podobne związki nie miewają. Mnie się zdaje, że to się dziś nigdzie tak już nie bierze. Frania moja musi dobrze wiedzieć z góry, że się z nią ożenić nie może.

— *That is the question*; właśnie może myśleć przeciwnie.

— No! no! dość tego! Jesteś widzę w humorze przeciwieństwa.

— Przyznam ci się, że czupryna pana Kurdesza nie rokuje mi nic dobrego dla ciebie; a że za kolana ściska, to nie dowodzi: palnie

cię potém batogami jak należy, rozciągnąwszy kilimek. Ma więcćj dzieci? ma ona siostry?

— Nie, jedném jedna.

— To jeszcze gorzėj!

— I nie tak szlachcianka ubożuchna, jak ci się może wydawać. Smoliński mi mówił, że mają dwakroć sto tysięcy górą u mojego ojca; wioseczka krom tego bez długów i coś pewnie jeszcze w szkatułce.

— Tém gorzėj, a gorzėj!—dodał Karol—nie radzę ci się w to wdawać: albo skończysz na ożenieniu, albo na awanturze.

— Ba! nie takim głupi!

— Wypadnie ci zostać podłym lub głupim; a wybór, przyznam się, niełatwy.

— Na jakiegożto moralistę napadłeś tego wieczora?—spytał Sylwan trochę zmieszany — musisz sam gdzieś być w tęgich obrotach, kiedy ci się na taką surowość względem mnie zebrało.

Karol westchnął tylko i nic nie odpowiedział.

---

Zygmunt-August przysiadł się do żony, korzystając z figury, do której w tej chwili pochwycono rotmistrza, nieodstępного j<sup>é</sup>j *cavalère serrente*.

— *Ma chérie!*—rzekł zcicha.

— Co każesz Guciu?—spytała, przechylając się bardzo wdzięcznie pani hrabina, tak, żeby ruch j<sup>é</sup>j wykazał pięknie utoczoną kibić.

— Powiedz mi, proszę, co to jest twoj<sup>é</sup>j matce?

— Moj<sup>é</sup>j matce?! zdaje mi się, że ją głowa boli.

— Nie wi<sup>é</sup>sz nic! robiła mi dziwne zapytania, ledwie nie wymówki...

— Tobie?!—z dobrze odegran<sup>é</sup>m zdziwieniem spytała żona—*est-ce possible?*

— Zdaje mi się—poważnie kończył Zygmunt-August—że na te wynówki nie zasłużyłem.

— Jakiegoż były rodzaju?

— Różne, i w ostatku i za ciebie.

— Za mnie!—mieszając się nieco, sentymentalnym półgłosem wyrzekła Eugenia—nie pojmuje tego.

— Zdaje mi się, że na nie nie zasłużył!

— Czyżeni kiedy dała poznać po sobie choćby najłżejsze nieukontentowanie?...

— Miałaś czas poznać mnie i ocenić!

— *Mon cher, inutile de dire, que je n'y suis pour rien...* Nie pojmuję nic...

Małżonkowie czule uśmiechnęli się do siebie: w uśmiechu hrabiego była skryta niecierpliwość i gniew, w hrabini jakas obojętność, osłoniąca rozczuleniem; patrzała już gdzieindziej.

— Powiedz więc matce swojej...

— Ale naturalnie... nie troszcze się o to...

Wtém nadbiegł rotmistrz Powąła, a hrabia z intencją unyślnie natychmiast wstał, spojrział tylko na żonę, i przemówiwszy coś do przybywającego, spiesznie się pod pozorem jakiegoś pilnego zajęcia oddalił.

— A! jakiż głupi! jakiż głupi!—mówił w duchu rotmistrz.

Hrabina z gniewem postrzegła to nagle odejście; szybkie oddalenie wiele bardzo mówiło, a więcej jeszcze szyderskie, rzucone z ukosa wejrzenie. Była odgadnioną, zbadaną i wzgardliwie rzuconą na pastwę rotmistrzowi. Krew pierwszy raz może w życiu zawrzała w niej tak

silnie, że runieniec na twarz wystąpił, a dowcipne jakieś zapytanie, które w téj chwili wysmażył rotmistrz, rozbiło się o jój ucho nieposłyszane, i poszło w świat bez odpowiedzi.

Cesia czatowała u drzwi: nie na Wacława, bo on był tylko dla niej probką, rodzajem trupa, na którym się uczyła potrzebnój anatomii serca — ale na wyjście hrabiego Karola Walskiego, z bratem jój siedzącego w gabinecie. Cały wieczór już strzelała do niego, a nie doczekawszy się skutku, była niecierpliwa i gniewna. Nareszcie wyszedł pan Karol, zinnny, roz-targniony, obojętny, i powiodłszy okiem po sali, wstrzymał się nieco we drzwiach, niedaleko Cecylii, która, jak widzimy, dobrze obra-chowała korzyści obranego przez siebie miejsca. Sylwana ledwie się ukazał, zaraz zabrano do tańca, a hrabia Walski został w progu, i sama grzeczność wynagala, żeby coś przemówił do Cesi. Ona spotkała jego ledwie poczynające się na ustach słowa, wejrzeniem i uśmiechem tak silnie przemawiającemi, że gdyby nie prze-ważne roztargnienie i smutek Karola, byłby musiał zadrzeć aż do głębi. Byłto uśmiech



i wejrzenie dziewczki, której pilno dowieść, że wyszła z dzieciństwa; siłą ledwie im dorównać może uśmiech i spojrzenie starłej zalotnicy.

— Możeżto być, żebyś pani już odpoczywała?

— Godziż się, żebyś pan nie tańcował?

— Ja nigdy, lub tak jak nigdy nie tańczę.

— Dlaczego?

— Trzeba być bardzo młodym, żeby się tak wesoło wykręcać.

— A pan chorujesz na starość i na Byronowskich bohaterów?

— Nie pani!—odparł trochę zdziwiony śmiałością Karol — mam daleko rzeczywistszą chorobę w sobie: nie potrzebuję jęj sobie tworzyć.

— A cóżto za choroba? wszak nie podagra jak u pana podczaszego?

— Dotąd nie, ale coś daleko gorszego.

— Byłażbyto febra, z którą miss Lucy pięć lat już się pieści i rozstać nie może?

— Coś gorszego nawet od febrы.

— Doprawdy, gorszego? Już nie domyśleć się nie mogę.

Bardzo pani winszuję.

— A! a! Ja się nie potrafię domyśleć, a pan nie zechcesz mi się zwierzyć?

— Doprawdy! nie ciekawego, stare dzieje.

— Tém lepiej! ja tak stare dzieje lubię!

— Moja historia nie ciekawa wcale: nudzę się tylko.

Cesia, która się oświadczenia była gotowa spodziewać, zaczerwieniła się z niecierpliwości i gniewu.

— Brzydka choroba—odparła z przymuszonym uśmiechem—ale pan wieśz, że teraz wszyscy bardzo wierzą w homeopatya, i miss Lucy ciągle mi o jój zasadach prawi. Jój winnam, że wiem co to jest. Choroba w homeopatyi leczy się drugą, silniejszą chorobą.

— Rozumiem: każesz mi pani szukać drugiej, może gorszej?

— Byle innój.

— Wolę pierwszą.

To mówiąc, niespodzianą żywością Cesi zajęty Karol, usiadł przy niej, spojrzał na nią z uwagą, jakby ją widział raz pierwszy, i po chwili dodał:

— Życzysz mi pani podagry, czy febry?

— Zostawiam to do jego wyboru; obie pozyskują się łatwo: pierwsza kieliszkiem, druga zaziębieniem.

— *Vous êtes bien aimable!* wolę jeszcze nudy.

— Co do mnie—mówiła Cesia—nie znam nic nudniejszego nad człowieka znudzonego; a miarkując z tego, jakie na mnie czyni wrażenie, domyślam się, jak będąc ciągle z sobą, musi się sobie naprzykrzyć.

— Dziękuję za komplement -- szczerze się śmiejąc odparł Karol—i uciekam.

— Możesz pan pozostać. Rzadko widuję znudzonych; dla rozmaitości nie szkodzi i to zobaczyć. *Après tout—c'est une étude.*

To mówiąc, gdy właśnie kolój przychodziła na nią tańcować i wybrać do figury, podała rękę Karolowi. Ten wyszedł na środek, ale pieszo i powoli pokręciwszy się po sali, rozmawiając i nie dając rozżywić, wrócił wkrótce do kątki i gawędy. Cesia ścigała go niezmordowanemi oczyma: niecierpliwił ją. Bardzoby się mylił, ktoby z tego sądził, że Karol ją zajął; chciała go tylko podrażnić i sił swoich na nim doświadczyć. Wacław od kilku godzin nie był

już dla niej tryumfem: trudnoż ubogiemu, nieznanemu marzycielowi zawrócić głowę z wyso-  
ka rzuconem wejrzeniem. Ale Karol! Karol,  
co świat przewędrował, co tyle widział, tyle  
przeżył i zapewne przekochał, gdyby się zajął,  
Cesia byłaby już sobie pewną: byłby to dla  
niej patent *maturitatis*.

Gdy tu się tak wesoło bawią w serce i spoj-  
rzenia, Wacław siedząc na ganku sam jeden,  
śledzi kroki Cesi: widział jej rozmowę z Karo-  
lem, widział wejrzenie jej i usmiech z goryczą,  
z bólem, który zna tylko ten, co kochał i był  
miotany zazdrością wściekłą, i pastwił się sam  
nad sobą, szydząc z siebie.

Błyskawice gniewu, chęci zemsty, to znowu  
bezsilna rozpacz, łzy i żal miotały nim kolejno;  
rzucał się i upadał osłabły, a przewalczywszy  
tak długą chwile, już się był ku ogrodowi za-  
wrócił, chcąc oderwać się od tego zabójczego  
widoku, gdy Cesia wybiegła na ganek.

Ona go spostrzegła w świetle rzuconém na  
kolumnę, o którą był oparty, i wyszła umyśl-  
nie pod pozorem ochłodzenia, stając w progu  
naprzeciw niego.

— A! to pan tu! po nocy! sam jeden! Co tu robisz?

— Odpoczywam i patrzę.

— Nie rozumiem jak się można było zmęczyć tak niegodziwém towarzyszeniem mi na fortepianie, którego panu nigdy nie daruję.

— Przepraszam panią, ale tak byłem zmieszany.

— Pan nigdy nie potrafisz dać koncertu. Czegoż się było inieścić?

— Nie wiem; z tego się nie wytłumaczę.

— Mam jeszcze inną i większą wymówkę—kończyła niełitościwa. — Co znaczyło podjęcie téj gałązki?!

— Ja?... ja?...—Wacław struchlał.

— Proszę mi się z tego dziwnego postępu wytłumaczyć.

— Sądziłem, żeś pani co innego, droższego zgubiła; widząc coś upadającego, myślałem, że to była bransoletka, spinka. Chciałem podnieść, by jęj oddać.

— To co innego!—odparła Cesia, i oglądając się dokoła to na salę, to na ganek, spytała:

— Znasz pan hrabiego Walskiego? Jakito miły człowiek!

Unyślnie dręczyła biednego. Wacław już nie nie odpowiedział: czuł, że był igraszką płochlego dziewczęcia, a kochał je — cierpiał i uilezał.

Cesia rzuciła mu wejrzenie wyuczone, długie, silne, płonieniste, zabójcze, jakby petłę na głowę dzikiego konia, i szybko poszła do pana Karola. Cluciała tego pochwycić, ale i pierwszego nie mogła puścić jeszcze: był jój do dalszych doświadczeń potrzebny.

Córka godną była matki.

Wacław rzucił się w ogród, którego drzewa szumiały posępnie, w dziwnej będąc sprzeczności swą powagą, cieżmością i głuchym szmerem, podobnym do szumu modlitwy w chórze zakonników — z krzykliwą muzyką sali balowej.

Z jednej strony był pałac oświetlony, rżęsi sto pałający, z którego wszystkiemi otwory wyrывało się światło, wonie, dźwięki; z drugiej ogród ciemny, pusty, tajemniczy, smutny, niebo czarne, księżyc blade, i natura, wielki ów obraz tysiąckroć widziany, tysiąc razy nowy.

Wacław uczuł tę potężną sprzeczność dwóch światów, dwóch żywotów, sercem poety, i oderwał się na chwilę od siebie, tonąc w myśli odtworzenia muzycznego tej wielkiej i pięknej sprzeczności.

— Co za symfonia! — zawołał — w jej środku moje serce miotane rozpaczą i cierpieniem: w jedną stronę weselne dźwięki obcego mi świata, który na mnie nie patrzy, który mnie odpycha, który mnie zaledwie darzy litością; z drugiej cicha natura, spokój, pieśń słowika, kochanka i ojca, szum drzew, mruczenie wody, daleka pieśń pastusza, daleki hymn pobożny, i głosy pustyni, stokroć powabniejsze od gwarów piekielnego ich wesela. Ta cisza obwija mnie, utula i kołysze jak matka. Lecz na to potrzeba by Beethoven'a z jego gieniuszem młodym, symfonii pasterskiej i heroicznej, z jego myślą wieszczą, z potęgą w jej oddaniu, z uczuciem owładniętym, podbitym i posłusznym, któreby łało się w formy mu wystawione, całe, pełne, silne. Weber tylko, tylko Beethoven dokazaliby tego. Berlioz stworzyłby harmonijny chaos — ja — śmieszność.

I usiadł zdaleka dumać; a obraz pięknej Cesi w białej sukience, z jej szatańskimi oczyma, zamigał nad nim, uśmiechając mu się i drażniąc go.

Gdzies w dali za drzewami słyszeć było trąbkę pastuszą, grającą powoli smutną pieśń tradycyjną, odwieczną, którą się lasy jak dziś, od pięciuset i od tysiąca lat rozlegały. Ta pieśń oderwała poetę od świata rzeczywistości, i pochwyliła go w marzeń objęcie...

---



Nazajutrz rano pełno jeszcze było wczoraj-  
szych gości w Denderowie, ale ci się powolnie  
rozjeżdżali; nikt nie tylko nie wiedział, ale się  
nawet nie domyślał smutnej prawdy, którą pó-  
źno w nocy Smoliński przyniósł na wiązanie  
hrabiemu: ścisłą bowiem nakazano zachować  
tajemnicę.

Rotmistrz z regularnością wojskową przysłał  
zaraz zrana 30,000 złotych. Powozy były upa-  
kowane do drogi, a hrabia czekał tylko rozje-  
chania się ważniejszych gości, by pocztą po-  
spieszyć na ratunek klucza. już sekwestrem  
zagrożonego. Załóg (kancya) miał w sobie pe-  
wne niedostrzeżone nieformalności, które może

umyślnie weń wciśnięto, starając się, by na nie uwagi nie zwracano przy przyjęciu; teraz one właśnie posłużyć miały na wywikłanie się z odpowiedzialności.

Jak świt hrabia się już naradzał sam-na-sam ze Smolińskim: bo nie kładnąc się spać nawet, skoro gości rozprowadził po kwaterach i powoził do powozów, pospieszył pracować ze swym rządcą i plenipotentem.

Smoliński miał minę posepną, i często pstrykał ostremi odpowiedziami hrabiemu; hrabia mu téż nie żałował grzeczności, przekasów i grubych nawet połajów: niino to szły narady swoją drogą, wedle pospolitego przysłowia: „sprawa sprawy nie tamuje.”

Pan i plenipotent znali się bardzo dawno: razem unioczyli ręce nie w jedną brudną robotę, zachodziło więc pomiędzy nimi jakieś tajemnicze braterstwo, które wprawdzie tylko sam-na-sam objawiało się widocznie, ale niemniej było trwałe i znaczące.

Smoliński ostre prawdy mówił panu hrabiemu, hrabia łajał Smolińskiego bez ceremonii; znali się jak łyse konie i wzajemnie przebaczali

sobie swoje defekta. Probowali się odrwić czasem: ale mimo przebiegłości obu, kolejno im się to tylko udawało, tak równych sił byli. Smoliński czasem uderzył hrabiego, hrabia podszedł czasem plenipotentą; ale cicho, sza! zgoda: świat o tém nie wiedział wcale, i trzymali się za ręce.

W obec ludzi, Smoliński był najniższym sługą Dendery, i stawał w progu tylko pokornie.

Jak świt, bocznemi drzwiczkami wszedł zaufany pełnomocnik do hrabiego, który nawpół rozebrany siedział na kanapie, rozparty, zamyślony, sinutny, trzymając dla proporecyi tylko cybuch w ustach, z którego nie palił.

— A co? — rzekł do wchodzącego — trzeba nam myśleć o interesach.

— Myślałem całą noc, ale cóż tu wymyśleć?

— Stary z ciebie osieł, mój Smoliński — rzekł Dendera. — Ja nie myślałem, a wymyśliłem. i mam już radę.

— Ciekawym! — trochę obrażony tą wyższością wybąknął Smoliński.

— Widzisz, że z ciebie na wiek wieków będzie cymbał, choć zęby zjadłeś na interesach. Załóg jest nieprawny.

— Jakto? JW. panie! — podchwycił plenipotent.

— A tak, mości Smoło! (tak go nazywał w chwilach wesołości lub gniewu hrabia), szukasz po obłokach, a nie widzisz co pod nosem.

— Cóż tam za nieprawność?

— Wiész przecie, że ja nie miałem jeszcze *odkazu* na ten majątek; a zatem zakładać go, prawa dostatecznego mi brakło.

Smoliński osłupiał trochę.

— No! źle kancya przyjęto.

— Cóż z tego, że ją przyjęto bezprawnie; niech ci pokutują, co przyjinowali.

— Ależ oni nam łaskę zrobili.

— Niech kpy jakieś łaski nie robią przeciw prawu. Jadę do Żytkowa i wyrobię co potrzeba, tylko mieć muszę na to pieniądze. Co mamy w kassie?

— Wczoraj ostatnie pięćset złotych oddałem w moc pensyi hrabiemu Sylwanowi, i dwieście

hrabinie; zostało sześćdziesiąt sześć, groszy dwadzieścia.

— Siedźże sobie z niemi, ja na drogę dostanę.

— Ale tu grubego grosza potrzeba, bo u nas wszystko się wprawdzie robi, ale robota drogo kosztuje.

— Jak myślisz? 30,000 dosyć będzie?

— Do zbytku.

— No! to mi wystarczy.

— Ale zkadże je wziąć?

— Spytaj lepićj zkad wziąłem.

— Jakto? już są...

— Już są.

— Ale zkadże u licha?

Hrabia mino strapienia, uśmiechnął się zwycięzko.

— Prawdziwie—rzekł dotknięty Smoliński—ludzie są osobliwszój łatwowierności.

— Kto ma ustaloną opinią i kredyt.

Smoliński ruszył ramionami.

— Proszę hrabiego, dla kogo mam oblig przygotować?

— Panu rotnistrzowi?

— Co? jeszcze Kurdesz dał?

— A! nie, nie Kurdesz: temu nawet zaległy procent potrzeba dziś wypłacić jak najregularniej, żeby się nie zgłaszał o kapitał, ale panu rotmistrzowi Powale.

— O! cóż u licha! nie domyśliłem się! — zawołał Smoliński śmiejąc się — to co innego!

— Jako co innego, trutniu! — cały w płomieniach poskoczył hrabia zaciskając pięści — mów mi zaraz, z czegoś się rozśmiał? co myślisz? co to jest: jakie co innego?

Smoliński odparł spokojnie spluwając:

— Jużciż to co innego, bo to nie interes, ale przyjacielska pomoc. — I przycisnął na wyrazie *przyjacielska*.

Hrabia ruszył ramionami, ale wewnątrz wrzał.

— Coś zrobił z Pęczkowskiem? — spytał odwracając rozinowę.

— Niepospoliciem go zażył. Wszak trzeba nam na procent dla Kurdesza około dziesięciu tysięcy.

— Na dziś rano! koniecznie! bo Kurdesz, pamiętaj wacpan, dopilnował się dobrze: ma oblig krepostnyi, a to nie żart. Stary póty gładki, póki wierzy: rozdrażniwszy go, nie żartować.

— Ej! nie takim jak on dawaliśmy rady!

— No! ale cóż z Pęczkowskim?

— Co? Zażyłem go zmańki, powiedziałem mu tak: masz wacpan do wyboru, albo oblig na prostym papierze, zamiast zgubionego, i pokwitowanie nas przed aktami, bo inaczej nie uie damy; albo odnowienie obligu, wzięwszy kontrrewers na wypadek odszukania zgubionego, ale nam pan musisz dodać 10,000 dla zaokrąglenia sumki.

— I cóż Sinołko? co? — uśmiechając się spytał widocznie uradowany hrabia.

— A cóż? stękał, kwękał, pisał, prosił, nudził, durzył, gniewał się trochę i pojechał nareszcie po te 10,000.

— No! toś chwat! wracam ci *activitatem*.

— Prawda! ha!

— Oddaję ci sprawiedliwość, masz moje łaskę! — dodał hrabia.

— A więc co? — spytał Smoliński frantowato.

— O! chcesz więc: sto złotych gratyfikacji.

— Pieniądze teraz drogie i rzadkie — przewał plenipotent — więc pan hrabia co: ot pro-

siłbym o assygnacyą na parę koni do Słomnik, ja tam sobie parę szkapek wybiorę; moje klacze się poźrebiły.

— Filut! to ty sobie weźmiesz...

— Rozumieć się co będę mógł najlepszego.

— No! no! bierz cię lichu. Za interes z Pęczkowskim warto: dałeś dowód niepospolitęj zręczności.

— Jużto—przerwał Smoliński, wiedząc, że hrabia lubił dosyć choć niezgrabne pochlebstwo—jużto przyjmując co mi słuszenie należy, muszę się i hrabiemu dziwić. Dwa interesa wśród bału tak obmyślcć, to trzeba głowy Sa...yna!

— Patrzcie trutnia! dopiero dziś przekonał się, że mam głowę!

Smoliński rozśmiał się na całe gardło.

— A teraz—rzekł hrabia — jeszcze słówko. Powieść mi (przystąpił do niego bliźniuchno i głos zniżył), zkąd ta stara kwoka hrabina Czeremowa, rozumiesz: zkąd ona mogła przewąchać, że my nie jesteśmy w tak złotych interesach, jak sobie ludzie myślą.

— Alboż co?



— Ba! co myślisz! Wczoraj mi poczęła prawić komplementa słono-gorzkie, na które jęj potrafięm odpowiedzieć. Wyobraż sobie, że śmiała mi wyrzucać Samodoły, dane mojęj żonie z długiem bankowym i swojemi deportatami, od których procent płacę.

— Żartowała staruszka.

— Śliczne żarty! A sobie jednakże zostawiła ośmset dusz czyściuteńkich.

— I dlatego nie wypadało jęj drażnić panie hrabio.

— Nie mam co staręj oszczędzać: wiem dobrze, że idzie za mąż, a kto ją weźmie, nie opłaci się darmo.

— Kto! kto! hrabina Czeremowa?

— Jak ci mówię.

— Ej to żarty!

— Nie, wcale nie żarty: bierze sobie ubożego, młodego, ładnego chłopaka, któremu resztę majątku chce zapisać, czy podobno sprzedać. A ja z posagiem żony zostanę na Samodołach. Wynówki czynione mi wczoraj były podobno tylko powodem wyszukany do kłótni,

żebym jój nie mógł dokuczać i odradzać, ale ja może znajdę na to sposób.

— Oj! i to niedobra nowina! — rzekł zasępiony Smoliński — Ale sześćdziesiąt przeszło letniój babie iść za mąż!

— Co chcesz, znudziło się próżnowanie, a ma się jeszcze i za piękną i za młodą: kupi baronostwo temu chłystkowi. Ale to na stronę. Com się chciał pytać: czy tu już chodzą jakie wieści niedobre o moich interesach, powiedźno mi szczerze?

Smoliński podumał.

— Prawdą a Bogiem, chodzą różne pogłoski panie hrabio; ale jak to u nas, o każdym radzi mówią że zrujnowany, a jednak fortuny choć podpierane szkarpami trzymają się, więc ludzie czasem i prawdzie wiary nie dają.

— Jednakże już gadają...

— Alboż o kim nie mówią podobnie? Zawsze to tak bywało.

— Masz na to dowody?

— Niedaleko szukać: Kurdesz się pono skrobie i myśli już podnosić kapitał; Pęczkowski truchleje, inni niemal w ręce całują.

— To źle! Jak się jeszcze dowiedzą o sekwestrze na Słoinniki, opadną mnie ze wszystkich stron pozwami: zginę.

— E! nie to! wyrobimy się jakoś, ale już potrzeba będzie miedzianém czołem i zuchwale, bez dzisiejszych zaklinań, ceremonii i udawania.

— Tego-bo ja nie chcę.

— Będziemy musieli.

— Drugi interes, mój Smoliński. Żonie mojej, Sylwanowi i Cesi, i Angielce, ani grosza pod niebytność moje. Powieśz im, że w pośpiechu wyjeżdżając nie zostawiłem żadnej dyspozycji. Jeśli gwałtownie zapotrzebują, niech u ciebie pożyczą, zapłacą procent.

Smoliński się rozśmiał naiwnie.

— Ale zawsze pożyczka z kassy i procent do kassy.

— To się rozumieć. Ale czegoż ty Smoło się śmiejesz?—zawołał oburzony znowu hrabia. — Cóżto w tém złego? Musiałem się wycieńczyć na te pensye dla nich: dobrze coś z tego odkroić. Nie bierze się od nich więcej nad dwa i pół procentu miesięcznie jak żydzi; pół procentu dla ciebie, a reszta do kassy.

— Znam już oddawna tę manipulacyą.

— Nikomu pod moję niebytność nie płacić nic: to druga reguła.

— I to nie nowa.

— Jeśliby kto chciał co dać: bierz, i z mocy plenipotencyi skrypt wydawaj; jeśliby się jaka formalność upiec mogła, ze względu na przyszłość, nic złego; zawsze trzeba pamiętać, żeby się było czém ratować.

— Brać choćby najwięcej.

— Choćby najwięcej.

— A z temi pieniędzmi co robić?

— Zatrzymać do wyraźnej mojej dyspozycji.

— Cóż robić w Słownikach?

— W kluczu Słownickim, nim go sekwestr uchwyci, jeśli się wyrobić nie potrafię, co tylko da się uratować, brać i wywozić: bydło zaraz odpędzić, owce, miedź zabrać do Denderowa, sterty za granicę Denderowską poprzewozić i pozrzucać, z lasu sprzedąć żydom do Żytkowa, co tylko sprzedać się może.

— Ale jeśli się wyrobim, jak pan grał ma nadzieję, do czegoż to wszystko?

— Jeśli się wyrobim, to dobrze, nie zaszkodzi jednak ostrożność: trzeba wszystko przewidzieć.

— Zapewne, cóż szkodzi ostrożność!

— Na Sylwana, jeśliby gdzie szukał kredytu, pilne mieć będziesz oko; żydom powiedzić, że nie ma rezygnowanej schedy i jest bez żadnej ewikcyi, a ja cudzych długów płacić nie myślę.

— To tylko procent powiększy: żydzi zawsze dadzą.

— A! jeśli zechcą, niech sobie zresztą dają.

— Więcej nie ma pan hrabia do rozkazywania?

— Przypominam ci tylko, kochany Sinoło, że procent Kurdeszowi potrzeba dziś zapłacić. Zresztą zrób co można, żeby dostać jak najwięcej, a wydać jak najmniej pieniędzy: to prawo ogólne.

Śmoliński się uklonił, uśmiechnął i wyszedł: hrabia wpół ubrany, drzemiący trochę ze znużenia upadł na sofę.

Około południa, kocz jego upakowany, leciał już pocztowym gościńcem do gubernialnego miasta.

Sylwan kierował się w brzezinę, w której raz pierwszy spotkał Franię, ale teraz sam już bez Janka. Kurdesz tymczasem odebrawszy procent i wedle zwyczaju ofiarowawszy Smolińskiemu żrebaczka, (bo co rok coś mu dać było potrzeba przy odebraniu procentu) odjechał do domu, niebardzo się troszcząc o podniesienie kapitału.

Na pierwszy raz nikogo nie zastał młody hrabia w brzezinie do Wulki należącej, i daremnie parę razy przez nią przejechał; ale Frania nalegała dnia tego na Brzozowską, żeby pójść na grzyby, i ból tylko w nodze pocziwój towarzyszki, przeszkodził do uprojektowanej już przechadzki.

Sylwan pojechał z chartami, zmudził się i powrócił do domu w kwaśnym humorze, przysięgając sobie, że nigdy już więcej nie pojedzie, powtarzając nieustannie, że ta niewdzięczna dziewczyna nie warta jest jego zabiegów.

Ale we trzy dni znowu, na gniadłej angielce swój ruszał do brzeziny sam jeden. Los, który chętnie płać ludziom figle, i często im też robi przysługi, które figlami pachną, chciał, by te-

go dnia Frania z Agatą tylko i Horpyną poszła sama na grzyby, właśnie ku drodze od Denderowa. Dziewczęta puścili się w las nieopodal od drożyny, a Frania na wywale usiadłszy, odpoczywała zarumieniona, gdy Sylwan ukazał się na ładnym swym koniu. Uśmiechnął się nieznacznie gdy ją zobaczył, ona się strwożyła, choć nie przysięgłbym, że marzyła, iż przyjechać powinien.

Widząc, że Frania wstaje z kłody, podskoczył żywiej ku niej i spytał wesoło:

— Co pani tu robi?

— Wyszłam na grzyby—odpowiedziała nawiwnie.

— Ten lasek musi w nie obfitować,—odparł Sylwan — a to dla mnie bardzo szczęśliwie, bo i ja często przez niego przejeżdżam.

Frانيا się ogromnie zarumieniła na nowo, nie wiedziała co odpowiedzieć, spojrzała mu w oczy, jakby z nich chciała poznać czy mówi szczerze, czy żartuje; a nie widząc, jak tylko zimny uśmiech na twarzy młodzika zawczasu tryumfującego, uczuła się ogarniona jakimś przestraczem niewysłowionym: ukłoni-

ła mu się niezgrabnie, zawróciła żywo w las i znikła.

Sylwan, który dłuższej spodziewał się rozmowy, nie wiedział co począć z sobą: postął chwilę myśląc, że powróci, wreszcie skrzywiony zaciął konia i pojechał. Przebył lasek ku Denderowu się kierując, potem zawrócił jeszcze, przejechał drożynę parę razy, sądząc, że Franie spotka, i posunął się aż na ścieżkę którą iść miała do domu, chcąc ją tu napędzić.

Ubodła go obojętność wieśniaczki; obrażony pragnął się za nią pomścić. Ale i tu jeszcze mu się nie udało: ujrzał bowiem Franie w towarzystwie dwóch dziewcząt naprost ścieżką przez ściernie żytnie idącą do dworku, a gonić jej mu nie wypadało. Zły, gniewny, znowu poprzysięgając sobie, że już nie wróci więcej, wściekle pogalopował do domu. Koń jego zmęczony, on sam zły i kwaśny; stanęli u ganku oficyn o mroku.

W Wulce Frania i Brzozowska siedziały na kufrach i rozmawiały pocieśm we cztery oczy. Frania nie miała dla swój towarzyszki tajemnic, a Brzozosia je téż, gdyby jakie i były, doskona-



le wyciągnąć umiała. Zaraz się wydało, że w lasku spotkała Frania Sylwana, wydało się co mówił: że dziewczę uciekło, że on potem po gaju błądził, że go Agata widziała na drodze ku Wulce.

— Otóż już ani chybi amant! — zawołała Brzozosia plaskając w dłonie—prawdę mówiąc. kochanie, ja się tego zawsze spodziewałam, ale teraz już pewna! Wczoraj kładłam kabałę razy sześć: wyżnik czerwieny raz-po-raz przy damie winnej stawał z prawego boku. To już taki widocznie przeznaczenie.

— Ale moja Brzozosiu, to grafiatko.

— Jakbyto grafiatko zakochać się nie mogło.

— Taki młody, moja Brzozosiu. głowa roztrzępana.

— Tém lepićj, że młody.

— A w dodatku ojciec, matka, nigdyby nie pozwolili.

— To stare historye moje kochanie! Czytałam i słyszałam o tych ojcach, co to nie pozwalają: ale to zawsze kończy się na tém, że się muszą przekonać i radzi nie radzi pobłogosławić. Zresztą chybaby byli obrani z rozumu.

gdyby pozwolić nie chcieli: a gdzież u licha co lepszego znajda?

— A nie pytasz Brzozosiu nawet, czy on mi się podoba?

— Cóż? albo nie?

— Dziwuj się jak chcesz, ale coraz inniej: wcale nie tęsknię za nim.

— No! ale możeż być, żeby taki śliczny, młody...

— Nie przypatrzyłaś mu się; gdy się uśmiechnie wydaje się straszny: ma coś nieszczerego.

— Imaginacya! imaginacya! przywidzenie! Ale to tak zawsze z początku! Najlepszy znak, kiedy się panna kawalera boi: niezawodnie pójdzie za niego. To już nigdy nie chybi. Powiem ci Franiu: i ja-n-to była dawniej, pókim się w to sadło nie rozlała, dosyć hoża. Cześnikowicz na mnie bardzo patrzył, choć byłam ubogą dziewczyną: a nie tylko on, ale i pan Paweł, i pan Remigian nieboszczyk smałał do mnie cholewki, a muszę ci się przyznać, że dla Remigiana miałam słabość. Takie-bo śliczne innię, i chłopiec był gdyby dąb. Bywało jak krzyknąć na żart, to się szyby w oknach zatrzęsą. Otóż powiem

ci kochanie, że w początku ani mi się śniło, anim na niego patrzeć chciała: a potem tak mnie za serce pochwycił, że nie było rady... Ale taki woli Bożej widać nie było....

I westchnęła, a Frania rozśmiała się nieznacznie.

— Otóż ci jeszcze powiem serce — mówiła dalej—jeśliby ci się kiedy przydarzyło go spotkać tak jak dzisiaj, poco uciekać? Trochę sobie pogadać, trochę pobzdurzyć, pożartować, nie grzech zdaje się młodemu. Niechno się panicz rozpatrzy, a ja taki ręczę, że będziesz hrabiną.

— Ale moja Brzozosiu, nuż to jaki zwodnik i żartowniś, co się tylko chce naśmiać z biédnej dziewczyny.

— Jezu Chryste! Cóż-bo ty Franiu gadasz. a któżbyto mógł pomyśleć: z ciebie! z téj malinki! z tego złotego jabłuszka! z tego aniołka!

Frانيا rozśmiała się rzucając na szyję Brzozosi.

— Nie psuj mnie proszę—odezwiała się wesoło.

— Dzieciństwa bo ci się snują po głowie, Franiu moja: ja mu dobrze w oczy patrzałam, to

młode i dobre jakieś chłopczysko... No... a i kabała sześć razy wypadła. Taki musisz być grafinią!!

---

Pomimo, że hrabia Sylwan dał sobie uroczyście słowo nie jeździć mino Wulki, trafiało się jakoś zawsze, że tamtędy szła droga w tysiące miejsc, do których koniecznie jeździć musiał. Kilka razy jakoś nie uważając zabłądził na tę drożynę, a raz koń znowu był tak zmordowany, że zsiąść musiał z niego i pieszo przejść przez las.

W oddaleniu mignęła mu się biała sukienka pomiędzy brzounami, haświstując na psa, nawołując go, choć z sobą nie wziął z domu, Sylwan puścił się żywo w kierunku różowo-białego zjawiska. Trafił tylko na Horpynę; Frania bowiem postrzegłszy to natęctwo, wołała wybrać inną drogę, niż spotkać się z nim wśród lasu.

Sylwan zakręciwszy się po brzeźniaku, zawrócił się za nią i naturalnie wreszcie spotkać ją musiał.

Powitali się jak dawni znajomi, chociaż Frania widocznie mocno była wzruszona, a Sylwan dosyć zniecierpliwiony.

— Dobry wieczór pani.

— Dobry wieczór panu.

— Pani tu znowu na przechadzce?

— Tak; to bliżuchno od domu: najczęściej tu wychodzę.

— Jakże się ma pan rotmistrz?

— Mój ojciec? dziękuję panu bardzo, zdrów zupełnie; pojechał dziś do plebanii, i właśnie czekam na niego, bo ma wtedy powracać.

Skrzywił się trochę Sylwan; ale korzystając z chwili, wesołą począł rozmowę. Frania, proste dziewczę, ale nie brakło jej dowcipu; a przy odrobinie życia, dwoje czarnych biegających młodych oczu jakże są wymowne, gdy im i białe ząbki, i uśmiech, i ruchy, i wszystko co je otacza, dodaje wdzięku i wyrazu! Słyszyny nieraz to nawet, czego te oczy nie mówią. Sylwan, który ten romans poczynął w projekcie ukończenia go i uczynienia bardzo nieceremonialnym a poufałym, dziwił się sam sobie, że onieśmiał przy dziewczęciu, które otaczał

urok jakiś niepojęty dla niego. Gniewał się na szacunek, którego nie mógł nie uczuć dla niej.

Tego wieczora zaczęli i skończyli od pan i pani, i obojętniej całkiem rozinowy, gdy wózek pana Kurdesza zaturkotał w samą porę zdaleka. Frania pozostała na miejscu na drodze; Sylwan dosiadł angielki, i puścił się w cwał ścieżką poboczną, aby uniknąć spotkania ze starym rotmistrzem, o którego zdrowie przed chwilą tak się czule rozpytywał.

Franię to oburzyło nie bez przyczyny; nie pojmowała dlaczego chciał robić tajemnicę z przypadkowego spotkania i chwilowej rozinowy.

Wkrótce, turkocząc coraz bliżej, wózek się ukazał nareszcie ze spasłą chorążanką, poważnie idącą w hołoblach, i rotmistrzem, który wedle zwyczaju, sam jadąc powoził. Ujrawszy córkę, zatrzymał się stary, posunął trochę, poprawił siano, i wskazał jej miejsce przy sobie.

— Pewnieś się nalatała dosyć, musisz być zmęczona — rzekł łagodnie — siadaj, to cię do domu odwiozę.

— Jabyim poszła picchotę, kochany ojcze!

— Sjadajno, siadaj! ceregielów nie rób. Chorążanka jeszcze i nas dwoje pociągnie.

I Frania lekko skoczyła do wózka, sadowiąc się przy ojcu. Po zapytaniach o plebana, o drogę, o dom i robotników koło domu, których Francka widziała, wypadło coś powiedzieć o panu hrabi: bo właśnie dlatego, że on robił tajemnicę ze swój wycieczki, ona jój ścierpieć nie mogła.

— A wiesz tatku! kogo już drugi raz spotykam w brzezynie?

— O! kogoż? wilka czy zająca?

— A! proszę zgadnąć.

— Psa albo wilka? co?— rzekł stary, śmiejąc się.

— Ale nie! — śmiała się Frania — wcale coś innego: proszę zgadnąć koniecznie.

— No! kogoś z sąsiadów... z sąsiadek... ale nie z blizkich.

— Starego czy młodego?—zagadnął Kurdesz.

Frانيا mimowolnie się zczzerwieniła.

— Młody!—odezwała się ciszej.

— O! to sęk, nie zgadnę; mów lepiej odrazu, bo się nie ofiaruję liczyć wszystkich młokosów, co ci na przełaj zabiegają.

— Otóż spotkałam... hrabiego Sylwana.

— Co? z Denderowa?

Stary zagryzł wargi, zamyslił się, a wzrok jego ożywiony zwrócił się na córkę. Potém pocałował ją w czoło.

— Bóg zapłać!—rzekł—za to, że mi mówisz szczerze co cię spotka: bo trzeba wiedzieć, moje serce, że to nie bez kozery. Panicz tędy nie ma nigdzie drogi, i przysięgnę, że podjeżdża umyślnie.

— Jakto? dlaczegożby?

— Ba! dla twoich ładnych oczek, moja Franko! Ale ostrożnie z paniczami tego kalibru! ostrożnie! Frant wyrachował, żeby się ze mną nie spotkać; a mówiłże z tobą?

— A jakże, i dość długo.

— I gdym nadjeżdżał...

— Obrócił się ścieżką w las.

Kurdesz pokiwał głową i uśmiechnął się.

— Mądry on—rzekł z cicha—ale i ja nie głupi. Ho! serce, niedarmo wpadłaś mu widzieć w oko; a że kawaler ożenićby się nie chciał, starać się nie raczy. Chciałby ciebie cichaczem



rozkochar, a potém porzucić, jakto oni umieją. Ale zobaczymy, co z tego będzie!

— Jakto ojczec?—spytała śmiało naiwna Franka—mógłżeby on tak podle, tak nikiemennie...

— Słuchaj dziecko!—rzekł stary z wyrazem głębokiego uczucia—ty tak znasz świat inospanie, jak ja wiem co się na księżycu dzieje. Panowie wszyscy niemal tacy jak on; dla nich my szlachta drobna na usługi, na uciechę, nie więcej; oni myślą, że nam wszystko zapłacić można. Strzelbie, koniowi i panu nie wierzyć! Gdyby miał uczciwe myśli, czyżby, proszę cię, mospanie, nie przyjechał jak się godzi do nas do domu, nie pokłonił się ojcu? a to szuka ciebie i kryje się w lesie jak złodziej: nie potém...

Francia zarumieniła się znowu: pojęła ona trafność uwag ojcowskich, i oburzyła na młodzika.

— Nie prawdaż?—spytał konfederat.

— Ja nie wiem—szepnęła Franka.

— Więcej już do tego lasku wara! Jeśli panielcowi wpadłaś w oko, no! to znajdzie nas w chacie, mospanie; jeśli się tylko swego ojca boi, na to może być rada: *est modus in rebus*;

ale jeśli myśli z nas sobie żarciki stroić, zobaczymy, kto tu kogo na dudka wystrychnie. Niechże ci Bóg, inosanie, Franiu zapłaci za to, żeś mnie tak pocziwie ostrzegła. Kto wie, wielkie nieszczęście grozić nam mogło przez tego chłystka!

Szlacheć jakby myśl straszną otrzepnął z siebie, podniósł głowę, pokiwał nią, i podpędzwszy klacz, rozniawiając swobodnie z Franią, która odzyskała wesołość, śmiała się, i czuła bezpieczną pod zasłoną ojcowskiego ramienia:—zajechał tak przed ganek, i chorążankę poklepawszy jak zwykle, do stajni odprawił.

Wiadomość o podjazdach tatarskich hrabiego, tak starego opanowała, że się z Rozbojem nie przywitał nawet, nie posiedział na ławce; a zawoławszy Franię i Brzozowską, wszedł zaraz do pokoju naprzeciw. Brzozosia tak extraordinaryjnym wezwaniem stropiona, bo nigdy o téj godzinie powoływana nie była, wpadła jak burza i stanęła, poglądając to na ojca, to na córkę.

Kurdesz wyjrzał za drzwi, pogłodził węża, poprawił włóczkowego pasa, i rzekł do Brzo-

zosi, pałającej już niepołamowaną ciekawością :

— Moja serdeczna panno Maryanno!

Na tak niezwykle powitanie Brzozosia otwarła ogromnie gębę, i spodziewając się czegoś nadzwyczajnie dziwnego, oczy otworzyła także, ręce obie podniosła, stojąc jak w słup obrócona Lotowa żona.

— Moja serdeczna panno Maryanno—powtórzył stary — gdybyś téż raz w życiu, przez przyjaźń dla nas, potrafiła język za zębami utrzymać.

— I plni panie rotmistrzu! — z oburzeniem odparła odwracając się Brzozosia.— Cóżto znowu? albożto jaką zrobiłam plotkę? co to jest?!

— Plotkę nie plotkę, znam twoje serce złote, szanuję cię, to dosyć powiedzieć, jak moje nieboszkę; ale prawdą a Bogiem, język ci często świerzbi.

— Ale cóżto jest u kaduka! — gorącując się i burząc przerwała Brzozosia. — Cóżto za jakieś dziś nie wiedzieć zkąd i czego wymówki?

— Ale to nie wymówki, to tylko przyjacielskie przestrogi.

— Cóżto jest? zkad? co? na co? po co te przestrogi?

— Co jest mospanie, to ważna sprawa; a w niej *in primis*...

— Któż u licha ten *Inprymisz*? Ja żadnego nie znam. Inprimisza żadnego nie było tu i nie ma.

Kurdesz się rozśmiał serdecznie, a Frania za nim.

— *In primis* znaczy toż samo, co naprzód.

— Więc cóż naprzód rotmistrz?

— Naprzód potrzeba milczyć jak słup...

— Ale jakże milczyć, kiedy niewiadomo co i jak?

— Posłuchajże mospanie.

— Toż słucham, słucham, już aż uszy więdną.

— Świąci się coś z kosa na prawo, że hrabiaćkowi, co to tu był, podobno w oko wpadła Frania.

— A co? a co? a co? nie mówiłam! — krzyknęła Brzozosia, przyskakując kolejno do Frania i do rotmistrza—a co? nie na mojem stanowisku?

— Alboż co?

— Ja to odrazu mówiłam, że mu w oko wpaść musi.

— Komu?

— Ona jemu, on jój, dalibóg!...

Kurdesz ruszył ramionami.

— Toście mówili i przedwcześnie i niepotrzebnie.

— Nie ucz mnie pan, to już sądzono.

— Sądzono nie sądzono; paniczowi nasz domek śmierdzi, nie chce się pocziwie starac: chciałby sobie tylko figlami potajemnie dziewczynę ułować, a potém szast nogą, i kłaniam uniżenie.

— Chowaj Boże! chowaj Boże!—przerwała Brzozosia—gdzie zaś! zkąd zaś!

— Zkądże to wiész panno Maryanno?

— Zkąd wiem to wiem; ale to pewno, że sześć razy kabała mi wypadła...

— E! dałabyś pokój temu głupstwu!

— To u niego i kabała głupstwo!!—łamiąc ręce z komiczną zgrozą zawołała Brzozosia.

— Słuchajże innie waćpanna: oto już drugi raz dziś panicz w lasku Franię spotyka, szuka jój widocznie, zawiązuje rozmowę; szczęście

tylko, że Frania ma rozum, i mnie zaraz o tém powiedziała.

Brzozosia, choć ruszając ramionami, zamilkła.

— Paniczowi chciałoby się widać bez pana ojca, bez uczciwego starania, romansów nowomodnych po pańsku.

— Ale cóż panie rotmistrzu?

— Ot co, mospanie, panno Maryanno: Frani aspanna nie puść odtąd krokiem od siebie i bez siebie, a z przechadzek do lasu kwita. Spacerujcie po ogrodzie, albo gdzie w drugą stronę, tak, żeby was nie spotkał. Jeśli szczerze kocha, niechże się po ludzku stara.

— A zapewne! i zobaczysz rotmistrzu, że przyjedzie, jak Boga kocham; co sądzono, tego nie przekiwąć.

— Oj nie!—rzekł stary—raz może, dwa może; ale nie nanto do hrabiów oczy podnosić: oni jak żydzi tylko się z sobą swatają i żenią.

Brzozowska poskrobała się w głowę.

— A jak się zniecierpliwi i porzuci? — spytała z bojaźnią.

— No! to jechał go sęk!—zawołał rotmistrz.  
— Cóżto moja córka ma sobie zebrać męża?

Mosanie, alboto my nie taka szlachta jak drudzy, jeśli nie lepsza? Czyto ja po niej nie dam i Wulki i dobrego grosza pod poduszkę? Alboto ona kulawa, garbata czy szpetna, żebyśmy się z nią prosili i wdzięczyli jak suczka na przewozie?

— Co to, to prawda, kochany rotmistrzu!

— Więc *motus*.

— Jaki motuz?—spytała ciekawa Brzozosia.

— Cicho!

— A! rozumiem: motuz, węzeł, jak węzłem gębę zawiązał — dobrze! A jak sobie zresztą chcesz rotmistrzu! Taki hrabiątko nasze i nasze, jakim żywa; nigdy mi sześć razy z rzędu na jedno kabała nie wypadła darmo; pomyślcieno! sześć razy!

Było to we wtorek. Środę, czwartek i dni następne, ufny w potęgę swych niezliczonych wyższości i przymiotów, dzień po dniu Sylwan jeździł do brzeziny; widziano go z Wulki, i rotmistrz uśmiechał się pod wąsem: w piątek nawet wysłał chłopaka, żeby go spytał czy nie

zabłądził. Skorzystał z tego hrabia, i dawszy mu dwa złote, chciał się dowiedzieć, czy kto we dworze nie chory; ale parobek zaręczył, że wszyscy zdrowi jak ryby. Hrabiatko kwaśne pojechało do domu.

W niedzielę Frania z Brzozosią krytą bryką staroświecką, z parobkiem w nowój świte na koźle, pojechały do kościoła. Kurdesz został w domu, domysławiając się, że tam się z niemi Sylwan spotka. Prorokowała to i Brzozosia, a Frania nie bez ciekawości, wchodząc rzuciła okiem po kościele. Hrabia stał za ławkami, uklonił się jój nieznacznie, i już go nie postrzegły aż wychodząc dopiero. Spotkał je u drzwi. Brzozosia drżała z niespokojności, i zarzuciła go zaraz pytaniami, uśmieciami, bijąc łokciem w bok Franię, ile tylko miała siły.

Frania ze spokojem dziewczynym odpowiedziała mu swobodnie na kilka zapytań, wesoło, rawnie uśmiecując się i poglądając, a odzywając się tak zręcznie i tak szczerze razem, że paniczowi przygotowane frazy na ustach zamarły. Najgorzej strapiło go to, że Frania na głos mu powiedziała:



— Mój ojciec bardzo żałował, że się we wtorek z panem hrabią nie spotkał: chciał go prosić na podwieczorek.

— Co u licha! — rzekł w duchu — albo to zdrada, albo nadzwyczajna powolność. Więc zaraz mu o mnie powiedziała!

Trochę złego humoru napędziła mu ta wiadomość i podrażniła go niewymownie, gdy ją wziął na rozwagę; w dodatku, w obec wszystkich dystyngowanych osób sąsiedztwa, zła-ski Brzozosi, która go bez ceremonii zatrzymała, musiał z niemi pozostać długą chwilę w przedsionku kościelnym, w towarzystwie dwóch niepocześnie ubranych szlachcianek, z których jedna miała minę fasy z rozwieszonym na niej odzieniem, i nastrzępiona była w sposób bardzo śmieszny. W dodatku, wśród szeptów, śmiechów i wskazywania palcami młodzieży i kobiet, Sylwan podsadzić musiał do bryki odwiecznej Brzozosię i Franję; a Brzozosia, że jej to w oczach całej parafii niezmiernie pochlebiało, tak powoli siadała do bryczki, tak umyślnie starała się przedłużyć tę chwilę tryumfu!!

Nareszcie uwolniwszy się od téj pańszczyzny, którą nie wiedząc czemu dopełnił, bo się sam na to wściekał; wychwycił się jak z ukropu z tłumu, który nań szydersko poglądał, siadł na nejtyczankę, i uciekł zły, jak gdyby się zgrał do grosza.

Całą drogę nie poznając siebie, łajał się od słów ostatnich, reflektował, karmił, rzucał, gniewał, i przyjechawszy do domu, nie poszedł do pokojów, ale pociągnął z bólem głowy na łóżko.

— Na dzisiajśm basta—rzekł z zapaleniem—niech sobie głupią tę gaskę łapie kto chce: ja w to śmiećisko więcej ręki nie włożę. Ślicznie! ślicznie! skompromitowałem się dla wieśniaczki, naraziłem się na śmieszność, na wytykania palcami. Co ludzie powiedzą!! co ludzie powiedzą!—całe sąsiedztwo mnie widziało! Piorunem pójdzie ta nowina po dworach... inogę sobie powinszować...

W istocie, nie było dnia tego mowy w sąsiedztwie o czém inném, i rotmistrz Powala spieszył do Denderowa na obiad, pilno pragnąc historią syna przywieźć matce. Hrabina opowiadanie to zniosła stoicznie, uśmiechnęła się

dwuznacznie; ale brew jćj zmarszczona i zaciśnione usta dowodziły, że nad tém uczuć musiała. Po obiedzie rotmistrz poszedł do Sylwana na fajkę i gawędkę o koniach, o kartach, ale mu nie nie wspomniał o pannie Kurdeszance, i odjechał. Wieczorem zdziwił się wielce Sylwan, gdy go do matki wezwano; nie byłoto we zwyczaju.

— Byleby nie chciała u mnie pożyczyć piędzdy—szepnął w duchu zinnno, przywdziewając kusy kraciasty surducik -- wczoraj niepożrebniem się pochwalił, że wygrałem.

Nie domyślając się wcale po co go wzywano, Sylwan poszedł do hrabiny. Znalazł ją przechadzającą się wielkimi krokami po pokoju sypialnym, pełnym woni, błyskotek, kwiatów. fraszek, i wystrojoną jak obraz cudowny.

— A! nareszcie! Dzień dobry ci i dobry wieczór.

Sylwan przywitał matkę po angielsku: w jego świetle wszyscy byli równi, i powitanie okazało poufałość, nie uszanowanie.

— Głowa mnie boli okrutnie!— rzekł padając na kozetkę.

— I nie dziw!—odparła śmiejąc się przymuszenie matka.— *Vous faites des folies.*

— Ja? cóżto jest?

— Całe sąsiedztwo za boki się trzyma śmiejąc z ciebie.

— Ze mnie? cóżto takiego?

— Jedyny jesteś! *vous ne vous doutez même pas?*

Sylwan doskonale się domyślał, ale udawał że nic nie wie.

— Jakże, proszę cię, szaleństwa wyrabiasz dla jakiegś tam szlachciancezki, którejbym ja może za pierwszą garderobianę wziąć nie chciała...

— *Qui vous à conté cela?* to jakieś plotki...

— *Mais mon Dieu!* wszak Wieluńska była na mszy (hrabina umówiła się, że nie wyda rotmistrza i złoży to na służące). Wszyscy się brali za boki, gdyś z temi pańkami roznawiał i wsadzał je do powozu...

— Wieluńska to mówiła?

— Powiadam ci, wszyscy umierali ze śmiechu.

— Z czegoż? — odparł Sylwan gniewnie. — Nikt się ze mnie nie śmiał i śmiać nie może, bo-  
byin to srodze ukarał.

Matka ruszyła ramionami.

— Pomiarkuj naprzód co robisz. W obec ty-  
siąca oczu kompromitujesz się w sposób najdzi-  
wniejszy dla jakiegoś drapichrusta. *C'est inoui!*  
Zapominasz kto jesteś! Nic nie mówię nigdy za  
inne szaleństwa, bo mogę ich nie widzieć i nie  
wiedzieć o nich, a zatem nic mi do tego: ale to  
już zanadto...

Sylwan się nasrożył.

— Mamo — rzekł — pojmuję, że to czynisz  
z najlepszego serca, ale wcale niepotrzebnie: je-  
stem już w wieku...

Hrabina rozśmiała się.

— Lepiej od ciebie wiem o twoim wieku.  
Chciałam cię tylko przestrzedz, bo skandalem  
się brzydzę. Pamiętaj co mówią Arabowie:  
„Zgrzesz sto razy przed Bogiem, Bóg ci prze-  
baczy; ale ani razu przed ludźmi, bo ci tego nie  
daruja”.

Sylwan ruszył ramionami i z niecierpliwością  
jak zawsze. bo mu najłatwiej przychodziło się

zniecierpliwić, okręcił się nic nie mówiąc po pokoju.

— Moje dziecko —odezwała się hrabina poważniej — *ayez de la retenue*, miej wzgląd na siebie i na nas. Cóżto jest? wypowiadaj mi się szczerze.

— Poprostu dzieciństwo, z którego sobie ludzie zrobili historyą. Ojciec posłał mnie do tego tam pana rotmistrza, zapraszając go na imieniny. Nie wiem z kąd był ten zbytek grzeczności; podobno ojciec coś mu tam winien. Poznałem więc mimowolnie jego córkę.

— Cóż? tak ładna?

— Ładna! jak wszyscy! Świeża! młoda!

— I zawróciła ci głowę—spytała hrabina— Nie wielkieby to było złe gdzieindziej, ale ktoś tak niższy od nas położeniem i wychowaniem. Tysiąc ztąd kłopotów, plotek; u nich zaraz wszystko zwykli brać na seryo! Staraj się pogrzebać twoję passyą—dodała z francuzką—daj temu pokój!

— Ależ tu passyi nie ma.

— Choćby to była tylko fantazya!

— Chyba fantazya. Ale cóż złego, żem się z nią przywitał w kościele?

— To tylko nieprzyzwoitość: potrzeba było udać, że się nie widzi.

— O! na drugi raz zrobię to pewnie.

Hrabina nie odczuwała się więcej: sparła się na łokciu i zamilkła; smutna jakaś myśl nią owładła. Sylwan powoli wyszedł i powrócił do siebie w najgorszym humorze.

Biędni byli słudzy, biędne psy jego tego wieczora!

Tego samego wieczora, o mroku nadchodzącym, Cesia siedziała przy fortepianie i brzdąkała na nim jedną ręką, wyciągniona w krzesło, trzymając przed sobą na uwięzi Wacława, który myślą biegał gdzieś daleko.

Mileczenie przedłużało się już od kwadransa, przerywane tylko piosenką, którą niedbale przegrywała niekiedy Cesia, coraz to oczy ogniste podnosząc na młodego człowieka, któremu oliwy do ognia już nie potrzeba było dodawać: płomień był widoczny.

Bo pierwsza miłość zawsze jest jak ogień po długiej suszy wrzucony: straszliwą i pożerającą; później, któż nie zna historyi tego uczucia i nie umie się w niém kierować? W początku wszystko w niém tajemnicą, niespodzianém, straszném, bolesném, a obok bólesci są téż i dziwne, wielkie rozkosze, które się już nigdy nie powtórzą w życiu. Pierwsza i ostatnia, są najsilniejsze pewnie: jedna chwytła nas jak niespodziane szczęście, ukazując niezgłębione przepaści wiekuistych rozkoszy; drugą obejmujemy jak deskę ratunku, bo po niej nie ma już dla nas nic: głucha pustynia, cisza, grób i śmierć...

Wacław był w cierpieniach i rozkoszach najpierwszego w życiu uczucia: gwałtownego jak wybuch wulkanu, co wstrzymany w przepaściach ziemi wstrząsa górami i łanie zastygłą jej skorupę. Uczucie to tak silne bo pierwsze, zktórem postąpić sobie nie umiał, musiał tać w sobie, musiał z nim walczyć nieustannie, by nie dać mu się objawić.

Cesia, której to było nie pierwszą miłością ale próbą uczucia, ale snem przepowiednim, igrała ze wzbudzoną namiętnością, jak się bawi



z ułaskawioném dzikiém zwierzęciem pan jego. Gdy ją tań Wacław, wywoływała; gdy okazał, odpychała śmiechem, szyderstwem, podziwem, udaném niepojmowaniem: chciała słów i nie rozumiała ich; zrozumianemi rzucała jak dziecię piłką. Smutny był widok tego cierpienia i téj pańskiej obojętności na nie. Tak czasem wyrostki wiejskie pastwią się nad biędnym pochwyconym ptaszkiem, któremu po jednym wyrrywają piórku, którego skubią ze śmiechem. Cesia była nielitościwa jak dziecko: dla nię życie mało się jeszcze tak dziwnie piękne, tak obfite w nadzieje, że się ani myślała w progu jego zatrzymać; ale z nudy, z próżni chwilowęj serca, szukała sobie zabawki.

— Niech mi pan co zagra! — zawołała nareszcie wstając — tylko proszę co wesołego.

— Cóż pani każe?

— Coś Straussa.

Posłuszny jak pozytywek Wacław, uderzył w klawisze: walc Straussa pod jego ręką tak wściekły przybrał charakter, iżby go szatani w piekle po wierzchochach płomieni tańcować mogli. Nie zmienił w nim ani jednę nuty, ale wy-

raz tak był straszny, tak burzliwy i namiętny, że Cesia uczuła nagle coś nakształt przestraschu i smutku niespokojnego.

— A! czyżto wesołe? zlituj się pan.

— To walc Straussa.

— Innego!

Inny walc był znowu smutny jak płacz, łkania, jęk i boleść; tęskny jak rozpacz, wywoływał łzy, płynęła pieśń inelaucholijna, jak wstęga czarna: rzekłbyś, że to krzyk zranionego do głębi serca. A jednak było to walc Straussa: ale przeczeń jak przez pierwszy, przecierała biedna, zraniona dusza.

Cesia się zachmurzyła, zamyśliła: widocznie poczyniała się gniewać prawie.

— Jak to pan dziś grasz niecznośnie—zawołała z wyrazem niechęci— walc jeden straszny, drugi łzawy: nie umieszże pan żadnego wesołego. Graj pan polkę, nie polkę-mazura, ale polkę wesołą.

— Nie rozumiem dlaczego pani chcesz w sobie dziś pobudzić wesołość, gdy jęj sama posiadasz tak niewyczerpane skarby.

— Doprawdy? pan tak myślisz?

— Tak jest.

— Ależ wesołość powierzchowna, czy nie ukrywa czego czasem?

— Czasem kryje obojętność i chłód, i to podobno najpospolicij.

— Nie myślę, żebyś pan miał prawo o tém sądzić i mógł o tém wyrokować.

— Przepraszam panią. Zapytany mówię co myślę.

— Najgorszy zwyczaj, panie Wacławie: nigdy się nie powinno mówić co się myśli; ale.... przepraszam: zapomniałam, że pan nie jesteś kobietą.

— I dla mężczyzny przyda się ta rada. Co pani grać mi każe?

— Na miłość Boga, co wesołego.

— To tak trudno.

— Trudno! trudno! Wszakże to pierwsza z brzegu szejne-katarynka potrafi.

— Właśnie dlatego, że nie mam szczęścia być szejne-katarynką...

— Bądź pan nią na chwilę: zobaczym ile masz mocy nad sobą?

— O to pani chodzi?

— Gdyby.

— A więc gram...

I znów odczwały się klawisze, a polka wyrwała się z pod palców Wacława tak świeża, tak strojna, tak namiętnie pusta, taka śpiewna i śpiewająca, że w oczach Cesi stały salony oświecone i tancerze w białych rękawiczkach, i szepty tłumu wielbicieli... i cały świat jój marzeń pustych, szalonych, piętnastoletnich. A grał Wacław z takim wyrazem, z taką trzpiotowatością, jakby sam tańczył na upragnioném długiego wesela.

— Brawo! brawo!

— Cóż teraz pani powie o mojej mocy nad sobą?

— Wielka, ale krótka jak polka. A teraz graj już pan co chcesz.

— Dzięki Bogu!

— I począł z sonaty Chopin'a ten znany dziś tak powszechnie marsz pogrzebowy, z którym chyba drugi marsz Beethovenowski porównać się może. Wdzięk u obu melancholijny jeden. Beethoven tylko pisał swój, starym już podór-

bio, obrobił go, wystudyował, wypracował umiętnie, oszlifował dyament. Chopin wylał z serca co w niém miał: naiwnie, poprostu, bez kunsztu prawie, jak Homer śpiewał, sam nie wiedząc o tém, że tworzył razem arcydzieło pomysłu i formy.

Cesia patrzyła na Wacława i zdało jej się, że widzi zapalone pochodnie, długi szereg księży w czarnych kapach, trumnę ubogą na mórach prostych i płaczących krewnych... Płacz ich powolny, tęskny raczej niż rozpaczliwy, chrześcijańską boleść, co ma pociechę w niebie, malujący i poddany woli Bożej.

— A! dosyć tój elegii—zawołała przerywając—to ten niecznośny pański Chopin, którego cierpieć nie mogę nawet w jego mazurkach. Są to mazurki filozoficzne, transcendentalne, Bóg wie co; a wszędzie smutek, a wszędzie taki gorzki smutek, jakby pieśń wygnania...

— Smutek dusz wyższych, co zawsze wśród szczęścia nawet tęsknią do niebios.

— Dziękuję za komplement: ja co nie tęsknię, nie mam honoru należeć do dusz wyższych.

— Pani może tęsknoty swój tylko pokazać nie chcesz, boś nadto dumna, a wreszcie tak młoda. Któż tęskni tak młodo?

— Pan zawsze masz mnie za małe dziecko.

— Nie pani! o! nie!

— Graj pan wlażł-kotek za karę...

— Co pani każe... ale wlażł-kotka...

— Tak, to właśnie.

— Żarty czy...

— Doprawdy, chcę wlażł-kotka.

— Istotnie?

— Tyle razy powtarzam.

Posłuszny ale smutny i zniechęcony zagrał jej Wacław z tego tematu tak ciasnego, coś dziwnego, fantastycznego, zamieszanego, burzliwego, jakiś taniec czarownic z chychotem pułaczów i szumem wichrów.... Dziką począł tę fantazyą, urywał, chwycił tema, przerabiał go, łączył ze śpiewem, z którego naigrawać się zdawał, i bawił się z nim jak niedźwiedź zmuszony igrać z łańcuchem na którym go wodzą.

Nareszcie skończył: a dwie łzy w ciemności potoczyły się niewidziane po jego twarzy.

Chciał odejść, ale Cesia nie życzyła sobie sama pozostać.

— Czegóż pan się tak spieszysz?

— Wić pani, że odjeżdżam.

— Pan odjeżdżasz? Dokądże to?

— Jadę... w świat.

— Cóżto? żarty dla rozczerwienia mnie?

Pierwszy raz myśl rozstania zupełnego na wieki, przeszła główkę Cesi pustą, i czuła jakby ściśnięcie serca, jakby smutek, jakby żal w zarodzie jeszcze nierozwiniętym. Przywiązujemy się do ofiar pierwszych naszych namiętności.

— To nie są żarty — dodał Wacław — moja przyszłość cała jest w mojej pracy; dość długo byłem dla państwa ciężarem, dość im winienem i tego nigdy nie zapomnę: czas wreszcie samemu o własnych siłach pójść szukać chleba.

— Tylko chleba?

— Tylko chleba! Mogęż roić o czem więcej? możnaż dziś dobić się sławy obok mistrzów tylnu? A! gdyby choć chleb czarny w ciszy, spokoju, ustroni; ale i o ten kawałek suchy, jeśli

nie polany łożami, potrzeba będzie dobijać się walką z braćmi sierotami losu i gryźć jak o kość. To los co mnie czeka.

— Ale pan nie pojedziesz.

— Owszem panu, muszę jechać i pojadę.

— Będiesz czekał na powrót mego ojca.

— Hrabia pisał mi, żebym wyjeżdżał i ma mi dopomóc w Żytkowie, gdzie już na mnie czeka.

— Powrócisz przecie do nas?

— To Bóg wie jeden. Któż powiedzieć może: powrócę? A potem dlaczegoż i do czegożbym powracał. Wdzięczność moja wytrwa dla was i zdaleka, a państwu jam niepotrzebny. Zawołacie mnie kiedy, przybiegnę posłuszny jak pies do dawnego pana; ale w waszém życiu czémże ja jestem? Jednym z tych, których macie mnóstwo za pieniądze: czémś pośredniém między sługą a młodym i z łaski przyjmowanym sąsiadem.

— Pan o nas źle może sądzisz...

— Nie. Rozmierzam tylko bacznie i bez złudzenia co nas dzieli i dzielić będzie wiecznie, co mnie oddala od państwa, i co się nigdy przełamać nie da. Jeśli będę potrzebny, zawsze



przyjdę, choćby pieszo, choćby o kuli wam służyć.

— Pamiętaj pan — przerwała pusta Cesia, zwracając rozmowę, żeby ukryć trochę uczucia — że gdy zatęsknię za włazł-kotkiem, wezwę pana choćby ze stolicy, żebyś mi go zagrał.

To mówiąc, poskoczyła z miejsca i odeszła, a Wacław spiesznie otworzył drzwi ogrodu i wybiegł szukać w chłodzie i cieniu drzew. w widoku miejsc znanych mu od dzieciństwa, uspokojenia, siły, rezygnacyi.

Potrzeba było te miejsca opuścić, a my nędzni niewolnicy tak przyrastamy do ziemi. Pod tym względem jesteśmy rośliną, co przytknięta do gruntu ujmuje się go i chwytą, by żyć. I my w młodości zwłaszcza, chwytamy się każdego kąta, w którym chwila życia nam spłynęła, czepiamy się do niego, by cierpieć potem, gdy nas los przesadzi na ziemię nową. Wacław żegnał z kolei kątek każdy, choć nigdzie nie uśmiechnęły mu się uczucia przyjazne, choć wszędzie przecierpiał od dumy, obojętności, wzgardy, szorstkości otaczających; ale miejsca cierpienia są nam równie drogie, jak ozłoczone szczęściem.

Któż nie płakał po długim więzieniu i czule nie wspominał go swobodny? Wacław szedł przez ogród i napawał się widokiem miejsc, które chciał zapamiętać nazawsze: bo myślał, że już do nich nie wróci, a były mu drogie. Trochę marzeń miłosnych, tych marzeń, co jak drobne maki nasionka, umieję wysoko wyrastać i bujnie rozkwitnąć: zdobiły jeszcze i urokiem swym opromieniały każdy kątek. Byłyto jak sny, jak w chwilach usypiania dzikie obrazy, nieurzeczywistnione nadzieje; ich olbrzymiość i zarysy ingliste stanowiły piękność.

Kochał Cesię, a z dwuletniej miłości zostawała mu przy rozstaniu: gałązka rzedy zdjęta z posadzki, której się zaprzec musiał, kilka słów dwuznacznych i wiele gorzkiej płochiej dziewczęczki pocisków, które utkwily głęboko.

Ogrodem zbliżył się ku stawowi, błędził długo nad jego brzegiem. i smutniejszy niż kiedy, powrócił do swojej izdebki, która pełna była upakowanych już rzeczy, pusta, smętna, i duszna. Wrócił zrozpaczony o przyszłości, idąc w świat rozczarowany bez tych zwykłych nadziei młodych, bez marzeń sławy; czując, że

nań oczekują walki, niedostatek, upokorzenia. Wszystko to przewidział, wszystkiego był już spróbował. Obojętny, z nadzieją tylko jedną, że sztuka którą kochał, będzie mu pociechą: szedł posłuszny losowi z zawiązanemi oczyma, mówiąc sobie:

— Na wszystkim gotów, co mi los zdarzy.

---

Cesia starała się zobaczyć z Wacławem na wyjeźdném, bo od tego wieczora zawitał do niej sinutek dotąd nieznany i jakieś uczucie, które tłumaczyła sobie litością tylko. Nazajutrz spotkała go jeszcze u matki: wyszła do ogrodu późn, ale już Wacław pożegnawszy wszystkich i nie chcąc przedłużać ciężkich dla siebie chwil rozstania, popędził w tumanie kurzu ku nieznannej a strasznej jak przepaść przyszłości.

Cesia podumała chwilę, sparta na ławce w ogrodzie, poszła do sali do fortepianu i grać nie mogła: klawisze ją parzyły, miejsce gorące jeszcze było jego bytnością ostatnią, niepokój budził się w niej niepojęty, łzy cisnęły choć spychane do powiek dziwném osłupieniem otwar-

tych. Usiłowała się przemódz i nie mogła. Na-  
 zajutrz dopiero żal stał się łżejszym, potem zo-  
 stała tęsknota tylko, potem... Ale nie łapmy  
 ryb przed niewodem: przyjdzie nasz niewód na  
 te tonie.

Sylwan gniewał się tylko na siebie, że tak  
 niezgrabnie wzięwszy się do romansu z panną  
 Kurdeszanką, wszystkich oczy uderzył, roz-  
 śmieszył sobą, wywołał plotki i sprowadził  
 na siebie wynówki. Skompromitowany powi-  
 nien był zerwać wszystkie stosunki, ale miłość  
 jego własna zbyt mocno na tém bolała. Porwać  
 się, nie nie dokazać, a w dodatku ludziom być  
 pośmiewiskiem! tego znieść nie mógł: młoda  
 jego duma i wysokie pojęcie o swych przymio-  
 tach, oburzały się na to. Chciał teraz pomścić  
 się głośno: uwieść i porzucić; wołałby był, żeby  
 go przeklinano, niż żeby z niego szydzono. Tak  
 biedny miał przewróconą głowę, a serce za-  
 marzłe!

Ale napróżno łamał sobie tę biedną głowę  
 nad sposobami wyjścia zwycięzkiego z tój ma-  
 tni, w którą się uwikłał: nie widział żadnego.  
 Gniewał się i złościł. W takiej dyspozycyi uny-

słu, powracający przez Denderów z dalszej wycieczki, hrabia Karol Walski go zastał.

Sylwan przyjął przyjaciela z radością, rozbawił się przy nim; a z polecenia wyraźnego matki, podprowadzając go do siostry, zatrzymując, łapiąc, gdy sam-na-sam wieczorem pozostali, zwierzył się doświadczeńszemu całej swój przygody i dalszego jój toku, bardzo szczerze, bo i wstydu, i gniewu, i chęci zemsty nie ukrył.

— Zamiast rady — rzekł Karol — powiem ci historyjkę nauczającą, tylko mi daj słowo, że jój powtarzać nie będziesz.

— Ale cóż znowu? myślisz że m plotka?

— Słuchaj więc. Znam zbliżka w moich stronach młodego człowieka, który jak ty powiedział sobie, zobaczywszy młodą szlachcianceczkę, córkę ekonoma:—Cóż szkodzi pokochać się trochę, zabawić, rozerwać, a potem... Któż myśli co potem będzie?—szepnął sobie—jakoś to będzie. Poczęła się tedy łatwa znajomość, łatwe między młodemi uczucia, coraz bliższe stosunki, a pan Strzemba, ojciec panny...

— Co ty mówisz? a toż Strzemba jest u was ekonomein!—żywo przerwał Sylwan.

Karol się trochę zarumienił: ale odzyskując odwagę i przytomność, wstydział się kłamać dalej.

— Słuchajże tém uważniej, bo to moja własna historia. My panowie wyobrażamy sobie wszystko, co użęj nas, ledwie człowiekiem; nie przypuszczamy, by poza naszą cywilizacją powierchlowną było i mogło być serce, obyczaje, myśli i uczucia. Lekko cenim sobie ludzi i błędzim co krok...

— No! ale cóż się stało z panną Strzebówną?

— Strzemba nie nie mówił, dom otworzył z zaufaniem, ledwie nie z zaproszeniem; znalazłem tu dziewczę, którego tęskna twarzyczka mnie ściągnęła, a które odrazu uszanować musiałem, bo było tego warte. Nie po naszymu, nie po francuzku wychowana, nie tak jak my mówiąca, od pań naszych daleko poważniejsza, wszystko biorąca seryo i uważająca za szczerze, pobożna, pocziwa...

— Daruję ci resztę litanii\*— przerwał Sylwan—widać dobrze ndawała: ale ty chyba kobiet nie znasz?

— O! gdybyż udawała—kończył Karol—nie miałbym na sumieniu ją zwodzić; ale szczerego i wierzącego nam zawieść, zdradzić, to zbrodnia!

— Ba! takie zbrodnie!...

— Nie wahałbym się za nie powiesić.

— No! cóż dalej?

— Wplątałem się tedy w miłostki, z których już wycofać się i wybrnąć było niepodobna: bom myśląc się tylko zabawić, zakochał na prawdę.

— Jakież z ciebie cielę! Daruj hrabio, ale w pannie Strzeimbównie?!

— Może i cielę, ale stało się jak ci mówię.

— Cóż tedy dalej? bo to dla mnie żywa nanka.

— Dalej? dalej po dwóch leciech odwiedzin powtarzanych i ściskających się coraz stosunków, gdyś siły nie miał jej opuścić, ani w łeb sobie strzelić, hrabia Karol Walski, herbu Topor, ożeniłem się potajemnie z panną Strzeimbówną.



— Co ty mówisz! — zakrzyknął porywając się Sylwan.—Jako? tyś doprawdy żonaty?

— Jak innie widzisz; a w dodatku szczęśliwy przez nią. Ale słuchaj końca. Ożenienie nie jest rzeczą tak łatwą i prostą, jak się niejednemu zapalonemu młodzikowi zdaje. Gdy rodzice mówią: wybieraj ze swego stanu, gdy cię rozsądkiem zimnym i nudnym kierują, nie sąto słowa bez znaczenia i gderanie dumy lub uporu. Ożenienie łączy nas nie z jedną kobietą, ale z całą nową rodziną, z całym drugim, jeśli ona do drugiego należy, światem. Przez nią spokrewniasz się z ludźmi, z którymi żyć nie możesz, którzy ciebie nie rozumieją, do których wstąpić uczuć możesz. Tak i ze mną: jestem szczęśliwy z panną Strzembówną, ale Strzembowie! A! Strzembowie! Strzembięta! Strzemboszeta! Strzembów krewni i powinowaci, kolligaci i familia: bo rodzaj Strzembów jest zawsze niesłychanie płodny i rozrodzony... Tu już sił i cierpliwości brakuje!

— Prawisz mi rzeczy niepojęte i do wiary niepodobne, kochany Karolu! Byćże to może?

— Jest jak ci mówię. Przypominam ci tylko nawiasowo, że krom nas dwóch nikt o tém nie wie; pamiętaj, że jeśli się wygadasz, śmiertelnie mi zaszkodziś i śmiertelnie mnie obrazisz...

— Ale bądź spokojny, nigdyś się jeszcze nie chcący nie wygadał w życiu. Pozwól mi się trochę całej téj z Tysiąca nocy historyi podziwić. Jakto? ty! ty! którego uważałem za mentora i mistrza, tak olbrzymie i heroiczne zrobić mogłeś głupstwo?

— A co więcej, przyznaję ci się do niego. Właśnie, zem je zrobił, nikt nademnie skuteczniej poradzić ci nie potrafi: *ab uno disce omnes*.

— Co ja, tobym nigdy nie podobnego nie uczynił.

— Jestżeś pewnym, że nie pokochasz, lub pewnym, że potrafisz z zienną krwią zostać podłym?

— Ale zlituj się! tysiąc jest sposobów środkowych... Strzemba byłby wziął dla córki dziś się tysięcy posagu i wydał ją za męż.

— Aleś ja ją kochał!

— Otóż w tém właśnie jest wielkie niedarowane głupstwo.

Karol ruszył trochę wzgardliwie ramionami.

— To prawda! — rzekł — mam głupie serce, i to mnie, jak ty nazywasz, zgubiło. Ty jesteś pewnym, że go nie masz?

— Ja? nie a nie!

— Jeśli tak, przyznaj ci się, tyś straszny człowiek.

— Tak! dla kobiet.

— Mnie się zdaje, że kto nie umie kochać kobiety, nie potrafi przyjaciela.

— Filut! chciałbyś mnie widzieć razem z sobą w jednej kozie; ale nie! nie! Ja sobie dam radę...

— Życzę ci, cofnij się póki pora.

— Cofnąć się? żeby się śmiano ze mnie?

— Wolałbyś, żeby płakali?

— Zdaje mi się.

— Boję się, żebyś sam nie płakał.

— Ja?! ale któż dobrze wychowany płacze?

Karol od stóp do głowy zinierzył Sylwana. i ruszył tylko ramionami.

— Mój Sylwanie! — rzekł — oducz się twoich burszowsko-lwich pojęć o człowieku i młodości. Serce jest warunkiem życia.

— Ale cóż ma za związek serce z podobną intrygą?

— Bez serca, jestto brudna, zwierzęca namiętność.

— Cha! cha! Doprawdy, od czasu jakęś się ożenił, pogłupiałeś kochany Karolu! Jesteś moralny jak Marinontel, i prawisz o sercu nieznosnie, jak stary romans ośmnastego wieku.

— Bo mnie serce boli—odparł Karol.

— A ja go jeszcze nie czuję w sobie, i wolno mi, spodziewam się, użyć tej drogiej chwili młodości...

— Używaj! Bóg z tobą!

Po tej rozmowie, Sylwan, któremu matka nakazywała zatrzymać hrabiego Karola, będąc przekonaną, że jest nieżonaty, i pragnąc go zbliżyć do Cesi: naśmiewszy się pociechu z tego dziwnego składu okoliczności, nie zapraszał już uparcie Walskiego, który zaraz odjechał. Ilrabina ostre za to wymówki czyniła synowi, ale zniósł je język trzymając za zębami, i tajemnicy przyjaciela nie wydał. Śniał się tylko

w duchu. A wśród rozmów, śmiechów, wśród salonowej zabawy, myśl tylko jedna tkwiła w nim ciągle: chciał się koniecznie, koniecznie pomścić, i wstyd swój powetować świetnym zwycięstwem...

Na kim? spytacie: na sobie za niezręczność?—nie, na biédnej Frani niewinnej i na Kurdeszach. Ale smażył sobie głowę, a sposobu wiodącego ku temu znaleźć nie umiał; po długich rozmyślach postanowił nareszcie brnąć dalej: jechać do Wulki, pod pozorem targu i kupna siwój kłacz czy rotnistrza.

Znaleziony powód odwiedzin niezmiernie go ucieszył. Mając gotowy pretext, co najprędzej chciał myśl przyprowadzić do skutku; kazał konia osiodłać, zostawił Janka szczebiotliwego w domu, a sam umyślnie skierowawszy się wprzód w inną stronę, aby ludzie kroków jego nie śledzili, zaroślami przedarł się do Wulki.

Byłato godzina wieczorna: rotnistrz wedle swego letniego zwyczaju, siedział w ganku na ławce.

Ganek dawniej u szlachcica, w ciepłą porę roku, był najulubieńszém jego schronieniem; nie

było tu tak duszno jak w izbie; widać z niego całą gospodarkę, bo często i łany, a zawsze drogi i ścieżki, całe obejście gospodarskie, guma, obory i folwarczne budowle. W ganku łatwiej znalazł pana wieśniak, rozinówił się z jegomością przechodzący ekonom; sam jeden siedząc, nie był tu samotnym, wzrok jego czuli wszyscy. Bocian mu klekotał na stariej olszy, rżały w stajence koniki, gruchały gołębie, a z sąsiedniego kościółka dzwonek godziny dnia przypominał. U nóg rotmistrza legiwał stary Rozbój, towarzysz jego, ilekroć pieszo za próg domu się ruszył. Często Brzozosia wyszła z przeciwka, i stanawszy na progu, rozpoczynała gawędę; często Frania siadała przeciw niego z pończochą; czasem idący ze stajni parobczak stanął do rozinowy; guznienny sparł się na chwilę o słup i wypowiadał się z dziennych robót, których doglądał: a tak dzień w ganku upływał wesoło i czynnie. Tu wyniosłszy stół, nakrywano nieraz do obiadu, podwieczorku, wiczerzy; tu miały miejsce obrady wiejskie, którychby ciasny domek szlachecki nie objął, gdy cała na nie stoczyła się ze wsi gromada:

tu przyjęcie wianków, odbieranie włóczębnego, powinszowania i prośby... Wieczorem późniejszym, gdy zmrok zapadał, a w izbie ciemnieć poczynąło, stary *sodalis marianus* z książeczki mógł czytać jeszcze w ganku i domówić resztę pacierzy.

To też miejsce, które tu zwykle zajmował pan Kurdesz, znaczne było na ławie, i poręcz jej nawet wyslizgała się od opierania; a nikt z domowych przez uszanowanie, choć pana nie było, nie śmiał zasiąść w jego uprzywilejowanym kątku.

Rotmistrz siedział w ganku na swój ławce i rozprawiał z panną Maryanną, która ręce założywszy na piersi, oparta o uszak, przypominała mu stare czasy, marzyła z nim razem o lepszej przyszłości; gdy pan Sylwan ukazał się we wrotach na koniu, a Rozbój rzucił się, ujadając silnie, przeciwko niezwyklemu gościowi. Zrazu Kurdesz nie poznał przybywającego, ale panna Maryanna, której się śniło w nocy, że kładła wianek rozmarynowy na czoło swój Frani, domyśliła się odrazu, i krzyknęła zatykając sobie usta:

— Święty Boże! dalibóg to on!

— Co? kto?—zapytał Kurdesz.

— A hrabiątko!

To powiedziawszy, nie czekając dłużej, kopnęła, trzaskając drzwiami za sobą, i wpadła do Frania zdyszana, ledwie słowo przemówić mogąc, przyciśniona wzruszeniem i tak zmieszona, że Frania spojrzawszy na nią, w pierwszój chwili wielkiego jakiego nieszczęścia się dorozumiewała, i zerwała się z krzesła równemi nogami.

— Co to się stało panno Maryanno?

— Co! on! dalibóg on! dalibóg on! jak Boga kocham! słowo daję, on! on!—krzyczała Brzozosia w niepołamowanym zapale.

— Kto on? co?—spytała Frania.

— Ale on! Franiu! on! jak Boga kocham! gniady, na szaraczkowym koniu, chce mówić szaraczkowy surducik, koń gniady, na czole strzałka, w ręku biczuk śliczny; poznałam go: bez ogona, w żółtych rękawiczkach.

— Koń w rękawiczkach!—parsknęła ze śmiechu dziewczyna, która się już domyślać poczęła o co chodziło.



— Czegoż-bo udajesz, że mnie nie rozumiesz? On! hrabiątko twoje, przyjechał, jest, ubierz się ślicznie. Przyjechał! a widzisz, na mojem! widzicie! nie mówiłam? I ty i ojciec nic nie rozumiecie świata i ludzi! Ja się na tych rzeczach znam dobrze. Już kiedy co powiem, to niedar-  
mo: ot taki przyjechał.

Wtém—Brzozosiu! panno Maryanno!—rozle-  
gło się z ganku, i Brzozosia choć w pretensyach trochę, z wielkiej niecierpliwości nie popra-  
wiwszy nawet czépeczka i włosów nieco roz-  
sypanych, rzuciła Franię, a pobiegła do Kur-  
desza.

Po chwilce wróciła, ale powolnym krokiem, zamyślona i widocznie gniewna; weszła do po-  
koju swój panienki, i skrzywiona przemówiła  
ruszając ramionami:

— Niechże sobie robi co chce, ja się już nie  
mieszam do niczego.

— Cóżto znów stało się panno Maryanno?

— A cóż ma być? byłam tego pewną, że twój  
ojciec znalazł jakieś cudactwo! Chce robić po  
swojemu, i powiedział mi na ucho, że panicz  
przyjechał tylko klacz tam jakąś kupować, więc

żebyś ty nie wychodziła do niego do pokoju, tylko ja sama. Widziałże kto tak kawalera przyjmować? wszystko popsuje. Ale co mnie do tego! Róbcie sobie co chcecie, ja ręce umywanam. Pan rotmistrz jak sobie pościele, tak się wyśpi.

I obrażona, zniechęcona, poczęła się Brzozowska przechadzać po pokoiku, poprawując powoli ubioru i włosów, zaglądając do zwierciadła wiszącego na ścianie.

Frania, trochę niechętnie, ale z pokorą dziecięcia, które tak kocha ojca, że mu wierzy ślepo, przyjęła rozkaz rotmistrza; zaczęła się była ubierać, ale usłyszawszy od Brzozowskiej o dyspozycyi, usiadła w krzesło, i choć trochę runiana, trochę roztargniona, choć przysłuchując się rozmowie, która ją z ganku dochodziła, robiła dalej zaczęta albę do kościoła. Brzozowska wciąż chodziła i gdęrała:

— Starzy nie powinni by się w to wdawać, a nam to zostawić. Kto to widział pannę ukrywać! Śliczna rachuba! Ale co mnie do tego? To pewna, że rotmistrzowi zmyję głowę jak

hrabiątko pojedzie. Ale niech sobie robi co chce, niech robi! Zobaczymy jak pokieruje?

Frania milczała, nie mieszając się do rozmowy panny Brzozowskiej samą z sobą; panna Maryanna gdérała:

— Ani się mnie spytał! ani poradził! szach! mach! ni z tego, ni z owego, niech nie wychodzi! Dlaczego? że nibyto dla konia przyjechał? No to cóż? Zwyczajnie; nie powieć odrazu: przybyłem starać się o względy panny Franciszki! Ale mnie nic do tego: niech sobie robi jak mu się zamarzy.

— Moja Brzozosiu kochana—przerwała Frania po chwili — ojciec musiał sobie pomyśleć dlaczego to robi.

— At! zamarzyło mu się! Panicz zwyczajnie nie wiedział co powiedzieć, i udał, że mu się siwka podobała, że chce się potargować. Ktoto tego nie rozumieć! stare figle! Ojciec zaraz bierze to za dobrą monetę, i powiada mi: kiedy przyjechał do siwój, to mu tylko siwą pokaże. Gadajże z nim! widziało kto co podobnego?!

— A to może i dobrze—odpowiedziała Fran-  
nia—jeśli nie do nas, tylko do siwki przyjechał,  
po cóż ja mam wychodzić?

— Ale bo to nawet niegrzecznie! Kto to wi-  
dział, jak chłopską narzeczoną w komorze cór-  
kę chować!

— Ojciec tak chciał, cóż robić Brzozosiu!  
Jużciż nie taję, żebym wolała wyjść i pogadać,  
i pośmiać się; ale z rotmistrzem wiesz, po żoł-  
niersku: trzeba słuchać co powie.

— Ej! to nam kochanie! ale nie tobie! ty  
go jak zechcesz, na włosku prowadzisz. Ale  
rób sobie co myślisz, ja cię nie chcę buntować;  
choć to pewna, że nieby ci nie powiedział, choć-  
byś i wyszła.

— Ale mnie także, moja Brzozosiu, nie wy-  
pada się spieszyć bardzo przeciwko niemu, kie-  
dy nie do nas, tylko do siwki przyjechał.

— O! jużto wy z ojcem oboje ciągniecie coś  
bardzo mądrze! Ciągnijcie sobie jak chcecie; ja  
się więcéj do niczego nie mieszam. Pójdę tylko,  
zadysponuję i wyreguluję podwieczorek, i ręce  
umywan...

■ Jakoż gdérając jeszcze, wyszła Brzozosia.

W ganku siedział stary Kurdesz, doskonale udając, że się ani domyśla, poco pan hrabia przyjechał; klacz stała wyprowadzona, a rozmowa toczyła się o koniach. Rotmistrz niesłuchanie pokorny, grzeczny, przyjinował JW. grafiatko, nie wspominając nic o sobie, ani o córce nie mówiąc, tylko o koniu. Wynosił wysoce zalety rodu siwki, jój matki, babki, ojca i dziada. jój sióstr i braci, i cenę siwki podnosił do wysokości bajecznej.

Sylwan w bardzo fałszywém położeniu kręcił się jak w ukropie: co chwila spoglądał z ukosa, czy gdzie Frani nie zobaczy, a zapytać się o nią nie śmiał.

Siwka stała przed gankiem, a stary woźnica z ogromnem po uszy węsaniu, co niegdyś służył szeregowcem w konfederacyi razem z panem swoim, umiejętnie ją pokazywał, przebiegał z nią, puszczał, wstrzymywał, głowę jój podnosił i niesłuchanie zachwalał. Rotmistrz poczynawszy naprzód od siwki, nie dał zejść rozmowie z koni, i coraz nowe o nich dykteryjki wyciągając jak z rękawa, coraz nowe czyniąc postrzeżenia, przywodząc przepisy, chwycił

swojego gościa, by mu nie dać nic powiedzieć, coby w inny tor rozmowę sprowadzić mogło.

Brzozosia kilka razy przeszła przez się, z ukosa rzucając okiem na Sylwana: a widząc go posępnym i znużonym, ruszała ramionami i szeptała do siebie:

— Ani chybi, że go zraża. Ale jak sobie chcecie: ja ręce unywan! do niczego się nie mieszam! Właśnie jemu konie w głowie! Biłne chłopczysko!

— A zatém—kończył rotmistrz—gdzie pan grał każesz klacz prowadzić: czy do Denderowa, czy do stajni?

— Jakto? pięćdziesiąt, ani grosza mniej, to ostatnia cena!—spytał dość obojętnie Sylwan.

— Powiem panu grafowi, mosanie — przerwał Kurdesz—że za jój babkę, kula w kulę taką, wziąłem od majora pruskiego, co jeździł za remontą, ośmdziesiąt dukatów i jeszcze dodatku spodnie i kaftanik z jeleniej skóry, który mi się bardzo u niego spodobał. To prawda, że mi się ten figiel na nie nie zdał, bo Niemiec choć się wydawał człowiek korpulant na oko, cienki

był jak komar, i ani w jego pluderki, ani w jego piszczalkowate rękawki wleźć nie potrafiłem. Matka siwki służyła mi lat ośmnaście, aż do tego przypadku....

— Tego, co mi pan opowiadał — przerwał Sylwan.

— Alboż opowiadałem?

— Tak jest. Napoili ją zgrzaną.

— Otóżto: ten gbur Hryć, istny Hryć panie, był przyczyną jej śmierci; nigdy na niego pa-trzyć nie mogę bez obrzydzenia, jak na zbójcę. Jeszczebym ją miał.

— A czterdzieści dukatów?

— A! JW. grafie, dla niegobym to uczynił pewnie, ale jeszcze żadna klacz z tego rodu za te pieniądze nie poszła: miałbym to sobie za grzech, moje ulubioną oddać taniej od innich pokąźnych sióstr i braci. Proszę spytać pana Powąły, czy mi za siwą klacz w siedniu latach, z białą nogą nawet, co już jest choć u siwej, feller, nie zapłacił pięćdziesiąt dwa dukaty na Jurya w Ciunapowie na jarmarku.

— Przyznam się panu, że to mi się wydaje za drogo.



— No! a zatém do stajni!

— Pozwolisz mi pan namyslić się dni kilka i rozkalkulować.

— Kilka dni! czemuż nie! i owszem. A teraz, inoże co przekąsiny: proszę do chaty.

I z ceremonią wiodąc naprzód gościa, wszedł rotmistrz do pierwszej izby, gdzie tylko Brzozosię z kluczarni od szafy w kwaśnym humorze i stół już nakryty zastali. Sylwan, który się spodziewał Frani, do reszty się zachmurzył nie postrzegłszy jój. Szlachciec był w wysmienitym humorze, grzeczny aż do przesady, gadający do utrudzenia i zapraszający do jadała po staroświecku, to jest natrętnie.

Podwieczorek był zastawiony wielce prze-myślnie. Brzozosia pojęła, że drugi raz dać tych samych potraw nie wypadało: zamiast kureząt, wystąpiła dzikimi kaczkami na bu-raczkach, i zamiast pierogów ze śmietaną dała kartofelki posypane zieloną cebulką i oblane masłem. Oprócz tego, na staroświeckiej porce-lanie zbieranój dróżyńy, były różne przysnacz-ki, począwszy od młodej kukurydzy, aż do sta-rego piernika, a flaszka opleśniałego węgryzna.



towarzyszyła flaszcze wódki starki złocistej jak oliwa i butlowi marcowego piwa.

Sylwan jeść i pić nie raczył: zdało mu się ze złego humoru nie kosztować nawet; prosił tylko o szklankę mleka z razowym chlebem, podziękował za resztę. Brzozosia szepnęła kiwając głową: — Nawet jeść nie chce! — Rotmistrz bynajmniej temu nie zmieszany, o mleku i chlebie powiedział historyjkę z czasów konfederacyi Barskiej. Znienacka spytał Sylwan Brzozosie o Franję: ta nie wiedziała co mu odpowiedzieć, i zabierała się znaczącym sposobem ruszyć ramionami, gdy szlachcic uprzedził ją, żywo się posunąwszy:

— Bardzo JW. panu dziękuję za pamięć. U siebie, u siebie, zajęta... Zwyczajnie wieśniaczka, zawsze za robotą, nie to, to owo....

Sylwan na tak wyrazistą odpowiedź już więcej nie pytał o nic; wkrótce pożegnał gospodarza zachmurzony, i zabrał się do odjazdu zły okrutnie na siebie, że pojechał; na rotmistrza, że go tak przyjął srocho.

Jeszcze w ganku przypomniał mu stary, że do dwóch dni czekać będzie odpowiedzi, i na-

schylawszy się niemal do kolan, nakłaniawszy w progu, za progiem, na wschodku, na ścieżce, w bramie, nachwaliwszy konia, odprawił hra-  
biątko.

Frania z okna tylko wyjrzała za odjeżdżającą: z jakim uczuciem, nie wiem? A gdy zniknął za bramą, wybiegła zarumieniona do ojca, który na starą dłoń spartłszy czoło, zadumany siedział na swoim miejscu.

Poznał ojciec, że córce nie było po myśli jego rozporządzenie, i domyślił się jej żalu, nim posłyszał wynówki.

— Ojciec, cóżeś to mnie tak jak zakonnicę zamknął?

— Usiądźno moje dziecko i posłuchaj—odparł szlachcic spokojnie.

Brzozowska za drzwiami ukryta słuchała.

— Spodziewam się serce moje—mówił rotmistrz — że nie możesz wątpić o przywiązaniu ojca do ciebie, o tém, że ci najlepiej życzę. Otóż com robił i co zrobię, to pewnie dla dobra twojego, choć czasem może ci to być z przykrością. Wybierz to sobie z głowy, żeby taki gagacik chciał się z tobą żenić: rozniłować się czasu

nie miał i nie mógł, chce mu się tylko na wiatr poumizgać, ciebie pobałamucić, i zdaje mu się, że pod słomianą strzechą wszystko wolno.... Ale póki ja żyw, mosanie, na to nie pozwolę. Myślał, że mnie tak wyprowadzi w pole. starego wróbla na plewę; przyjechał konia kupować, a tu komu innemu chciało się zajrzeć w ząbki. Lepiej się z sobą moje serce podrożyć: pozna, żeśmy niełada obdartusy, którym pańska łaska lepiej smakuje od własnego spokoju i ucziwój sławy; inaczéj będzie musiał śpiewać, jeśli co seryo myśli. A ty serce moje, poco się nim masz próżno zajmować, albo sobie głowę nabijać Bóg wié czém, kiedy tu jeszcze skóra po lesie chodzi, i podobno na wierzbie gruszki.

— Jak się wam podoba ojcz—odpowiedziała Frania—jak wola wasza: ale mnie się zdaje, że nie byłoby nic zaszkodziło, choćym była i wyszła. Byłabym potrafiła może tak go przyjąć, jakby tylko do klaczki nie do mnie przyjechał.

— No, to drugi raz, jeśli panicz przyjedzie, wyjdiesz sobie, ale teraz to i lepiej, że się tak

stało, choć wiem, że Brzozosia, mosanie, dobrze mnie tam musi oporządzać.

Brzozowska, *deus ex machina*, z furią wyleciała zza drzwi ręką machając.

— A coto, to jak Boga kocham prawda, nie ma co mówić panie rotmistrzu. Pan téż, Bóg wie co wyrabiasz z wielkiego rozumu, i lichu wie na co się to przyda. Coto przeciwko sądzonemu człowiekowi się borukać?

— Ale któż ci moja panno Maryanno powiedział, że tak sądzono?

— Kto powiedział to powiedział, ale że tak jest, przysięgnę.

— Cóż ty poradzisz na to, że ja w kabałę nie wierzę?

— Ja téż mówię, powiadam, panie rotmistrzu, róbcie sobie co chcecie: ręce umyвам, do niczego się nie mieszam, o niczém wiedzieć nie chcę. Ale że inaczej, to inaczejby to było, gdybym ja tém pokierowała!

— O! inaczej! ani słowa—rzekł rotmistrz.

Francia zapérzonój Brzozosi rzuciła się pieszcząc na szyję.

— Moja Brzozosiu — odezwiała się cicho miluchnym swym głosem — nie gniewaj się tak bardzo: jeśli sądzono jak powiadasz, wszak to nie minie.

— Ale pocóż daremnie przeszkadzać?

— Nie przeszkadzam — rzekł Kurdesz — tylko po inojemu, po staremu, ostrożnie, ostrożnie. A na zgodę, panno ciwuuówno tabaczki.

Znał rotmistrz słabość do swój tabaki panny Brzozowskiej i upodobanie jój w tytule: jakoż mimo gniewu, wyciągnęła rękę i wzięła szczyptę dobrą, powtarzając jeszcze zciela (byłto daleki grom po burzy):

— Ja się do niczego nie mieszam, róbcie sobie co chcecie.

Powrót Sylwana do domu był dziwnie smutny i śmieszny: gniew jego bezsilny, z którym ukrywać się musiał, zniecierpliwienie, rozdrażnienie, dochodziły do najwyższego stopnia. Szczęściem nikt w domu nie wiedział dokąd jeździł i z czém powrócił.

Zaledwie przybył, służący, za służącym wpadać poczęli do niego, pilno wzywając go, ażeby natychmiast szedł do matki.

Pospieszył Sylwan, pomiarkowawszy, że to wezwanie tak niezwyczajnie pilne, nie musiało być bez ważnej przyczyny; kto inny byłby się może zatrwożył, on się tylko zadziwił trochę.

Znalazł hrabinę rozciągnioną na kanapie z listem w ręku otwartym, pomieszana, z oczyma dziwnie jaśniejącemi, z twarzą zmienioną, przerażoną, wywróconą jakimś świeżem wrażeniem. Załedwie wszedł, kazała mu wyjrzyć za drzwi czy ich kto nie słucha, i wyciągnęła ku niemu milcząc, list, który trzymała. Sylwan poznał charakter ojca.

Hrabia donosił, że pomimo największych starań jego, klucz Słomnicki dany żydowi jako kaucya, został za jego bankructwo przez skarł skoufiskowany: sam o tem uwiadomił żonę, żeby ją ta nowina z boku nadełhodząc zbytecznie nie przeraziła i dość obojętnie cały ten interes traktując. Donosił jednak, że ta wielka strata pociągnąć musi za sobą pogorszenie reszty jego interesów, że potrzeba było rezygnacyi, cierpliwości, wytrwałości i t. p.

Hrabina niespodziewająca się nigdy nie podobnego, której całą pociechą życia był zbytek,

wytworność i zalotność, nie pojmowała jak znieść potrafi tak straszliwą zmianę położenia swego i grożącą jej ruinę. Dochodziła prawie do rozpacz: Sylwan stał w początku osłupiały i zdumiony.

— Ale moja mamó — rzekł po chwili, przychodząc do siebie — wszakże nam pozostaje Denderów, klucz Samodoły i coś jeszcze w Galicyi.

— Ty nie wiesz — porywając się przerwała hrabina — ty nic nie wiesz, nie znasz interesów naszych. Ojciec twój w swych spekulacyach i obrotach nikomu się nie zwierzał, nikogo nie radził, nikomu nie mówił całej prawdy. Ruina nasza, ruina zupełna wisi nad nami...

— Ale to być nie może — odparł Sylwan żywo — ktoś taki jak my zrujnować się nie może; zostanie nam zawsze....

— Zostaną nam długi, hańba i nędza! — zawołała szybko hrabina tuląc twarz w dłonie — przywyknienie do zbytku z ubóstwem.

— Kochana mamó — wrzucił Sylwan — to rozpacz i przedwczesna i zbyteczna: widzisz rzeczy z dziwnej i fałszywej strony. Cóż dla nas strata kilkukroć stu tysięcy! głupstwo!



— Wiészże co mamy?

— Kilkanaście wsi, imię ładne i kredyt ogromny, *on ne se ruine pas avec cela*.

Hrabina ruszyła ramionami.

— Wierz temu jeśli chcesz, ufaj jeśli ci się podoba: zobaczysz! zobaczysz!— I poczęła płakać pocichu.

Syn przechadzał się po pokoju obojętny na pozór, ale coraz bardziej niespokojny. Wieść ta, jak trunek wypity, rozbierała go powoli.

— Mamyż jaki ratunek?— spytał.

— Cóż ja wiem? — odparła matka — co ja wiem! nie nie wiem! Ten człowiek wiecznie wszystko krył przedemną: ani co mamy, ani co nam zostanie, nie rozumiem; czuję tylko wielkie wiszące nad nami nieszczęście.

— Jeśli mama nic nie wie, a ojciec pisze, byśmy byli spokojni, zdaje mi się, że na niego spuścić się można. W ostatnim razie posagowe dobra twoje są nie naruszone....

— Tak, to ostatnia nadzieja, kąt i przytułek—zawołała hrabina—ale pomiarkuj! Rzucić Denderów, wyrzec się życia, do któregośmy przywykli, zakopać się na wsi i być wystawio-



nym na wstyd, na upokorzenie upadku, o! ja tego nie zniosę.

— Zapewne, że to przykro, ale znieść będziemy musieli. Nie widzę nawet potrzeby opuszczać Denderów. Zabiorą tamten klucz, cóż robić!

— Ale na Denderowie są długi ogromne!

— To być nie może!

— Spytaj Smolińskiego. Jeden szlachcic, nie wiem kto tam taki, podobno Kurdesz z Wulki, ma sam dwakroć sto tysięcy.

— Jakto! ten szlachciura! dwakroć!

— A wielu, wielu innych mniejsze sumki.

Sylwan się zamyslił, w głowie mu się zmąciło. w duchu rzekł tylko sobie:

— No! to się będę musiał bogato ożenić!

— Jeśli mama chce — odczwał się głośno — dowiemy się czegoś więcej: pošlijmy po Smolińskiego.

— Czy przyjsć zechce?

Sylwan pogardliwie ruszył ramionami.

— To go każe za uszy przyprowadzić — zawołał dumnie. — Zadzwoń żywo. — Prosić tu pana Smolińskiego zaraz, zaraz.

W przerywanój rozmowie wyczekali dobre pół godziny, nim rządcą-plenipotent, w tój chwili widać mocno zajęty, nadszedł nareszcie. Z miną prawie zuchwałą, roztargniony i bez tych upokorzonych ukłonów, które się zwykle jeszcze za progiem rozpoczynały, stawił się z widoczną niechęcią i lekceważeniem.

— Mój panie—rzekł do niego Sylwan z góry—oto jest list ojca: zabierają nam klucz Słomnicki; chcielibyśmy wiedzieć ja i moja matka, jaki jest stan interesów naszych: nikt o nich lepiej nie może wiedzieć od pana.

Smoliński głową pokiwał, zażył tabaki i odrzekł spokojnie:

— A cóż, nie ma co tać: interesa złe, bardzo złe.

Hrabina lekko wykrzyknęła, Sylwan tylko brwi namarszczył.

— Jakżeto być może?—spytał—przy takim majątku, takich szczęśliwych jak powiadano spekulacyach.

— Długobyto o tém mówić—odparł rządcą — majątek prawda spory, ale i długów mało.

— Ale przecież w najgorszym razie, Denderów zostać nam inoże?

— Jeśli się nikt o swoje dopominać nie będzie.

— Możeżto być, byśmy tak źle stali?

— Tak jest, tu nie ma co kłamać: w Denderowie nawet ciężko się będzie ostać. Jeśli klucz Słoinnicki zabiorą, ruszą się wszyscy wierzyciele hurmem; a jak poczną szturmować, a trzeba będzie ich płacić, nie wystarczy dla nich tego co jest.

— Ależ klucz Samodoły? inojej matki.

— I na nim jest połowa długu bankowego, a od drugiey połowy płaci się procent hrabinie Czerecinowój.

Głuche milczenie nastąpiło po tych słowach. wyrzeczonych ze zbytnią otwartością i bez żadnej ogródki, nago malujących fatalne położenie Denderów.

— Wreszcie co tu mam państwu w bawełnę obwijać—rzekł Sinoliński—koło interesów źle bardzo: kredyt nadwątlony, bo go nadużyto, i Salomona rozum tu nie poradzi. Wielka bieda.

— Prawdażto — dodał Sylwan — że jeden naprzykład jakiś tam pan Kurdesz, ma u nas dwakroć?

— Jakże nie? Kilka dni temu jakem mu procent zaległy wypłacał.

— Dwakroć! — powtórzył Sylwan — szlachcic, taka summa! do czego to jemu!

Naten naiwny wykrzyk, uśmiechnął się Smoliński nieznacznie.

— Okrągło dwakroć; rotmistrzowi Powale należy się trzydzieści, pięćdziesiąt Pazurkiewiczom; inni mają po 20, po 30, po 10, po 15; a tych co po trzy, po cztery, po pięć tysięcy, i zliczyć trudno.

— Masz pan bilans interesów naszych? — spytał Sylwan.

— W głowie tylko panie hrabio, i ręczę, że się o pięćset złotych nie pomylę; zredukowawszy wszystko, licząc remanenta, zostanie około połowy Denderowa.

Sylwan pochwycił się za głowę, hrabina upadła na kanapę drżąc; Smoliński widząc się niepotrzebnym, a że mu było pilno, bo się już na wszelki wypadek począł pakować i wy-

bierać zawczasu, wysunął się pocichu bez wszelkich ceremonij.

Dobre pół-godziny trwało milczenie, przerywane tylko paroxyzmem spazmów hrabiny i pasowaniem się z sobą Sylwana, który zaglądał ze wszystkich stron w przyszłość, a zewsząd widział ją czarną i nieprzebytą pustynią. Pięniądź-słońce nigdzie jój nie oświecał.

Pracować nie umiał całkiem, do niczego nie był usposobiony: jeden zawód wojskowy otwarty był przed nim; ale wygodnisiowi przywykłemu do próżnowania, nienawykłemu do uległości, samowolnemu i dumnemu, ani podobna było pomyśleć o wojsku.

Cesia weszła na tę scenę niespodzianie, i widząc brata wzruszonym i chmurnym, a matkę we łzach i boleści, nie mogła pojąć co się im stało tak nagle. Nikt do niej nie przemówił w początku; ledwie spytany Sylwan odpowiedział krótko i niegrzecznie:

— To do ciebie nie należy!

— Ale to do nas wszystkich należy zarówno! — przerwała powstając hrabina z jękiem

bolesnym.—Jesteśmy zrujnowani! cała nadzieja w mojej matce...

— Cóżto się stało? — spytała Cesia, spiesząc do matki—cożto się stało?

— Ojciec pisze, że nam zabrano klucz Słomnicki; Denderów odbiorą wierzyciele: nie zostaje nam prawie nic...

Cesia stanęła zamyślona, usiłując pojąć groźbę tych słów, których w początku dobrze nie zrozumiała, ale prędko podniosła głowę. Młodość dziewczęcia ma więcćj wrót nadziei: łza jej nawet nie pociekła; niespodziane nieszczęście jeszcze nie rozebrane, nagłe, niepojęte, jak trucizna szybko połkniona, nie miała czasu zrobić skutku.

Sylwan się powoli opamiętywał.

— Kochana mamo! — rzekł — najpiérwój pamiętajmy na godność naszą: *il faut faire bonne mine à mauvais jeu!* niech się ludzie z nas nie śmieją, niech nie widzą że cierpimy. Nie zmieniamy trybu życia naszego, śmiało idźmy dalej, a mam nadzieję, że z tego wybrniemy. Łzy do niczego nie służą.

To mówiąc wyszedł.

Ale pomimo dobrej rady, sam powlókł się bezsilny do swoich pokojów, przewracając w głowie wyrazy listu ojca, słowa Smolińskiego, rachuby, nadzieje. Nie mogąc podolać temu wszystkiemu, wiele wiary mając w ojcu, powiedział sobie w końcu:—Damy jakoś temu radę; tacy panowie jak my nie upadają. Od czegoż szlachta? Nie możemy stracić kredytu, jeśli nie stracim śmiałości. Dopóki będziemy mieli odwagę brać, będą nam pożyczać. Jednym płacąc, od drugich biorąc, przetrwamy do ożenienia. A cóż łatwiejszego, jak mnie ożenić się bogato? Młodość, imię, wychowanie, twarz, mam wszystko... wróci się nam fortuna!

To mówiąc rzucił się na kanapę, usiłując marny zniszczenia i ubóstwa odpędzić; zapalił cygaro, i począł z kolei myśleć: to o starym Kurdeszu, o którego dwóch krocach się dowiedział, to o sobie, to o ojcu, to o Frani, i w tych myślach znużony, zdrzéniał się nareszcie.

Tymczasem we dworze rychło plotki szybko rozlatywać się poczęły: szeptano o nieszczęściu jakimś, o ruinie, i wszyscy ludzie poczynali jak wśród pożaru, każdy myśleć o swoim

i o sobie. Taką jest biedna ludzka natura: niebezpieczeństwo najczęściej nie spaja, ale rozpręga. Hrabina myślała o swoim kluczu, Cesia o swéj młodości, Sylwan o ożenieniu, słudzy każdy o nowéj służbie, lub zapewnieniu sobie gdzie kątką. Smoliński zawczasu co lepszego pakował, wysyłał rzeczy, wywoził się i urządził tak, by go przyaresztować nie było można.

Ci, co jeszcze nie wiedzieli, już się czegoś domyślając, dowiadując, szepcąc, szukając, niespokojni biegali i mnożyli nieporządek wszędzie. Dwór cały przedstawiał obraz nieładu, a niebytność hrabiego, którego skinienia wszyscy słuchać byli przywykli, powiększała jeszcze ten stan rozprzężenia.

Po sąsiedztwie już wieść straszna poczęła się rozchodzić, o zabranii na skarb za kaucyą klucza Słomnickiego. Pierwsi dowiedzieli się o tém żydzi w Żytkowie, gdzie hrabia próżno pracował nad unieważnieniem załogu. Pan Pęczkowski w drodze do miasteczka spotkał kupca, który mu jak najspieszniej objawił o ruinie hrabiego. Biedny szlachcic porwał się za głowę, łzy potoczyły mu się z oczu, i jak sza-



lony poleciał na radę do sąsiadów i znajomych. Widzieć owoc pracy całego życia pochłonięty w jednej chwili i tak marnie, nie dziw, że rozpacz porywa! Biedny Pęczkowski z kilkorgiem dzieci, z fraszobliwem w dodatku usposobieniem do stękania, bo zwykł był lękać się i kłopotać nawet gdy nie było czego, odchodził prawie od przytomności, nie mogąc sobie darować, że jeszcze dziesięć tysięcy dopożyczył, o bożym świecie nie wiedząc, gdy już sekwestr rozciągnano. Był właśnie niedaleko od Wulki, i pospieszył do rotmistrza z tą przerażającą wiadomością, aby się wspólnie naradzić nad tem, co czynić wypadało: wiedział bowiem, że rotmistrz daleko znaczniejszą suminę miał u hrabiego.

Kurdesz swoim zwyczajem był w podwórku i rozprawiał z gumienym, gdy Pęczkowski nadjechał, i ledwie zsiadłszy z wózka, pochwycił go za rękę, wprowadził do pierwszej izby, a obejrzawszy się dokoła, z wyrazem rozpacz, ze łzami w głosie, z boleścią zawołał:

— Rotmistrzu! wiesz co się dzieje? wiesz okropną nowinę?!

— Cóżto takiego?... Austriacy!...

— Zginęliśmy z kretesem!

— Gdzie? co? jak? — spytał spokojnie stary.—Cóżto się stało kochany panie? uspokójno się! nie mieszaj! O czém chcesz mówić?

— Wiész, że ten szatan Dendera bankrutuje! Już mu za kaucyą zajęto klucz Słomnicki, a reszta majątku ledwie na wierzycieli wystarczy!

— Co-bo pleciesz?

— Ale tak jest! Abramko jedzie wprost z Żytkowa: sekwestr na Słomniki niezawodny; wyrabiać się chciał kręciel, ale ze skarbem nie mógł. Jeszcze bestya u mnie dziesięć tysięcy wyjeżdżając wysmoktał! Niechże łzy moje i łzy moich dzieci, i praca moja spadnie na jego duszę!

— Uspokój się panie Kasprze!—kręcąc wąsa rzekł pan rotmistrz.—Siadaj, pogadajmy porządnie. Tu nie klnąć trzeba, ale radzić. Nie ma się tak dalece czego lękać. Choćby mu klucz Słomnicki zabrali, ma czém odpowiedzieć z Denderowa: ma tam coś i po żonie.

— O ba! żona się nie pisała do skryptów!

— To mniejsza.

— Ale pan masz coś grubo u niego?

— Dwakroć, kochany panie Kasprze!

Pęczkowski schwycił się za głowę, pochylił do ziemi i krzyknął. Rotmistrz choć zbladł i znieśczał się niespodzianą nowiną, ale nie wiedać było, żeby na niej uczuł zbyt wiele. Zdawał się spokojniejszym daleko od Pęczkowskiego, przeszedł się po izbie, zamyslił i dodał:

— A zresztą wola Boża! jest jaki taki grosz: dla mnie i dla Franki wystarczy. Przynajmniej kto się o nią starać będzie, pomyślę, że ją szczerze kocha, nie na grosz poluje. Mam przecie oblig i ewikę dobrą.

— Co pomoże z takim mataczem?

— Toć prawda! i dlatego sobie mówię z góry: wola Boża! wola Boża! choć za serce dobrze ścisnęło, widzieć tak całego życia pracę, z pozwoleniem, w błocie. Ale to przepaść całkowicie nie może, tylko się zmitręży. Wasze masz mosanie oblig dobry?

— Ledwieć wykołatał nowy na prostym papierze! Ale to moja dola zawsze taka! Licho nadawało, gdzieś zawieruszyłem dawniejszy skrypt: miałem kłopotu dosyć, wodzili mnie, durzyli, i Smoliński, nim mi odnowił oblig, kazał się

dobrze posinarować, a hrabiemu dopożyczyć 10,000. Widzicie, com wprzód stał na liście z r. 1829, i datę długu miałem dobrą, to teraz będę ostatni, bo mój skrypt nowy, świeżuteński.

— E! kochany sąsiedzie!—odpowiedział stary Kurdesz z rezygnacją szlacheica dawnych czasów, klepiąc go po ramieniu.—Oto widzisz, więcejbyś od ciebie stracił, a zdaje się na wolę Bożą: niepotrzeba się strachać, bądźmy dobrej myśli. Dendery diabli nie wezmą, mosanie, wygrzebie się, popłaci, unikając wstydu; zresztą, ma z czego odpowiedzieć, choćby sam poszedł z torbami. Tymczasem nie rozgadujmy licha, nie straszyny ludzi: mnie o to chodzi, żeby mi się moja Franka o biédzie nie dowiedziała, bo by nieboraczka płakała, a tu nie ma czego. No! a gdybyśmy i stracili, chleba kawałek zostanie. Pan Bóg dał, Pan Bóg wziął — inie Jego błogosławione!

— Dobrze to wam mówić — gorąco zawołał Pęczkowski — co macie jedno dziecko, wioskę, i jeszcze kapitalik może; ale mnie! ale mnie!—dodał podnosząc się i unosząc.—O! ci panowie! ci panowie! gdzie u nich serce! gdzie sumienie!

A! niech ich piekło pochłonie! bodajbym był ich nigdy nie znał, z ich szóstym procentem! Bierze z nich każdy, nie pyta jak odda, a potem wykręci się sianem; a że szlachciec bez chleba z torbami pójdzie, co jemu do tego, byle on jeździł kareta i miał się czém zasłonić: czy kondyktem, czy fartuszkim jejmości, czy jakim tam diabłem. Ale ze mną nie pójdzie tak łatwo! Będę krzyczał, będę łajał, będę ich w kościele bodaj pozywał przed ludźmi o moje krwawicę; pójdę z prośbą na tych szelmów bodaj do samego inperatora, i uzyskam sprawiedliwość!

Pęczkowski poddawał się prawdziwój rozpacz: chodził jak szalony, rozbijając się o stoły, tłukąc o piec, o komin, wybladły, niepodobny do siebie, przestraszając swém obłąkaniem. Stary rotinistrz, ledwie cokolwiek poruszony, zdawał się spokojnym widzem téj sceny; wziął nareszcie pana Pęczkowskiego za obie ręce, i posadził gwałtem prawie na kanapie.

— Mój kochany sąsiedzie—rzekł—nie frasuj się tak; ludzie mnie mają za wielkiego prostaka, za starego rębacza, ale ja trochę i prawo

rozumieć. U nas-bo mosanie, nie było dawniej szlachcica, coby go nie polizał. Wszyscy mieli procesa, każdy cytował statut, nawet panie nasze: moja nieboszka matka, świeć jej Panie, w potrzebie bywało i korekturą pruską w oczy sypnąć umiała. Otóż powiem panu, mosanie, między nami, że nasza sprawa nie jest tak bardzo zła. Denderowa, żeby jak, wystarczy; ja mam dwakroć i jestem najważniejszym wierzy-  
cielem: przy mnie trzymając się, waćpan nie stracisz ani szeląga, a ja waści, mosanie, nie opuszczę...

Pęczkowski o mało nie rzucił się do nóg staremu, który go podchwycił.

— Dlaboga! co waćpan, mosanie, robisz?— zawołał. — Jestże za co dziękować? Ręka rękę myje, noga nogę wspiera; porzuć te ceregiele: a dla konkokcyi tego diabelskiego strapienia, nie napilibyśmy się kieliszek stariej wódki? he?

Pęczkowski byłby wypił smoły. Przystał ochotnie na propozycyą rotmistrza, i dawszy się jakoś ukołysać, jał tylko z rozwiązanym językiem wysypywać wszystkie zdrady panów, którzy szlachtę porujnowali; wszystkie komissye,

exdywizye bezecne i likwidacye tych paniczów z mitrami, co biorą pieniądze sami, a plenipotentom za siebie obliczać się każą, i w pocie czoła zapracowany grosz obcinają na swoje fantazye, przegrawszy go w karty lub puściwszy na swawolę. I było czego słuchać, bo na naszym Wołyniu świeżych i martwych dość jest podobnych przykładów.

Późną nocą wyjechał Pęczkowski z Wulki, i nazajutrz miał zaraz do rotmistrza Powały, jako do interesanta, udać się; ale Powała już dniem wprzód o sekwestrze klucza Słomnickiego był zawiadomiony.

Rotmistrz, który niedawno z wojska powrócił, nie miał pojęcia interesów: hrabiego wyobrażał sobie, jak gmin, milionowym panem, hrabinę bóstwem i aniołem, do którego zbliżyć się pragnął; wtém nagle spadł z empyreum do otchłani na wieść przesadzoną jeszcze o stanie interesów hrabiego. W dodatku, mógł sobie sam przypisywać swą szkodę, gdyż nie proszony, nie dziękowany, pożyczył z dobrej woli 30,000 na świstek.



Wprawdzie w części był za to wynagrodzony niezmyśloném (sądził) przywiązaniem hrabiny, którego miał stanowcze dowody, tak dalece, że jeszcze nie śmiejąc się niemi chwalić, już jednak, gdy o nią była mowa, wzdychał bardzo znacząco. Pomimo to, trzydzieści tysięcy zapłacić za obojętność męzowską, zdawało mu się za drogo, a co gorzej, wyjść na dudka!! Boż to wszystko miało minę okrutnie śnieszoną! Westchnienia hrabiny, ślepotą i udana dobroduszość hrabiego, nie wynagradzały straty tak wielkiej. Rotmistrz ochłonawszy z gniewu i podziwienia, nagadawszy się do siebie i wypaliwszy ze sto fajek jedną po drugiej, zawołał wreszcie pocieszając się:

— He! zresztą niech mi się zdaje, żem przegrał! A to dług honorowy, na świstku, przecież przepaść nie może.

To powiedziawszy, położył się i począł świstać walca, ale świstanie często westchnieniem przerywał. I leżał tak pół dnia, gdy kozak z Denderowa przybył z bilecikiem.

Hrabina zapraszała na herbatę.



— Wszystko się wyjaśni—rzekł spoglądając w lustro—jakoś to będzie; w ostatku napłoszę go pojedynkiem, jeśli nie odda.

Tymczasem, jakto wszędzie bywa, a może u nas więcej niż wszędzie, niezmiernie przesażone i coraz olbrzymio rosnące wieści latały po reszcie sąsiedztwa. Bogaty u nas jest zaraz dziesięćkroć-milionowym, byle miał kilkanaście tysięcy rubli w zapasie; ledwie się komu noga powinie — bankrut odrazu, i nikt już nie pożycz grosza. Tak teraz było z hrabią: wczoraj milionowy i spekulant, nazajutrz był zrujnowany; mówiono, że zabrano mu klucz Słomnicki, że żona oddzieliła się ze swoim, że Denderów z przyległościami rozdierają wierzyciele, i że hrabia pójdzie z kijem i torbą. Byli i tacy, co się już wybierali na licytacją sprzętów i ruchomości do Denderowa, i zamysłali o kupnie przyległych im wiosek. Wypadek ten stał się przedmiotem wszystkich gawęd w sąsiedztwie. najdziwniejszych projektów i najdziwniejszych domysłów.

---

Najstaranniej, jak być może, przystroiwszy się, rotmistrz pojechał świeżuchną nejtyczanką do Denderowa. Wprawdzie hrabina, od czasu jak się dowiedział o złym stanie interesów hrabstwa, znacznie mu się wydawała starszą, jej zalotność nieco zwietrzała; ale niemniej tytuł, dowcip, wziętość, jakiej powszechnie używała w okolicy, zdobyć tę czyniły jeszcze niezmiernie pojętą. Więcej zapewne było w tém miłości własnej niż inniej; ale ileżto gwałtownych namiętności na nią się tylko opiera?

Aż miło było spojrzeć na wózek i zaprząg rotmistrza: wszystko jak z igły! Nejtyczanka nie była tą prostą bryczką, jakieto niegdyś pod

tém nazwaniem chodziły; ale czémś wytworném jak cacko, wylakierowaném, wyświeżoném, błyszczącym, śliczniutkiem, że zdaje się nie do użycia, ale do patrzenia ją zrobiono. Oparta na resorach, ze spuszczoną budką, z kolorowemi latarenkami, wachlarzami, dywanami, wybiciem sukienném i jedwabném, wyglądała na koczyk, i tyle co on kosztowała. Cała rzecz, że rotmistrzowi, jako kawalerowi i tężyznie, nie uchodziło jeździć koczykiem, a wolno było używać nejtyczanki. Cztery szpaki jabłkowite, rzekłbyś, rodzeni bracia, choć na różnych kupione jarmarkach, rwały się z krakowskich chomątów z biało-czerwoncami płatami. Z kozła powoził fornal, przerobiony na krakowiaka sukmaną i czapeczką. W uprzęży, w wózku i koniach widać było dawnego wojskowego, tak to wszystko ślicznie utrzymane i ze znajomością rzeczy zdawało się dobrane. Chłopaczek z kiepska po węgiersku wyczupurzony siedział na koźle przy woźnicy, wyprostowany jak pod miarą.

- Nim się rotmistrz wybrał, nim dojechał, nim groblę w Denderowie przebył, szarym już mro-

kiem stanął pod karczmą, gdzie dopiero wdziawszy wonny frak i poprawiwszy ostatecznie włosy, powolnie ku dworowi znicierzał. Droga wiodła ponad samym ogrodem: furtka od niego wychodziła na gościniec; mijając ją, pan Powąła ujrzał hrabinę, która wyglądała i zdawała się go wzywać: wysiadł więc i odesławszy konie wołyńskimi zwyczajem do karczmy (bo tu nigdzie gościnnej stajni, choćby z próżnemi żłobami nie znajdziesz), powitał ją z dosyć smutną miną. Smutek rotmistrza niezmiernie różnie dawał się tłumaczyć.

Hrabina była sama; sama jedna przechadzała się po ogrodzie, właśnie jakby na niego czekała. Pan Powąła miał prawo wiele z tego być dumnym: bo któż na jego miejscu nie wziąłby to na rachunek rodzącego się przywiązania, zwłaszcza po pierwszych wyznaniach. A na tym właśnie stopniu był z hrabiną.

Ubrana czarno, wykwiśnięta, ale skromnie, i bardzo do twarzy, miała minkę zafrasowaną, także i smętną, może dlatego, że wiedziała jak jej było ze smutkiem ładnie, może, iż istotnie czuła w sobie niepokonany smutek. Uśmiechem

porozumienia powitała rotmistrza i podała mu rękę po angielsku, długo jęj nie cofając, w sposób nieziniernie znaczący. Dłonie ich splotły się uściskiem gorącym.

— Daruj mi pan to wezwanie, to prawdziwe szaleństwo—rzekła cicho i jakby osłabłym głosem—ale tak potrzebowałam pociechy, tak byłam smutna i cierpiąca... Czuje teraz, że zrobiła dzieciństwo...

— Także się to nazywa?

— A! jeśli nie gorzej jeszcze! Cóżby świat powiedział?

— Żem przyjechał na herbatę, że pania spotkał w ogrodzie... nie naturalniejszego.

— Chodźmy, chodźmy!...

Ale choć iść mieli, nie spieszyli wcale: rotmistrz był w rozczeniu i wielkiej razem niepewności jak sobie postąpić; hrabina zadunana: ruszyli krokiem, zastanowili się, milczeli.

— Wiész pan o naszych kłopotach—dodała pocichu hrabina ze spojrzeniem łzawém.

— Nie wiem. Coś słyszałem, ale mi nikt nie mógł dokładniej objaśnić, a bajek jest tyle.

— Zdaje się, że mąż mój wiele stracił przez nieostrożność.

— Więc to prawda?

— Niestety prawda! i strata niezbyt znaczna inne za sobą może pociągnąć.

Rotmistrz w tej chwili pomyślał o swoich trzydziestu tysiącach, zląkł się trochę, żeby i one pociągnięte nie były: ostygł nieco. Hrabina o nich nie wiedziała podobno, bo choć Sinołiński je wspomniał, nie uważała co mówił. Milczeli.

— Któż więc, może na czas będę musiała wyjechać z Denderowa. Ta myśl—dodała exaltując się teatralnie—myśl ta najwięcej mnie boli...

— Mógłżebym pochlebiać sobie—z żołnierska odczwał się rotmistrz nie takim conceptem.

Ona spojrzała tylko na pana Powagę, i westchnienie wymowne miało dokończyć czego nie dopowiedziały usta.

— Kto więc—szeptała—może się już nierychło zobaczymy.

Byłoto widoczne wezwanie do czułego pożegnania. Rotmistrz pocziwc człeczysko, choć kochać nie umiał inaczej, tylko po wojskowe-

mu, a pierwszy raz wdał się w romans tego rodzaju, uczuł się poruszonym w sposób wcale nowy: szukał słów na wypowiedzenie swego sentymentu i znaleźć ich nie mógł, a co najgorsza, że nie wiedział, czy się godziło być zachwalonym, czy należało być tylko rozczulonym, i jak skończyć, aby to było przyzwoicie i z dobrym tonem.

— Wierz mi pani — rzekł zdobywając się nareszcie — że ja na tém najwięcej cierpię; ale to być nie może, to być nie może, państwo nie odjedziecie.

— To będzie zależeć od *niego*, *on* stanowi o tém.—*On* jak zawsze był to mąż; bo panie zbyt są delikatne, by inaczéj jak tą peryfrazą męża wspomniały w obec kochanka.

Szli powolnie ku domowi, ale tak powolnie, tak noga za nogą! Hrabina była melancholijnie wzruszona i tak osłabiona uczuciem, że ciągle chwytając rękę rotmistrza, by się na niej zaprzeć; nareszcie na pierwszej ławce, raczéj upadła pod brzemieniem uczucia, niżeli usiadła. Ławkę tę otaczała dokoła cienista altana. Rotmistrz w coraz większej niepewności stanął

przed nią, nie wiedząc co począć z sobą w tém tak nowém dla siebie położeniu; nie mógł w żaden sposób zdecydować się jak postąpić, jak cieszyć i jak kochać. Romanse francuzkie i przypomnienia wojskowe latały mu po głowie, radząc coraz inaczej; między młotem a kowadłem, całkiem zdawał się na przeznaczenie i na losy.

— Prawdziwie, to szaleństwo!—szeptała pocichu hrabina — w moim wieku, przywiązanie tak występne, tak gwałtowne, a tak próżne i bez nadziei.

(Rotmistrz — wołał romans francuzki — pal strzelistą odpowiedź.)

— Zawsze jest nadzieja—rzekł posłuszny natęchnieniu rotmistrz, przyciskając do ust jęj rękę.

(To radziły wspomnienia.)

— Jaka nadzieja?—spytała nieostrożnie pani.  
(Romans podszeptwał:)

— Nicopisana, nieokreślona, lecz jest.

(Wspomnienia doradziły się przybliżyć i rękę uściskać wyraziście, z zapalem.)

— Dla występnych!—zawołała hrabina.

— Występek cały jest moim tylko....—mówił romans przez usta rotmistrza.



— Nie, nie! jato stokroć winniejszą jestem. Najlepszy z mężów... Zdradzam najlepszego z mężów: ale są przywiązania tak niepohamowane... a takim właśnie jest moje. Nic nie mając przed sobą prócz przepaści, lecę w przepaść; gdybyż choć podział uczucia był mi nagrodą.

Cała ta mowa była tak wyraźną, że kto inny na miejscu naiwnego rotmistrza, obalamuncowego świeżem czytaniem romansów starych, byłby nie potrzebował komentarza do niej; ale pan Powała sadził się na czystą sentymentalność i odciął się wykrzyknieniem tylko:

— Pani! więc wątpisz o mojem uczuciu!— zawołał podnosząc głos—godziż się! godzi się... mamże przysięgać, jakież mam złożyć dowody, ach!

To mówiąc, z porady starego romansu rzucił się po staroświecku głupiusieńko na kolana, bo przypomniał sobie, że w książkach często bohaterowie padają na kolana przed swemi kochankami, i złożywszy ręce do uroczystej przysięgi, już się ją wyrzec zabierał, gdy Zygmunt-August Dendera, małżonek, ukazał się we drzwiach zaciemnionej altany.

— Brawo! rotmistrzu! — rzekł z przyciskiem — brawo! Dziękuję ci, że panią pocieszasz tak wynownie: grajcie dalej starą komedya, ja nie przeszkadzam.

— To mówiąc, gdy hrabina już krzyknawszy mdlała, zbliżył się do rotmistrza i szybko dodał:

— Biegaj po wodę, trzeźw ją, to twoja rzecz, a potem przychodźcie na herbatę, bo już ją podawać kazałem.

I z uśmiechem Mefistofila niespodziany świadek odszedł jak przybył, niepostrzeżony, pociachu, dyskretnie.

Jak przybył hrabia, nietrudno wytłumaczyć. Spieszył on do domu już dla pochwycenia ze Słomnik co się pochwycić mogło, już dla podtrzymania swój opinii i kredytu, sobie tylko właściwymi środkami. Był już na wzgórzu panującym okolicy, gdy rotmistrz jechał ku dworowi; kazał zwolnić kroku, zamierzwszy sobie zrobić niespodziankę obojgu państwu i w chwilę po kochanku wsunął się tąż samą furtką do ogrodu. Resztę już wiemy. Wysłuchiwał on całej rozinowy, nawet owego przymiotnika: *najlepszy z mężów*, na który rozśmiał się w duszy.

Któraż z żon co zdradzają, nie szafuje tym czułym przymiotnikiem? Ileżto razy aniołem się nawet nazywa dla kochanka nieszczęśliwy małżonek, w chwili właśnie, gdy wszystko dowodzi, że innegoby sobie życzono? O! nieodgadnione serce ludzkie, o biedne my słabe istotki!

Położenie rotmistrza i hrabiny było nie do opisania... Piérwszy zbity z tropu obojętnością męża, nie wiedział znowu co począć; druga zemdlawszy dla oka, przemyślała co ma z sobą zrobić. Całe życie doskonale granć komedyi, na téj jednéj scenie melodramatycznój stracone zostało. Wahała się czy ma zaraz odjechać do matki, czy męża przeproszać, czy stawić mu się ostro i twardo, z wyrzutami i zuchwałém odbiciem wymówek? Rotmistrz w dobrej wierze ją trzeźwił, gdy sam najinocniój potrzebował otrzeźwienia, bo był jak obłąkany. Ledwie oczy poczęła otwierać, gdy hrabia, który o kilka kroków tylko odszedł, zawrócił się ku nim i znowu przybliżył.

— Kochana hrabino — rzekł — nadto masz doświadczenia, żeby mdleć dla takiej fraszki;

nadewszystko niepotrzeba z tego robić historyi i zwracać na siebie oczu ludzkich. Proszę pani zso-  
bą, i ty rotmistrzu musisz nam towarzyszyć.

Powała milczał, zakąsał wargi i wargi; spodziewał się bowiem wyzwania, wyrzutów, pojedynku, pobicia może i awantury, w którychby był w swoim elemencie; ale nigdy tak pogardliwego chłodu, takiej zimnej obojętności, na którą wcale nie był przygotowany. Żaden romans francuzki nie przychodził mu w pomoc na takie dziwne położenie: bo nowszych nie czytał, a w starych inaczéj się te sceny odegr-  
wać zwykły.

— Ludzie cię widzieli gdyś wchodził — szep-  
nął mu hrabia — jesteś uczciwy człowiek, nie  
róbże proszę cię awantury, chodź z nami, a o resz-  
cie rozinówimy się potem.

To rzekłszy mdlejącej hrabinie podał rękę i ra-  
czej wlokąc ją niż z nią idąc, zmierzał ku pałacowi.

— Rotmistrzu — mówił — proszę o codzienny  
humor; pani także chciéj odzyskać wesołość  
i przytomność przy najlepszym z mężów. Ludz-  
kie oczy! ludzkie oczy! Zmiłujcie się państwo,  
nie malujcie głupstwa gorszego niż pierwsze!

Więcej niż słowa hrabiego pomogło przybycie Cesi i Sylwana, którzy ulicą spieszyli ku nim. Jakby cudem hrabina odzyskała przytomność, żywość, swobodę; rotmistrz trochę odwagi, a hrabia, który się ani na chwilę nie zmieszał powitał syna:

— Spotkaliśmy się z kochanym rotmistrzem u drzwi ogrodu, i najosobliwszym trafem, hrabinę także niedalekośmy znaleźli: macie więc mnie dzieci kochane i gościa iniego razem.

Rotmistrz się witał jak po żarzących węglach stępując; hrabina tymczasem wyrwała się, prosząc by mogła pójść przodem, kazać przygotować herbatę i znikła. Cesia poszła za nią, mężczyźni zostali sami.

— No, już wicie zapewne — odezwał się swobodnie hrabia rzucając okiem na rotmistrza, któremu cygaro Sylwana dało zajęcie i minę jaką-taką — wicie o mojej stracie?

— Słyszeliśmy — wycedził rotmistrz przez zęby.

— Ha! cóż robić! odrobie się na czem innem; zażył mnie oszust to prawda, ale ja mu odpłacę! Zresztą klucz Słomnicki w piaskach po więk-

szej części, grunta liche, lasy wyniszczone i strata mniejsza niżeli się zdaje. Nim sekwestr przyjdzie, do reszty sinołę wyrobię, wytnę i wysączę co się tylko da wycisnąć.

— Zawsze...—rzekł rotmistrz, czując potrzebę coś powiedzieć—zawsze... i zatrzymał się.

— Zawsze żal, bez wątpienia; ale dla mnie, to mniej znaczy. Gdybym chciał, wykupiłbym Słomniki: mam trochę grosza.

Rotmistrz zrobił wielkie oczy.

— Znalazłbym kredyt—kończył hrabia.

Rotmistrz jeszcze się więcej wytrzeszczył.

— Ale to lichota—dokończył Dendera—nie ma co o tém myśleć.

Sylvanowi lżej się zrobiło, widząc, że ojciec tak lekko traktował klucz ten i swoje nieszczęście; weselszy poszedł na górę kręcąc węża.

Nie będziemy wam malowali sceny przy herbacie, której hrabina przytomną być musiała, choć doprawdy wartaby była odwzorowania dla wiekuistej pamięci. Rotmistrz, jak tylko przyzwolność dozwoliła, począł się zaraz wybierać do domu, a hrabia jak najczuliej wstrzymywał go, zapraszał, żegnał, i wsadził nareszcie do

nejtyczanki, głośno życząc dobrej nocy. Sam natychmiast wszedł do pokoju hrabiny.

Byli całkiem sami: ona siedziała w kąciek u inileżąca; on chodził po pokoju zwyczajki, pogodny i całkiem pan siebie.

— Nareszcie — rzekł po chwili namysłu — dwudziesto-kilko-letnia komedia nasza skończyła się...

Hrabina ust nie otworzyła: studyowała położenie swoje i chciała się przygotować do nowej roli.

— Czasby już dać pokój — kończył mąż — tym ryzykownym jesiennym miłostkom; dzieciom to szkodzić może na sławie i mnie nie pomaga. Dotąd. muszę pani przyznać, miałaś wielki takt we wszystkiem: dziwię się, że szerokie ramiona głupiego rotmistrza mogły panią tak dalece obalamucić, żeś zwykłą straciła rozwagę i ostrożność.

— Proszę nie szydzić przynajmniej, hrabio, jeśli nie litość, jeśli nie szacunek...

— Litość i szacunek! Szacuję tylko wysoki jej rozum, lituję się bardzo nad panią; lituję się nawet oddawna, widząc, że ani wiek, ani do-



świadczenie, nie mogą jej powściągnąć od niepotrzebnych rozrywek. Cóż u licha! trzeba sobie przyponniéć metrykę!

— Jestto pierwszy mój błąd.... jeśli to błędem nazwać się może...

— Pierwszy czy ostatni, o tém mnie wiedzicie hrabino—rzekł mąż;—to pewna, że pierwszy odkryty na jaw fatalnie; na inne, a wierzę mi pani, że je mógłbym policzyć, przez szpary patrzyłem...

— Śmiesz to powiedzieć?

— Cheeszże pani, bym liczył i dowody składał?

— O! tak się pastwić! to niegodnie!

— Jakbyś się pani gorzej i niegodniej nie pastwiła nademną? Myślałaś-że, iż to choć obojętnego nie boli? Ale wracam do rzeczy. Zawsze sądziłem, że to się przecie kiedyś skończyć musi, ale widzę, że czterdzieści kilka lat nawet nie są rękojnią mojej spokojności.

— Cóżem winna! cóżem winna! upamiętaj się pan!—zawołała hrabina.

— Jakto pani?



— Tak jest! Powiedz mi jaka moja wina?

Hrabia osłupiał i na chwilę zamilkł.

— Wina?—rzekł—pani nie wiesz jeszcze?

— Mogłażem zabronić mu kochać i oświadcząć się?

— A prawda! — ze śmiechem zawołał Dendera—to ja jeszcze winienem cię przeprosić, nie obwiniać. Wina i nie ma winy—dodał szydersko —Jesteś aniołem! cha! cha!—Ale wnet zmienił głos.—Dość, mówię, tych komedyj. Nie jestem i nie byłem nigdy ślepym; musiałem nim być póki tylko mogłem, ale basta! dosyć! Widziałem wszystko, przebaczałem częściej niż drudzy; nareszcie przebrało się cierpliwości i po-błażania.

— Więc się rozstaniemy...

— Ba! jakby to było doskonale, gdyby to być mogło!

— To być musi.

— To być nie może. Dzieci nasze byłyby zgubione i pani z niemi. Żona moja nawet posądzoną być nie powinna, a przynajmniej jeśli ją posądzają, niech to tylko będą posądzania.

niech nikt nie ma prawa powiedzieć : oto dowody. Odtąd więc racz pani słuchać: dość tych młodości powrotów, romansów i intryg, lub... lub... ręczę pani, że źle bardzo skończymy.

— Śmiesz mi grozić!

— Grozić? nie; ale co mówię to spełnię do joty. Mogłem darować chociażby winnej, lecz upokorzonéj, lecz wyznawającéj swą winę żonie, bo takie wyznanie dowodzi żalu, każe się spodziewać poprawy; ale nie przebaczę dumnej a występnej. Całą rozmowę pani zrotmistrzem powtórzyć mogę, bom ją doskonale słyszał. Sądzę, że niemińej piękne co do stylu i treści były jéj ciche szepty wieczorne z panem Hermanem, z panem Julianem, z panem...

Hrabina dostała gwałtownych spazmów i padła na kanapę bezprzytomna; hrabia bryznął jéj na twarz kilka kropel wody, otrzeźwił, a gdy powoli oprzytomniała, dodał bardzo zimno:

— W oczach ludzi i dla świata, będziemy czém byliśmy: bardzo a bardzo kochającém się małżeństwem, bo świat o niczém wiedzieć nie powinien. *C'est de rigueur*. Zresztą będziemy

dla siebie odtąd obojętni i obcy jak starzy znajomi, co już tajemnic nie mają. Dobranoc pani. Jeślibyś chciała odjechać do siebie — dodał zawracając się ode drzwi — wolno: ale nie zaraz; musinny wprzód naprawić złe, jakie uczynić może rozgłos o konfiskacie, odżywić mój kredyt, zamknąć usta nieprzyjaciołom.... potem... nie mówię... Samodoły są na jej usługi.

Uklonił się i odszedł.

— A rotmistrz — rzekł wychodząc z uśmiechem do siebie — nie będzie mi się mógł teraz o swoje 30,000 upominać. Byłaby to z jego strony ogromna niedelikatność: otóż już pierwsza wygrana. Prawdziwie jestem niewdzięczny: czynię wynówki i grozę, gdy powinienbym dziękować. Pierwszyto romans mojej żony, który mi się na coś przydał.

Nadto obchodziła Sylwana przyszłość całej rodziny, żeby łatwo uspokojony miał się już całkiem z nią spuścić na hrabiego ojca. Wprawdzie wypogodzone oblicze starego Dendery

i jego zuchwała przeciw pociskom losu postawa, wlały już trochę odwagi w syna; ale potrzebował bliżej poznać zamysły ojcowskie i rozmówić się z nim obszernie. Hrabia odprawwszy rotmistrza, po krótkiej rozprawie z żoną, pospieszył do oficyny, gdzie już czekali nań syn i Sinoliński, niezmiernie poruszony powrotem niespodzianie przedkim pana, który przygotowania jego do odjazdu mieszał. Zygmunt-August choć blady, wzruszony i znużony, a dla tych co go bliżej znali zburzony, nie okazywał jednak na pierwsze wejrzenie, że go tyle różnych wypadków razem dotknęło tak boleśnie. Miał całą przytomność, całą swą dumę, cały swój zwykły strój i przybór aktorski, z jakim odegrywał rolę życia od początku. Niósł głowę wysoko, dawał rozkazy głośne, i gdy ludzie szukali na nim śladów upokorzenia, przybicia: znajdowali podwojoną tylko przytomność, siłę i żywłość.

Sylwan zeygarem w ustach, wpół leżąc na kanapie, czekał na ojca w jego pokoju; spodziewał się, że z sobą szczerze pomówią, i że przypuszczone zostanie do tajemnicy narady o przyszłości.

Wszedł ojciec, rzucił na niego okiem, i rzekł tylko:

— Dobrze, żeś przyszedł hrabio! pomówimy z sobą; lecz wprzód rozbiore się i fajkę zapalę.

Podziwiając zinną krew ojca, syn w milczeniu pozostał na kanapie. Tymczasem Zygmunt-August zrzucał z siebie suknie, uśmiechał się, rojąc coś widocznie; i odprawivszy sługi, wdziawszy czapeczkę, zapaliwszy fajkę na wspa-  
niałyin cybuchu, tak zaczął:

— No! czas pomówić seryo! Jesteś hrabio w wieku, w którym nie mam już potrzeby nic kryć przed tobą. nie dla ciebie zynysłać. Powinieneś być moim pomocnikiem: a jako przyszła głowa rodziny, wiedzieć o wszystkiem, co się naszych interesów tyczy. Będziemy więc otwarci.

Sylwan skłonił głowę.

— Zabranie nam klucza Słomnickiego jest, mówiąc między nami, wielką klęską — kończył hrabia—choćaż przed kim innym, prócz ciebie, nie przyznam się do tego. Słomniki, można powiedzieć, były jedynym czystym funduszem naszym, i tośmy utracili; na Denderowie mamy

długi, które prawie równają się jego wartości; reszta majątku podobnież obciążona. Samodoły, posag twojej matki, z długiem bankowym i deportatami Czeremowój, warte niewiele. Koniec końcem, możemy powiedzieć, że ściśle się oblikwidowawszy, zostałoby nam, zbiwszy wszystko do kupy, może jakie parę kroć sto tysięcy, co dla nas jest jak nic.

— Bez kwestyi, to zupełnie nie!—przerwał Sylwan.—Cóż więc w takim razie pocniemy?

— Cała rzecz nie tracić głowy—mówił stary hrabia—i nie wątpić o sobie; nie mogę w pierwszej chwili zapobiedz, by przestrach nie ogarnął wierzycieli, ale tymczasem, *qui a terme, ne doit rien*; a nim terminą nadejdą, musimy zmienić ten stan rzeczy.

— Jakim sposobem?—spytał Sylwan.

Hrabia wstrzymał się w pośrodku pokoju, i rozśmiał się z niewymowném szyderstwem.

— Trzeba, żebyś wiedział kochany hrabio, że nie ma głupszych stworzeń nad ludzi!

Młody uśmiechnął się tylko: gotów był temu wierzyć, wyjmując tylko, jak zwykle, je-

dnego siebie; bo do siebie nikt praw powszechnych nie zwykł stosować.

— Wszysey przechodzą ciągle od największej nieufności do nieograniczonego zaufania, ze zwątpienia do ślepej wiary, jak istne dzieci; potrzeba tylko nunić niemi pokierować. Kredyt mój w téj chwili zachwiany; niech tylko ja nie okażę przestachu, niech wypłacę komu, niech potarguję, niby chcąc kupić, jaką wioszczkę, zobaczą, że się trzymam na nogach, że się nie proszę, nie kłaniam, nie padam: jutro mi płynąć będą szlacheckie pieniądze jak woda. Całą więc tajemnicą, ufność w sobie do ostatka i odwaga.

— Ale dalej?

— Dalej? manipulacya bardzo prosta — mówił ojciec — pożyczam od jednego, oddaję drugiemu: proste działanie arytmetyczne; i tak ciągle. Udamę wielkiego spekulanta, mówię o ogromnych zyskach, trzymam się na nogach, i kpię z głupców, co mi wierzą.

Czemuż opisać nie możemy miny, postawy i głosu, z jakim to axioma wyrzeczone zostało!

Hrabia istotnie był w téj chwili podziwienią godnym gieniuszem.

— Wszystko to dobrze—rzekł Sylwan—ale oczywiście potrzeba się nam będzie oszczędzać, potrzeba nowy jakiś plan życia zakreslić.

— A to właśnie byłoby jak największe głupstwo!—żywo odparł stary mentor.—Owszem, przeciwnie, wystawa, przepych, to środki najlepsze. Kto mnie zobaczy nową kareta, świeżym paradnym jadącego eugiem, powie sobie zaraz: nie może to być bankrut, patrz, jak żyje! Niechże sprzedam choćby parę starych koni, gruchnie zaraz że się fantujemy. A zatém odważnie, śniało i dalej!

— Uwielbiam hrabio twoję niezachwianą przytomność umysłu; ale czyto się tak uda, jak osnuje?

— Udać się musi!

Hrabia pochodził chwilę i pomyślał.

— Najważniejszym — rzekł — z wierzycieli moich, bo najznacniejszą ma u mnie sumnę, jest stary Kurdesz; tegobym chciał jakoś ugłaskać: bo szlachcic, choć się nizko kłania, ale kuty na cztery nogi.



— Więc to prawda, że ma u nas dwakroć sto tysięcy.

— Tak jest!... potrzeba pomyśleć: i na niego są sposoby. Wszak byłeś w jego domku?

— Parę razy.

— Nawet parę?—spytał ojciec.

Sylwan trochę zmieszany zamilkł; ojciec się rozśmiał.

— Zdaje mi się, że ci tam dziewczyna w oko wpadła! Cha! cha! krew moja: nie ma nic złego, a nawet może się to na coś przydać. Potrzeba, żebyś tam był znowu, choćby najczęściej...

— Ja? Ale cóżto pomoże?

— Ba! trzeba szlachcica złowić nadzieją ożenienia, jeśli tak prosty, że się nią da złudzić; czasem i te grube środki, właśnie nieczgrabnością swą, są najskuteczniejsze.

— Jakto mój ojciec?.. niedobrze rozumiem ciebie.

— Widzę, że mogę z tobą mówić otwarcie. Bywaj u Kurdesza i umizgaj się do jego córki, rozumiesz? Ja niby o tém nie wiem. Szlachcic połaskotany naszym hrabstwem. nie będzie

nas prześladował o dług; ja udam ci ślepego, a gdyby przyszło do rzeczy, masz zawsze mnie w odwodzie za sobą: nie pozwolę ci się żenić i kwita!

Sylwan, jakkolwiek zepsuty, uczuł niejaki wstyd z tego rozporządzenia: upokorzony był rolą majaka, którą mu grać kazano; zamilkł, ukośném wejrzeniem mierząc ojca, który to mówił z tak zimną krwią, z taką flegmą i bezwstydem, jakby rzecz najnaturalniejszą, najuczciwszą w świecie.

— Możesz tam sobie jeździć — dodał — możesz nawet czasem westchnąć na moję arystokracją i surowość. Rotmistrz będzie sprzyjał otwartym twoim staraniom; a zresztą spuść się na mnie: chodzi tylko o zyskanie czasu. Panienkę moglibyśmy wydać za kogokolwiek, choćby za Wacława; dla niego byłabyto przepyszna partya!

Wyborny ten projekcik tak w duinę wbijał hrabiego, że mu się aż usta uśmiechnęły. Sylwan użyty za komparsa, trochę był zawstydzony; ale że mu ten środek dawał w ręce sposób pomszczenia się nad szlachtą, która

dotąd śmiała mu się opierać, przyjął go oho-  
tnie.

Po tak otwartém wywnętrzeniu, nie było już  
co mówić dalej: zamilkli chwilę. Hrabia za-  
dzwonił, by zawołano Smolińskiego; zdawało  
się to odprawą dla Sylwana, który chciał odejść,  
ale go ojciec zatrzymał.

— Zostań hrabio — rzekł — zobaczysz jak  
się robią interesa; trzeba żebyś się z niemi  
oswajał.

Sylwan więc pozostał na kanapie, a ojciec  
wyszedł do pierwszego pokoju, usłyszawszy  
otwierające się drzwi, chód i chrząkanie odzna-  
czające Smolinskiego.

Smoliński był w niewesołym trochę położe-  
niu, bo go niespodziany powrót hrabiego schwy-  
tał na samych przyborach do odjazdu. Jak  
z walącego się domu wszyscy uciekają, tak i on  
widząc zarysowaną ścianę nad sobą, myślał  
i poczynął się już wynosić. Hrabia przez swo-  
ich szpiegów już o tém wiedział; jadąc stanął  
przed karczmą za wioską, gdzie wedle zwycza-  
ju, żydka arendarza o wszystko co się działo

wypytał; udał jednak, że nie wie. Tak mu na ten raz wypadło.

— A co! dobry wieczór ci Sino!o!—rzekł—widzę nie spodziewałeś się mnie tak rychło?

Smoliński był zakłopotany widocznie: tarł blade uszy, wykręcał sobie palce, mrugał oczyma, tupał nogami; a zdobywszy się wreszcie na uśmiech, rzekł:

— Cóż JW. grafie! choć nie spodziewaliśmy się, ale radzi jesteśmy. Cóż nam JW. pan przywozi?

— Naprzód, gadaj mi, czy uratowałeś z klucza Słomnickiego co było można? Jak konfiskatę potrafiłem na trzy miesiące jeszcze odciągnąć.

— Ratujemy, ale to idzie ciężko.

— Nie rozumiem co to jest ciężko; powinno iść i musi.

Smoliński spojrzał z podelba. Hrabia stał jak Jupiter poważny i dumny.

— Czyżto nam panie grafie tak z sobą mówić? Czyto pan nie wie, co się święci?

— A cóż się święci?

— Jużciż nie wyleziem z tej kaszy, choćbyśmy co ze Słomnik i uratowali.

— Z czego nie wyleziem?

— A z biedy.

— Cóżto waćpan myślisz, że dla klucza Słomnickiego ja przepadnę?

Smoliński spojrzał wielkimi oczyma. Hrabia się uśmiechał z taką pewnością, z takim zaufaniem w siebie, że choć Smoliński znał go zdawna, uśmiech ten go uwiódł i zniepokoił. Zachwiał się.

— Cóż JW. hrabia myśli?

— Co myślę? ratować co można, i po dawnemu iść dalej.

— Którędy?— spytał znów szydersko rządca.

— To do mnie należy. Wiele masz w gotówce w kassie?

— Po strąceniu mojej należności...

— A to waćpan już naprzód sobie potrącasz!

— Jestem bardzo potrzebny...

— O tém potém... Wiele jest pieniędzy w kassie?

— Prawdziwie, nie obliczałem się...

— To może ja waćpanu powiem ile być powinno?

Smoliński rozgniewał się i ruszył ramionami.

— Coto panie hrabio daremnie wodę warzyć? Choćby i było co w kassie, cóżto w proporcya interesów? Main jeszcze półtora tysiąca rubli.

— Co wzięłeś za drzewo sprzedane żydowi z Żytkowa, z klucza Słomnickiego?

— Dali z górą dwadzieścia tysięcy.

— Dobrze, to już trzydzieści.

— Ale JW. hrabio, ja jestem bardzo potrzebny; moja należność...

— Waćpan tu pierwszym nie jesteś spodziewam się—rzekł z wymuszoną grzecznością hrabia.—Nie obawiaj się, nie stracisz. Ja z sobą mam jeszcze 30,000, których mało co nadwyrężyłem, bo w Żytkowie nie było co robić, i oszedłem się małym; to stanowi około 60,000. Na pierwszy ogień dosyć będzie, a co dalej robić, pomyślimy.

Wtém właśnie, gdy to mówili, hałas się zrobił w przedpokoju: ktoś się dobijał do hrabiego, wadząc ze sługami. Drzwi rozparły się z hałasem, i wpadł pan Pęczkowski, cały zdyszany, fioletowy, nieprzytomny. Oczy miał obłąkane, krwią zaszłe; postawa malowała najżywszy niepokój i rozdrażnienie.

— A cóżto za awantura, kochany Pęczkosiu! jak się masz!— zawołał hrabia. — O téj porze! cóż cię tu sprowadza?

Pęczkowski zimno się skłonił.

— Daruje JW. hrabia, że tak niespodzianie wpadam, ale prawdziwie...

— Cóżto ci się stało, kochany Pęczkosiu?— zapytał hrabia uprzejmie, ale dumnie i poważnie.

— Jestem tak nieszczęśliwy— zawołał skłopotany szlachcic — że muszę, choć nie chciałbym, naprzykrzać się JW. panu, ale taki interes...

— O cóż to chodzi, mój Pęczkowski?— powolnie zapytał gospodarz.—Co to jest?

— Jestem w takich okolicznościach, daruje JW. pan, ale obciążony familią: w pocie czoła zapracowawszy, nie mogę stracić... Moja sumka jest mi koniecznie potrzebna.

— Jaka sumka? cóżto? miałżebyś już chcieć jéj nazad? Wszak ledwie kilka tygodni jakeś mi ją dał i wziął oblig?

— Ja wiem JW. panie, że to nie termin, ale w takich okolicznościach; miej JW. pan litość nademną! Dzieci, żona bez chleba! Nie gub mnie!

Zaczął się plątać i bełkotać niezrozumiale, zaklinać, grozić, płakać i prosić.

— Cóżto tak gwałtownie pilnego! — powtórzył hrabia. — A! a! widzę — dodał śmiejąc się do rozpuku i biorąc za boki — to to zapewne konfiskata Słomnik takiego ci piotra napędziła! Cha! cha!

Nagle przestał się śmiać, i guiewny, poważny, obrócił się do zdumionego szlachcica.

— Wiedz waćpan — rzekł — że niczyich pieniędzy nie żądam i nie proszę, a jeżeli czyje biorę, to mu łaskę czynię! Wiele się waćpanu należy?

Spojrzał na Smolińskiego stojącego u drzwi.

— Zaraz się obliczę — cicho rzekł rządca.

— Proszę natychmiast temu panu wypłacić! — zawołał Dendera dumnie i nakazująco. — Natychmiast, nie odkładając do jutra, w tym momencie! Żegnam waćpana!

To mówiąc obrócił się obrażony niby, sapiąc i udając gniew ogromny.

Pęczkowski sam nie wiedział co się z nim działo. Smoliński nie ruszał się z miejsca i mru-



gał tylko na Pęczkowskiego, to na hrabiego, nie rad będąc téj wypłacie.

— Ale niechże się JW. pan nie gniewa—wybąknął szlachcic.—To w pocie czoła zarobione, ucinłane, jedyny fundusik moich dziątek...

— Nie wchodzę w nic—odparł hrabia—nie masz waćpan ulności we mnie, odbierz swoje i idź z Bogiem; ale że i ja nie mam odtąd ulności w panu, więc tę posesyjkę, którą masz ode mnie, proszę zaraz zdać i wynosić się natychmiast!

— JW. panie!

— Ani słowa! Panie Smoliński! proszę mi tu przynieść pieniądze zaraz! Masz waćpan oblig?

— Mam. Ale JW. panie!...

— Bez żadnego ale! Płacę i żegnani pana, czas zwykły do rumacyi daję, i bądź zdrów!

Smoliński jakkolwiek nie rad, poszedł po pieniądze i przyniósł je prędko: kassa była na-przeciw. Hrabia odliczył, w milczeniu oddał, odebrał oblig, podarł go w drobne kawałki, i rzucił w komin z pogardą.

Szlachcic tak był obalamucony, zgłupiały, kontent i niespokojny razem. że nie mogąc po-

liczyć pieniędzy, bo mu się w oczach kręciło, schwycił je tylko, wpakował do kieszeni, chciał żegnać, ale hrabia stał tyłem do niego; wyszedł więc pocichu.

— Tak się robią interesa—rzekł Dendera do syna—płacę mu kilkadziesiąt tysięcy, ale jutro dwa i trzy razy tyle mieć będę, gdy zechcę. Nie mógł mi Pan Bóg zesłać pomysłniejszego wypadku, nad tego Pęczkowskiego utrapionego. Byle się dowiedziano, że m prosty oblig zapłacił, będą mi dawać wszyscy, będą mnie prosić, żeby im sumki zatrzymał.

Zatarł ręce.

— Ślicznie! wybornie! przepysznie mi się z nim udało! Pęczkowski byłby krzyczał w niebogłosy i drugich buntował: zamknąłem mu gębę; musi przyznać, że m mu się nawet bez terminu uiścił. Zobaczysz, jaki to zrobi efekt!

Wszystko u hrabiego obliczało się, niestety! na efekt tylko!

I nie chybiły na ten raz przepowiednie, bo najpierwszy Smoliński, choć lis szczwany, powiedział sobie:

— Ej! panowie, nigdy to nie przepada! Jak koty: zrzucić ich z jakiej chcesz wysokości, zawsze padają na nogi, wstają i lecą. Musi hrabia mieć resursa i nadzieje ukryte! Inaczéj zbilby się z pantałyku, a trzyma się ostro... Nie czas jeszcze uciekać.

---

Chodziło o uśpienie starego Kurdesza, żeby się swoich dwóchkroć nie upominał. Hrabia miał podejrzenie, że rotmistrz konfederat nie-tyle mu już wierzy co dawniej; myślał jak go ująć sobie, i chcąc użyć za narzędzie Sylwana, postanowił z nim o tém otwarciéj jeszcze i do-bitniej się rozmówić. Niespokojny był trochę, że mu syn na piérwszą wzmiankę nic nie odpowiedział; postanowił dotrzeć i dowiedzieć się, jakie było usposobienie Sylwana.

Nie bez wahania jednak i trochy wstydu, przyszło mu odnowić już raz wszczętą i na niczém spełzłą rozmowę w tak delikatnym przedmiocie; ale potrzeba była gwałtowna!

Zastanowił się w swéj przechadzce po pokoju naprzeciw syna, spojrzał na niego, jakby go

badął, czy spełnić potrafi co mu poleconém będzie, i tak rozpoczął:

— Wiele, wiele zależy mi na tém, żeby się stare Kurdesisko swoich dwóchkroć nie upominało natarczywie. Mógłby rozbudzić innych, powstając przeciwko mnie; a dwóchkroć z piasku ukrećć niepodobna.

— Ciężko na to poradzić. Prosić?

— Któż prosi? zlituj się! Naiwny jesteś zbyt; mówiłem ci już o sposobie, w jakim użytecznym mi być możesz.

Sylwan milczał.

— Słuchaj tylko uważnie! Wiem, że ci córka jego w oko wpadła.

Na to zapytanie zmieszał się młody hrabia, sądząc, że ojciec wie już o niefortunnych jego umizgach: zarumienił się, ale udając obojętność odparł:

— Tak sobie, przystojne dziewczę.

— I trochę ci się chce koło niej poskakać?

— A któż to ojcu powiedział?—żywo spytał Sylwan, zawsze w przekonaniu, że hrabia wie o wszystkiém, choć w istocie stary o niczém nie wiedział: zgadywał tylko, a widząc, że mu

lepiej szło niż się spodziewał, udał zaraz doskonale uwiadomionego i podchwycił:

— Kto mówił to mówił, a to pewna, że ci w oko wpadła: kontent jestem z tego.

Sylwan ruszył ramionami.

— Właśnie tego mi było trzeba.

— Ale cóżto ma do interesu? — oburzony trochę podchwycił syn — przecież hrabia nie myślisz mnie dla mizernych dwóchkroć ożenić.

— Uchowaj Boże! co za myśl dzika! Mówiłem ci przed chwilą! Nigdy na to nie pozwolę. Ale ci przecie wielkiej przykrości nie zrobi, gdy się do niej poumizgasz?

— To co innego.

— Umizgajże się, kochaj, zajmuj nią, bawaj, a ja, gdy się zechcesz cofnąć (byleby to się mogło przeciągnąć) w pomoc ci przyjdę. Stary gotów się odurzyć nadzieją ożenienia: szlachta bywa w tym przedmiocie bardzo głupia: są przykłady; nie zechce innie rozjatrzać procesem i ze swoim długiem cicho siedzieć będzie. Wypatrzywszy porę, przyjdę rozgniewany, jakbym się dopiero o wszystkiém dowiedział, i oburzony, rozkaże ci zerwać stosunki.

Tę nową lekcją fałszu wypowiedział hrabia z niewypowiedzianą beczelnością, tak, że Sylwanowi choć zepsutemu wcześniej, twarz krwią się oblała. Obrażony myślą, że go za narzędzie tylko używano, chciał się opierać zrazu, ale namiętność i próżność szeptały w drugie ucho: posłuchaj! Trudną była odpowiedź ojcu na tak jawną radę spodlenia, i Sylwan uznał za potrzebne choć dla formy się sprzeciwić.

— Hrabio!—rzekł—toby była nikczemność z mojej strony.

— Nikczemność! słowo! wpadasz w liryzm niepotrzebny! Zważ wacpan o co tu chodzi: zyskujemy na czasie i ratujemy się od zguby. Zresztą nie radzę panu uwodzić: byłoby to podłością; chcę tylko byś się poumizgał, nastreścił mu myśl ożenienia, nic więcej. Jeździć inożesz do Wulki często, staraj się poprzyjaźnić ze starym, rzuć czasem okiem na córkę: o to tylko cię proszę. Nie przesadzaj gorliwością, bobyś popsuł interes; a w ostatnim razie mamy Wacława na podstawkę.

— A jeśli mi drzwi zamkną przed nosem?— spytał Sylwan pamiętny ostatnić bytności.

— To być nie może.

— Toby być mogło.

— Nie! nie! Znam ludzi. Kurdesz ma pretensye do rodowitości, do kolligacyi, nie osądzi się sam niższym od nas, mogąc dać córce około trzechkroć posagu: myśli pewnie, żeśmy prawie równi... Ładnyto grosz trzykroć!

— Spodziewam się, że hrabia nie taxujesz mnie tak tanio.

— Z twojém imieniem, postawą, wychowaniem i główką, kochany Sylwku — pieszcząco odpowiedział ojciec — powinienbyś wziąć najmniej dwa miliony; ale to później... Nim wyszukamy dla ciebie dziedziczki, któraby Denderów oczyścić mogła, uśpij tego Cerbera Kurdesza.

— Ha! spróbuję! — wybąknął spuszczając oczy Sylwek — ale za powodzenie nie ręczę.

— Ja ręczę ci za nie! — wesoło rzekł ojciec.

— Tymczasem dla pomieszczenia szyków złym językom w sąsiedztwie i pokazania im, że jeszcze nie ginę, jakby radzi sądzić; za tydzień przypadające urodziny twojej matki, obchodzić będę luźnie: spraszam sąsiadów i krewnych, bal daję. jakiego w Denderowie nie widziano,

oświecam ogród, sprawiam fejerwerk; z cukrami przyjedzie Dobrzyjałowski. Niech się ze złości i zazdrości popękają!

— To dobrze pomyślano! — rzekł Sylwan — Doskonale.

Dendera zajaśniał, uśmiechnął się, zatarł dłonie.

— Ho! ho! — rzekł — damy sobie rady.

---



W ulce spokojne płynęło życie: tu dzień dniowi, godzina godzinie, były rodzonymi siostrami. Nieznaczące w nich zmiany pochodziły z pór roku, z zajęć gospodarskich, z uroczystych świąt obchodów i z nieczęstych zetknięć z zewnętrznym światem. Każdy z innej zwykłych wypadków stanowił epokę pamiętą; zresztą o jednych godzinach niezmiennie wracały zajęcia jednakie. Są ludzie, których podobne życie utrudza, nieszczęśliwi, którym potrzeba szaleń, wrzawy, zamętu, by o sobie, o jutrze i doli zapomnieli. Wcale inne uczucie panowało tutaj: mieszkańcom: im nic świat zewnętrzny dać nie mógł, a wiele odbierał. Rotinistrz obcy

wśród dzisiejszych ludzi, doznawał więcćj pordziwienia, przykrości od nich, niżeli przyjemności w ich społeczeństwie; mimowolnie śmiał się z nowego pokolenia i niecierpliwił niém, jak ono śmiało się i niecierpliwiło na widok starca-szczątku innego wieku, zabytku innych przekonań i myśli. Wyobrażenia jego tłukły się o ich pojęcia i nazad do serca wracały zranione.

Frania tak była przywykła do Wulki i jój dni spokojnie ciekących, jak piasek w starój klepsydrze, że niebardzo pożądała czego więcćj. Od czasu pierwszych odwiedzin Sylwana, myśl jój często wracała ku niemu, ale jój serce nie biło: więcćj w tém było niespokojnej nadziei życia, niżeli wyłącznego uczucia. Rada mu była, jak radaby każdemu innemu młodemu człowiekowi, coby jój światek powiększył i rozweselił; ale w dumaniach jój jasnych nie zajmował pierwszego miejsca, we snach nie odwiedzał ją z marzeniem. Zresztą, wieś i jój życie powolnie płynące, dla wtajemniczonych tyle ma powabu, a dusza tak się w tym żywocie spaja z naturą, tyle tu wrażeń, tyle myśli, że się nie tęskni za

czém inném, bojąc się to, co jest, utracić. I Frania nie wyrywała się nawet myślami ze szczęśliwego swego kątku.

Oddzielny rodzaj ludzi, co nie zna wioski i tego jój rozkosznego życia, co jak pewne ryb rodzaje tylko w wartkim potoku żyć umić, trudnooby uwierzył, ile rozkoszy ma w sobie dzień każdy, zdala jednostajny i nudny. Szczęście to, które prostemi bardzo pozyskuje się środkami, które się jedném niczém zaspakaja, całe zależy na tém, że *trwa*. Trwanie jego stanowi główną cenę. Są żywsze może w życiu przyjemności, są większe rozkosze, ale błyskawicą migają; gdy błogie uczucie wiejskiego spokoju przerywane tylko tém, co jego wartość podnosi, uszczęśliwia tém, że nie przechodzi. Do takiego cielego szczęścia przywykła była Frania, i choć ponad niém płynęły czasem dumania i złożone nadzieje, górą latały jak obłoki w dniu pogody: nie pociągały one z tego czarodziejskiego kręgu za sobą, ale same wien wchodziły.

Jedna Brzozosia od niejakiego czasu niecierpliwszą była i smutniejszą od innych Wulki

mieszkańców; wszystko co uczynił rotmistrz, zdawało się jój najniedorzeczniejszém w świecie: wzdychała i stękała narzekając na niego, a to tém bardziej, że Frania nie zdawała się dzielić jój złego humoru i niecierpliwości. Gniewała się na to, co zwała jój obojętnością; hrabia z ust jój nie schodził: kładła nieustannie kabałę na niego, o nim ciągle gwarzyła, śniło się jej nawet, że ją w rękę całował dla miłości Frani, a na jawie nieustannie potrzebowała sobie powtarzać dla pocieszenia się, że co sądzono, nie minie.

Jednego poobiedzia stała panna Brzozowska z pończoszką w ręku w ganku, gdy zapatrzywszy się na drogę od Denderowa, ujrzała na niej tuman pyłu. Serce jój mówiło, że to hrabia; ale nie chciała lekko wpaść z oznajmieniem, żeby się z nią nie naśmiewali, jak to się już trafiło: czekała więc, patrzała, aż wreszcie gdy się na zawrocie dowodnie przekonała, iż to był nie kto inny, tylko młody Sylwan, wpadła burzą do Frani.

— A co! a co! otóż jedzie! ubieraj się żywo! Zawsze się ze mnie śmiejecie; widzicie, że co

mówię, to nie bez racyi. No wstawajże prędkiej i ubieraj się; jedzie, jedzie, zaraz będzie w dziedzińcu!

— Kto?

— A któż ma być! nie udawaj proszę, wiesz dobrze kto.

— Naprzód potrzeba oznajmić ojcu.

— Ojciec na stępaku wyjechał w pole do siewaczy, boto dziś zasiewki: komuż przyjmować jeżeli nie tobie?

— Bez ojca, ja doprawdy nie wyjdę.

— Otóż masz! nowe głupstwo! czegoż się boisz: jużciż cię nie zje! Doprawdy, ci ludzie zawzięli się, żeby szczęście odpędzić od siebie, kiedy im samo w ręce lezie. O! co teraz, jak Boga mego kocham, więcej już znać i wiedzieć o niczym nie chcę.

— Ale moja Brzozosiu droga! kiedy mi ojciec najwyraźniej mówił, że jeśliby bez niego przyjechał, to mu tylko powiedzieć, że ojca nie ma i nie wychodzić.

— Mówił! mówił! no to dobrze!—z impetem zawołała Brzozosia — ja ci nic już nie radzę: róbcie sobie co chcecie.

I wybiegła Brzozosia szybko w ganek, żeby choć kilką słowy tę nowinę zwiastować hrabiemu w taki sposób, aby go niebardzo zraziła; ale na progu ujrzała, że w niejtyczance Sylwana siedział rotmistrz, a stępak jego biegł sobie z tyłu za bryczką.

— To co innego!—zawołała i pobiegła nazad do Frani.

— Otóż i ojciec jest chwała Bogu — krzyknęła wpadając i stukając drzwiami—ja ci suknię przygotowuję: ubieraj się, nie ma wymówki.

— Jest ojciec?—spytała niespokojnie Frania.

— Jest, jest, jest, i z nim razem przyjechał!

W téj chwili wysiedli gość i gospodarz, a stary szlachcic wprowadziwszy hrabiego do pierwszój izby, mrugnął na Brzozosię, żeby go chwilę tu zabawiła, a sam poszedł do córki.

— Moja Franko—rzekł całując ją w czoło—miejmy rozum, a Pan Bóg da szczęście; przypłatało się do nas hrabiątko; proszę cię, choćby to ci miało być i przykrém, jeszcze dziś tylko do niego nie wychodź: ja jegomości pobawię. Jeśli ma istotnie intencye uczciwe, no! to mi o tém powinien powiedzieć otwarcie: jeśli nie,

mał; może się zawiązać przyjaźń, może to być dla obojga powodem utrapienia: trzeba tego uniknąć. Moja rada—dodał szlachcic—byś JW. pan wyprawił gdzie młodego: zapomniałby trochę.

Nie potrafimy opisać, jak dalece uczuł hrabia, że ktoś prostą, otwartą pocziwością zwyciężył jego tak przebiegle obrachowane zasadzki; ale musiał nadrobić miną i udawać wdzięcznego. Szlachcic zresztą nie nie wspomniał o swoim kapitale: to także poczyniło w inny sposób niepokoić Denderę; grzecznym był, nadskakującym, słodkim, i kłamał o swych interesach, by je przy zdarzonej okoliczności w jak najświetniejszych barwach wystawić. Słowa jednak nie wyciągnął z rotmistrza, który w rzeczy pieniędzy uparcie milczał.

Nareszcie zniecierpliwiony hrabia, choć z niechęcią strachem, musiał ten drażliwy przedmiot zaczepić.

— Pan więc, interesa, jakkolwiek dzięki Bogu jestem o nie spokojny, ale zawsze potrzebuję wczesnego zregulowania; muszę wiedzieć wprzód jak się układać: co też pan rotmistrz myślisz ze swym kapitałem?



— Jeszczeto daleko do terminu — rzekł enigmatycznie Kurdesz.

— Tak, ale jakie są intencye pańskie?

— Moim zamiarem jest kupić ziemię.

— Więc pan zapotrzebuje swego kapitału? — chinurno spytał hrabia.

— W terminie będę o niego prosił.

— A bardzo dobrze! bardzo dobrze! — odparł Dendera dumnie i chłodno, ale nadzwyczaj dotknięty. — Cóżto, jeśli wolno spytać, powoduje do tego?

— A cóż JW. panie! człek się starzeje, kto wie wiele życia zostało: radbym dziecku jasny i spokojny fundusz zostawić.

— Ani słowa, ale ziemia?

— Ziemia to taki zawsze coś — rzekł rotmistrz — i przyznam się JW. panu, że dla dziewczyny mojej lepićj, gdy się jój fundusik jasno pokaże. Może Bóg da wydać ją za mąż, to się wioska kupiona odda posagiem, a ja sobie dokawęczę na Wulce.

Nie było co na to odpowiedzieć.

— Pan nie boisz się kupna, kłopotów, zagospodarowania nowego i tak wysoko podniesionej ceny majątków?



— Jużto jak Bóg da; ale moje projekta są dawno obmyślane i niewzruszone.

Hrabia, żeby nie miał pozoru popierania swój sprawy, musiał zamilknąć i odwieść rozinowę; a nie chcąc okazać jak był udręczony podwójnem wyznaniem rotmistrza, udawał i humor wyśmienity, i pańską obojętność na te drobności. Szlachcic trzymał się jak zwykle zdaleka, pokornie, z uszanowaniem, ciągle niezmiernie grzeczny, uniżony, na oko pełen wiary w to wszystko, co JW. pan powiedzieć raczył, jednak na żadną wędkę jakoś ułowić się nie dawał.

Dendera próbował różnych sposobów, ale wreszcie znudzony i zniechęcony, gdy rotmistrz brał za konfederatkę, nie poprosił go już nawet na obiad, i pożegnał zamyślony.

— A zatém moja prośba zostanie w pamięci JW. pana?—rzekł na odjezdném Kurdesz.

— Co się tyczy Sylwana?

— Tak jest, JW. panie! Lepiejby go dokąd wyprawić, bo ja dla spokoju mojej Frani, musiałbym, choć z żalem i konfuzyą, uchodzić bodaj z własnego domu. Darniesz mi JW. pan, ale każdemu spokój drogi.

— Jeszczeto daleko do terminu — rzekł enigmatycznie Kurdesz.

— Tak, ale jakie są intencye pańskie?

— Moim zamiarem jest kupić ziemię.

— Więc pan zapotrzebuje swego kapitału? — chmurno spytał hrabia.

— W terminie będę o niego prosił.

— A bardzo dobrze! bardzo dobrze! — odparł Dendera dumnie i chłodno, ale nadzwyczaj dotknięty. — Cóżto, jeśli wolno spytać, powoduje do tego?

— A cóż JW. panie! człek się starzeje, kto wie wiele życia zostało: radbym dziecku jasny i spokojny fundusz zostawić.

— Ani słowa, ale ziemia?

— Ziemia to taki zawsze coś — rzekł rotmistrz — i przyznaj się JW. panu, że dla dziewczyny mojej lepićj, gdy się jój fundusik jasno pokaże. Może Bóg da wydać ją za mąż, to się wioska kupiona odda posagiem, a ja sobie dokawęczę na Wulce.

Nie było co na to odpowiedzieć.

— Pan nie boisz się kupna, kłopotów, zagospodarowania nowego i tak wysoko podniesionej ceny majątków?

— Jużto jak Bóg da; ale moje projekta są dawno obinysłane i niewzruszone.

Hrabia, żeby nie miał pozoru popierania swęj sprawy, musiał zamilknąć i odwieść rozinowę; a nie chcąc okazać jak był udręczony podwójnem wyznaniem rotmistrza, udawał i humor wysunienity, i pańską obojętność na te drobnośtki. Szlachciec trzymał się jak zwykle zdaleka, pokornie, z uszanowaniem, ciągle nieczyniennie grzeczny, uniżony, na oko pełen wiary w to wszystko, co JW. pan powiedzieć raczył. jednak na żadną wędkę jakoś ułowić się nie dawał.

Dendera próbował różnych sposobów, ale wreszcie znudzony i zmęczony, gdy rotmistrz brał za konfederatkę, nie poprosił go już nawet na obiad, i pożegnał zamysłony.

— A zatem moja prośba zostanie w pamięci JW. pana?—rzekł na odjeździe Kurdesz.

— Co się tyczy Sylwana?

— Tak jest, JW. panie! Lepiejby go dokąd wyprawić, bo ja dla spokoju mojęj Fraui, musiałbym, choć z żalem i konfuzyą, uchodzić bodaj z własnego domu. Darujesz mi JW. pan. ale każdemu spokój drogi.

— Naturalnie! naturalnie! panie rotmistrzu!  
I tak się rozstali.

Wszystkie śliczne projekta spełzły na niczem. Sylwan zawołany natychmiast wszedł do ojca ze swemi chartami na smyczy, bo się wybierał na polowanie, i z polowania zajechać miał do Wulki. Nie wiedział o przybyciu rotmistrza, ani się domyślał tych odwiedzin; ale po fizyognomii ojca postrzegł, że się dowiść coś nieprzyjemnego.

Hrabia nie widząc potrzeby udawania, jak z krzyża zdjęty, siedział z obwisłą głową i brwią namarszczoną, blady, ponury, gniewny.

— Ślicznie się nam udaje!—rzekł do syna.

— Cóżto hrabio?

— Wiész kto był u mnie przed chwilą?

— Nie, nie wiem nawet czy był kto.

— Zgadnij!

— O! to napróżno! Całkiem nie umiem zgadywać.

— Więc poprostu ci powiem: stary Kurdesz.

— Z czem?—spytał Sylwan ciekawie.

— Z bardzo naturalną zresztą kwestyą: czy ci pozwolę z jego córką się ożenić?

— On! — podchwycił Sylwan — oszalał, czy co! On śmiał!

— Najprzytomniej w świecie, poprostu i niezmiernie grzecznie przestrzegł mnie, że u niego bywasz...

— Cóżeś mu hrabio odpowiedział?

— Ba! naturalnie, że bywać zakażę.

— Tak! — rozśmiał się kwaśno Sylwan.

— A jakże mogłem inaczej?

Syn powstał chwilę, pomyślał, i odtrącając od siebie psa ze złością, zawołał:

— Waryat stary! co u téj szlachty w głowie! Patrzajcie go, jaki troskliwy o swój honor. Jak gdyby to miało honor! Jakiś tam szerepetka. pan Kurdesz! cha! cha!

— Muszę mu óddać sprawiedliwość — rzekł stary hrabia — że choć wcale niepozorny, a niezmiernie sprytny; w dodatku przywiózł i mnie przysmaczek, bo żąda kapitału.

— O! to gorzej! — zaśmiał się szydersko Sylwan. — Co mi tam jego córka! — dodał, szydząc ciągle z wewnętrznym gniewem — gaska! głupia

gaska! cielątko!... Wielkie mi szczęście córka pana Kurdesza! wielka osobliwość! Powinienby się mieć za szczęśliwego!...

Dendera spojrzał na syna.

— Cóż dalej będzie?—spytał.

— Co? na złość temu szerepetce widywać ją będę.

— Rób sobie co chcesz, ale teraz z góry ci powiadam, że to już będzie bez mojej woli i wiedzy; patrz. żehyś się w brzydką nie wplątał intrygę.

Sylwan ruszył ramionami, rozśmiał się pogardliwie, świsnął na psy, i wyszedł trzaskając drzwiami.

Kto wie jak upokorzenie boli dumnych, niech porachuje co cierpiał.

Biblioteka Raczyńskich

**JK2500**



JK2500